LISTY DO PRZYJACIELA

W POGONI ZA PRAWDĄ

PRZEZ

ALEXANDRA MOHLA.

SERYA CZWARTA.

WYDANIE TRZECIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE.

POZNAŃ 1915 - NAKŁADEM I CZCIONKAMI
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.
NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC.

Wydawnictwo

Drukarni i Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Ks. A. Mohla T. J.

Czytania rekolekcyjne.

Kilka słów prawdy.

Stron 240. Cena **mk. 1,80,** w oprawie mk. **2,75.**

Poznać Pana Boga i wedle tego poznania postępować, oto cel życia ludzkiego: a poznać Go trzeba koniecznie.

Prawdy niezbędne sobie potrzebne dojrzały mężczyzna i kobieta odnawiali dawniej i odświeżali przez słuchanie regularne kazań albo czytanie budujących książek.

Dziś na kazanie lud uczęszcza... ale inteligencya, szczególniej męska? Bywanie na mszy św. w niedziele i święta wielu jeszcze uważa za swój obowiązek, ale o kazaniu, cóż dopiero o budującej lekturze, jakże mało kto myśli!!

Stąd w sferach wyższych owo poganienie społeczeństwa, zamieranie chrześcijańskiego poglądu na świat i coraz rzadsze objawy życia według wiary. Bo tej wiary rzeczywiście dziś coraz mniej, coraz mniej znajomości jej prawd.

Na zaniedbywanie kazań wiele przyczyn się składa, mniejsza o to, uzasadnionych lub nie. W każdym razie, żeby skutkom tego smutnego faktu jakokolwiek zaradzić, wprowadzono u nas chwalebny zwyczaj odprawiania corocznie wspólnych rekolekcyi dla pojedyńczych stanów — i w znacznej mierze zapobieżono. Bo czemże są te rekolekcye, jak nie przypomnieniem praktycznem prawd wiary świętej i nie szeregiem odpowiednich nauk, przez które dusza katolicka się odświeża, odnawia, oczyszcza i rozpoczyna życie nowe, z charakterem chrześcijanina zgodniejsze?

Nieraz słyszeć się daje zdanie, że przydałoby się w czasie rekolekcyi mieć pod ręką jakąś książkę do czytania, którąby służyć mogła za uzupełnienie nauk, słyszanych w kościele. Życzenie słuszne, któremu śp. Autor zamierzał po części przez wydanie niniejszej książki. Mamy nadzieję, że publiczność nasza, jak łaskawie przyjęła poprzednią pracą śp. Autora p. t. »W pogoni za prawdą« tak przyjmie i tę pracę obecną, zasługującą ze wszech miar na rozpowszechnienie.

W POGONI ZA PRAWDĄ.

SERYA CZWARTA.

BIBLIOTEKA
O. O. FRANCISZKANÓW
W
ELMHURST, N. Y.

LISTY DO PRZYJACIELA

W POGONI ZA PRAWDĄ

PRZEZ

ALEXANDRA MOHLA.

SERYA CZWARTA.

WYDANIE TRZECIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE.

POZNAŃ 1915 - NAKŁADEM I CZCIONKAMI
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.
NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC.

List I.

Co nam po wierze?

Wiara św. nie może nam nigdy zaszkodzić, ale owszem zarówno w tem życiu jak i przyszłem może przynieść wiele dobrego i wiele korzyści. — Auzoniusz Franchi. — Wiara św. i racyonalizm — i protestantyzm — i liberalizm.

Wśród zmiennych kolei tego życia, wobec powodzenia i nieszczęścia, smutku i wesela, radości i cierpienia, które na przemian ludzi na tym świecie nawiedzają, nas katolików wierzących pociesza, wzmacnia i ducha naszego podtrzymuje pewność, że jesteśmy na dobrej drodze, która prowadzi do wiecznego i prawdziwego szczęścia. Niech inni robią, co chcą; niech się urządzają, jak uważają za lepsze: my jesteśmy pewni, że wszystko uwieńczone zostanie kiedyś skutkiem pomyślnym, przynajmniej pod koniec naszej pielgrzymki ziemskiej — po tym okresie smutku, cierpień i wszelkiego rodzaju utrapień.

Ta myśl jest dla nas biednych ludzi źródłem niewymownej pociechy, źródłem pokoju, wesela i energii, oraz siły w walce z przeciwnościami. Otóż tego wszystkiego zazdrości nam zacięty nasz nieprzyjaciel, zły duch, czyli

szatan. On pragnie, żebyśmy cierpieli, dręczyli się, męczyli i, (jak on w piekle) już tu na ziemi rozpaczali i bluźnili.

Więc też przy pomocy w sidła swe uwikłanych ludzi pracuje ile może, aby nas wierzących doprowadzić do zwątpienia i pozbawić pokoju serca. Dlatego zaciemnia nam widnokrąg naszego ducha. Przychodzą wtedy na nas chwile ciężkie. Jakbyśmy we mgle chodzili. Gdzie się obrócimy, smutno, duszno, tęskno. Roją się po głowie przeciwko wierze św. zarzuty i trudności. »Czy też wszystko czego wiara św. mnie uczy jest prawdą? Czy mogę spokojnie na niej się oprzeć?...

Co w takich razach począć?

Oto przedewszystkiem w a l c z y ć, a walczyć mężnie, — mówiąc sobie mniej więcej tak: »Wobec całego świata wyznaję, że jest Pan Bóg, jest Stwórca nieba i ziemi, — jest mój Pan i Ojciec. Wierzę, że wszystko, co On mi objawił i przez ręce Kościoła do wierzenia podaje jest prawdą niezłomną, niezbitą, niezachwianą i świętą. W tej wierze chcę żyć i umierać«.

I tak najlepiej.

Możemy jednak począć sobie inaczej:

* * *

Jeżeli człowiek uczciwy i szanujący siebie znajdzie się wobec o c z y w i s t e g o f a ł s z u, to zastanawiać się nie będzie nad tem, czy mu korzyść jaką chwilową przynosi lub nie, ale od r a z u, p r ę d k o, stanowczo odrzuci go,

potępi, przynajmniej wobec swego sumienia i odeń się odwróci. Tego wymaga jego godność. Tak każe zdrowy rozsądek! Szukać zysku, wygody doczesnej, stanowiska, honorów, sławy kosztem prawdy, to rzecz podła, nizka i nikczemna.

Toteż gdyby wiara nasza święta katolicka zawierała w sobie jakikolwiek, choćby jeden tylko fałsz oczywisty, jedno tylko twierdzenie z rozumem lub prawdziwą wiedzą stojące w oczywistej sprzeczności; — jako ludzie szanujący siebie, powinnibyśmy byli odrzucić ją bez dalszego namysłu, bez względu na to, czy taki krok byłby nam przyniósł jaką szkodę doczesną lub nie.

Tymczasem, mój drogi, takiego fałszu, takiego twierdzenia, mimo wysiłki tytaniczne umysłów pierwszorzędnych, nawet genialnych od Celsiusza filozofa począwszy aż do Renana, Loisy'ego, Harnacka etc. etc. — dotychczas nie wykrył nikt; przeciwnie wszystkie ich usiłowania pogłębiły tylko prawdziwość całokształtu wiary św. i każdej jej prawdy z osobna. Błędu, fałszu, we wierze naszej niema napewno.

Co najwyżej powiedzieć można, że ta prawdziwość co do tej lub owej objawionej prawdy nie jest oczywistą, tj. nie jest tego rodzaju, żeby z góry wykluczała wszelką choćby nieuzasadnioną wątpliwość, jak ją wyklucza np. twierdzenie, że »dwa razy dwa — cztery« albo, że »każdy skutek ma swą przyczynę«, albo »że teraz świeci słońce« i t. d.: więc, że ono nie

może w każdym wymusić sobie uznanie za pewnik, jak np. nie wymusza prawda, że ziemia obraca się koło słońca.

Stopień tedy jasności, w jakim się takie prawdy umysłowi naszemu niejako prezentują, nie odpowiada promieniom słonecznem w południe, ale odpowiada im załamanym w atmosferze brzasku albo przedzierającym się przez chmury i mgły w dniu słotnym. Tu mogą być różne stopnie. Może zachodzić niepewność czy to światło już świeci, — można, zamknąwszy naumyślnie oczy, czuć się w zupełnych ciemnościach, ale roztropnie nie można twierdzić, że napewno żadnego światła nie ma, bo, skoro się oczy otworzy, to jednakże zawsze coś się zobaczy.

Coś podobnego jest i z tem światłem ducha, które stanowią prawdy wiary św. Mogą przyjść chwile na człowieka, że światło ich przebijać doń się będzie, jakby przez gęstą mgłę, nagromadzonych w umyśle jego czy sercu wątpliwości, ale zawsze przebijać się będzie o tyle, że nie będzie on mógł brać ich za fałsz pewny.

A ta mgła gęsta skąd pochodzi? Czy może stąd, że one nie dość mają światła? nie dość są oparte na jasnych i przekonywających dowodach?

To także nie. Ta mgła bowiem nie od nich wychodzi, nie ze słońca, ale ze ziemi. Inaczej myśliciele tej miary co św. Augustyn, Tomasz z Akwinu, Bakon, Dante, Kopernik,

Newton, Kepler, Paskal, Leibnitz, Wolta, Ampère, Pasteur, Moigno i tylu innych wierzących a uczonych i genialnych mężów nie byliby do poznania jej jasnego i pewnego dojść mogli. Źródło bowiem wątpliwości co do prawd wiary św. nie jest natury objektywnej ale subjektywnej, — tkwi nie w rozumie ale we woli. Niedowiarek nie dlatego nie wierzy, że nie ma dowodów, wystarczających do wykazania wiarogodności prawd wiary św., ale dlatego, że się od nich odwraca, albo że nie chce im poddać swego rozumu i pozwolić im się przekonać.

»Siła przekonywująca dowodów przytaczanych w obronie wiary — pisze O. Franchi — zależy w ostatniej instancyi zawsze od usposobienia człowieka. To też żaden z nich nie wymusza uznania wiary św. za prawdę t. j. nie może przekonać o jej prawdziwości kogoś, co nie chce być przekonanym. Trzeba prawdę miłować i prawdy szukać, aby prawdę znaleźć. Wiedzieli o tem starzy pogańscy filozofowie, którzy tę miłość stawiali jako pierwszy warunek nabycia mądrości czyli poznania prawdy«.

* * *

A teraz przypuściwszy,

że takie zamiłowanie prawdy masz;

że przytem jesteś przy pełnem władaniu rozumu, wolny od uprzedzeń i przesądów;

że dalej jesteś właśnie w takiej smutnej chwili wewnętrznego zaciemnienia, prawdzi-

wości wiary św. nie widzisz jasno, ale przytem chcesz powziąć jakieś postanowienie, — chcesz się na świecie zoryentować i przez wybranie sobie religii, zgodnej z naturą ludzką, wejść na odpowiednią dla siebie drogę. — W tym celu zwiedzasz świat i badasz spokojnie, objektywnie.

Otóż powiadam, że choć jeszcze (jak przypuszczam) nie zbadałeś wiarogodności Boskiego pochodzenia wiary św. katolickiej na tyle, żebyś się czuł obowiązanym do jej wyznawania, to jednak, stojąc na takiem stanowisku będziesz musiał przyjść do przekonania, że wśród innych wyznań religia katolicka pierwsze miejsce zajmuje najpierw 1) co do liczby swych wyznawców[1]), potem 2) co do swej potęgi moralnej,

---

[1]) Oto w wielkich zarysach statystyka porównawcza wyznań na świecie. Podajemy ją w milionach, według Guide d'Action religieuse 1909 i Encyklopedyi Herdera 1905 r.

Część świata	liczba mieszk. wogóle	kat.	prot.	wsch. kośc.	Mahom.
Europa	422	182	98	97	8
Azya	829	17	2	5	154
Afryka	167	5	2	4	40?
Ameryka	157	85	63	—	—
Australia	9	2.5	3	—	—
	1584	289.5	168	106	202

czyli 35% katolików. Co tem bardziej jest imponującem, że 168 milionów protestantów rozpada się na blizko 700 sekt i ze 40 kościołów narodowych; 116 milionów wschodniego kościoła podobnie coś znowu na 10 kościołów narodowych samodzielnych (autokefale), o głowie, za-

swej społecznej zawartości i swego zbawczego wpływu na jednostki, zarówno jak i społeczeństwa; a wreszcie 3) że w sobie żadnego oczywistego fałszu nie zawiera jak inne filozoficzne systemy i religie, ani na żadnym udowodnionym nie opiera się błędzie.

Jaki wniosek praktyczny będziesz mógł stąd wyprowadzić?

Otóż ten sobie wyprowadź.

* * *

Bo teraz wyobraź sobie, że w takiej chwili staje przed tobą katolik oświecony ot, taki np. Leopold hr. Stolberg, Balmes, Wolta, Ampère, Nicolas, Veoillut, i mówi ci tak:

Jako człowiek bezstronny i rozumny bądź między nami sędzią.

---

rządzie niezależnym i conajmniej na 100 sekt przeróżnych. (Kopci, Abisyńczycy, Ormianie, Nestoryanie, staroobrzędowcy, sztundyści etc.). Podobnież Mahometanie rozdzielają się na Szyitów i Szuniów i inne sekty. — Brahmanów jest koło 210, Buddystów koło 120 — a wyznawców religii albo raczej systemu filozoficznego Konfucyusza 235 milionów. Te ostatnie jednak wyznania złączone w jednej rubryce politeistów nie stanowią w rzeczywistości religijnych społeczeństw, bo żadna z nich nie ma nauki jednej, łączy ich tylko kasta brahminów albo bonzów lub państwowa instytucya mandarynatu i niczem nieograniczony zabobon. Stąd jako organizm religijny nie ma katolicyzm sobie równego nie tylko co do siły wewnętrznej jak i w przybliżeniu nawet co do liczby wyznawców, nie mówiąc o tem, że on jeden jest religią świata całego.

Z jednej strony stoimy, my, ćwierć miliarda katolików: wszyscy wyznajemy to samo, wszyscy prawdziwie złączeni w jedno duchowe społeczeństwo, pod jedną duchową, świadomą swej siły i wpływu nad każdym z nas władzą — a z drugiej reszta ludzkości, rozbita na różne wyznania, systemy i religie. Są między nimi bałwochwalcy, mahometanie i żydzi, setki sekt chrześcijańskich i garstka ludzi bez religii, bez Boga.

Otóż my twierdzimy, że prawda czysta, żadnym fałszem nieskalana, jest naszą wyłączną własnością, bo ją mamy wprost od Boga, Stwórcy tego świata, i dlatego nasza religia, nasza wiara może człowiekowi zrobić tylko dobrze na ciele i duszy: w życiu teraźniejszem i przyszłem, a szkodzić mu nie może. Przeciwnie wszystkie inne religie, mniej lub więcej fałszywe, człowiekowi szkodzą.

Twierdzimy, że wyznawcy ich, mniej lub więcej błądząc, nie są na drodze szczęścia wiecznego, a nawet doczesnego.

Chodź, przypatrz się nam i im — i osądź.

* * *

Weź nasz system religijny i jego etyczną wartość, a potem poziom moralny, ideały religii innych. — Czyż nieprawda, co za różnica kolosalna! To światło słońca wobec światła sztucznego, — nieraz wobec migającego światła ogni, błąkających się nad błotnemi łąkami lub cmentarzem.

Gdzie poza Kościołem katolickim można znaleźć takich bohaterów cnoty, jak św. Franciszka z Asyżu, Franciszka Borgiasza, Franciszka Ksawerego, Franciszka Salezego, Wincentego à Paulo i tysiące innych?

Gdzie poza Kościołem katolickim można znaleźć miliony dusz szlachetnych, wzniosłych, co opuszczając dla idei wszystko, majątek, honory, rodzinę, życie swe poświęcają pracy nad udoskonaleniem siebie a kojeniem nędzy ludzkiej po szpitalach, przytuliskach, szkołach — na głoszenie prawdy wśród nieznośnych mrozów podbiegunowej Ameryki północnej i zabójczych okolic zwrotnika?...

Gdzie poza naszym Kościołem znajdziesz zaspokojone wszystkie postulaty etyczne, stawiane człowiekowi przez zdrowy rozum i sumienie tak, jak zaspokojone są u nas?

»Jak każde stworzenie, pisze hr. Szuwałow, oficer rosyjski, a po nawróceniu pobożny zakonnik, szukałem szczęścia i ja, pragnąłem go i pragnienie moje starałem się zaspokoić, czem tylko mogłem. Ale darmo! Szarpałem się, wylewałem mą duszę, rozrzucałem ją po stworzeniach....

»Szukałem szczęścia! — a szukałem go w nauce, w zabawach światowych, rozrywkach niewinnych i rozkoszach grzesznych, i nie znajdywałem, bom go jedynie tylko tam nie szukał, gdziem szukać był powinien. Czułem się nieszczęśliwym, zawstydzonym. Sumienie mię drę-

czyło. Myślałem chwilami o odebraniu sobie życia... —

»Ale dziś? Dziś, Panie, gdy Ciebie posiadam, miłości moja i szczęście moje, — cóż może mi braknąć? Albo raczej, któż potrafi opisać rozkosze, w jakich opływa ma dusza, kiedy codziennie rano idę do kościoła, aby w tajemnicy najśw. Twego Sakramentu z Tobą się złączyć? — O! śmiejcie się, jeśli chcecie z mej wiary, wy, którzy nie wierzycie. Ja wam radzę: proście raczej P. Boga, aby pomógł i wam poznać prawdę, której potrzebujecie i szczęścia, za którem tęsknicie, — proście go w modlitwie gorącej i popróbujcie stać się lepszymi, pokorniejszymi, a zaręczam wam, że będziecie i wy szczęśliwymi. —

»Co do mnie oświadczam, że to zadowolenie serca, to tak ciche, pogodne, niezakłócone szczęście w chwilach nawet boleści i cierpień najcięższych zawdzięczam wierze i modlitwie. Chwała Tobie i dzięki wieczne, mój Stwórco i Boże«. —

* * *

Wartość systemu etycznego zależy przedewszystkiem od pobudek, któremi on postulaty swoje popiera.

Otóż osądź, gdzie poza Kościołem katolickim i etyką katolicką (tą etyką chrześcijańską, najdoskonalszą, bo najczystszą) — są tak silne i wzniosłe pobudki do czynienia dobrze a unikania złego, jak u nas.

Przedewszystkiem sama osoba Chrystusa Pana; bo dla nas wierzących chrześcijan Chrystus to nie coś przeszłego, odległego o wieków dziewiętnaście, — ale coś obecnego wszędzie, teraźniejszego, bliższego nam od nas samych. Chrystus, to nie tylko wielki, największy z ludzi, jak chcą racyonaliści, wielki prawodawca, i największy myśliciel — ale przy tem wszystkiem to prawdziwy Bóg, to nasz Stwórca i Pan, w którym żyjemy, ruszamy się i jesteśmy.

Oczywiście wobec tego przykład, który nam zostawił i nauka, jaką nam przekazał, wywierają i muszą wywierać na nas wpływ swój uszlachetniający, podnoszący, uświęcający o tyle silniej, o ile Stwórca przewyższa swoje stworzenie. —

On pociąga nas ku sobie i za sobą.

Kto wierzy weń, czuje się zachęconym do naśladowania Go.

A czyż może być sposób lepszy, pewniejszy, łatwiejszy, aby stać się cnotliwym, szlachetnym, dobrym, świętym, — jak naśladowanie Chrystusa. —

Już samo pojawienie się Jego na świecie w Betleemskiej stajence, wśród ubogich pasterzy, w ubóstwie i umartwieniu, godzi z losem ogromną większość ludzkości, uczy ich zadowolenia się małem, cierpliwości, wytrzymałości na głód, pragnienie i przeciwności, — rehabilituje w oczach świata niezasłużoną nędzę,

bierze w opiekę słabych, uciśnionych, prześladowanych.

A potem te lat 30, spędzonych w zaciszu nazaretańskiego domku, wśród zajęć najpospolitszych — przy pracy w pocie czoła i w posłuszeństwie.

Wystarczy mieć wiarę żywą, że tak się ukrywa, pracuje, słucha prawdziwy Bóg, aby się nie wymawiać od pracy, nie narzekać na podrzędne swe stanowisko na świecie, nie wypowiadać posłuszeństwa postawionym nad sobą rodzicom, panom, przełożonym świeckim i duchownym. —

Zastanów się tylko dobrze, jaką nieograniczoną siłę zawiera w sobie ta myśl dla uregulowania przeciwieństw społecznych, najbardziej zawikłanych — dla uspokojenia zazdrości, zemsty, nienawiści u tych co są u dołu, a zachęceniu do sprawiedliwej płacy, opieki nad słabym i potrzebującym, do uczynków miłosierdzia tych, co są u góry. —

A wreszcie ta Jego śmierć, straszliwie okrutna, a nad wszelki wyraz bolesna, — ta śmierć, która mogła poruszyć nawet serce Rousseau, kiedy, przypominając ją sobie i porównując ze śmiercią Sokratesa, zawołał: »Śmierć Sokratesa, to śmierć mędrca, ale śmierć Chrystusa — to śmierć prawdziwego Boga!« Umiera Chrystus i przebacza swym krzyżownikom; umiera bez słowa skargi, z królewskim spokojem, do ostatniej chwili zajęty myślą pełnienia woli swego Ojca i troską o nasze zba-

wienie, — do ostatniej chwili ucząc nas poddania się woli Bożej, zaparcia się siebie, cierpliwości, pokory, posłuszeństwa, poświęcenia się z miłości ku Bogu i ludziom.

* * *

Są ludzie o skórze tak twardej, że sam przykład Chrystusa Pana na ich życie etyczne sam przez się nie wielki wpływ wywiera. Dla nich ma nasza święta wiara pobudkę inną, — tak silną, że chcąc uniknąć jej wpływu, nie mają innego wyjścia, jak zamknięcie oczu, aby jej nie widzieć. — Taktyka to niemądra, ale niestety! na porządku dziennym u pewnego rodzaju ludzi, zagalopowanych w »postępie« i poszanowaniu swej »indywidualności«.

Ta pobudka jest to wiara w istnienie poza grobem miejsca strasznej kaźni, która od kary palącego i p i e k ą c e g o ognia, zowie się p i e k ł e m. Każdy wie, jak często i z jakim naciskiem, przy każdej sposobności Kościół katolicki przez kapłanów, swych przedstawicieli, w konfesyonale, na ambonie do tej pobudki wraca.

Nie myślę tu uzasadniać bliżej w i a r o g o d n o ś c i tej prawdy, to tylko chcę stwierdzić, że raz uznana, może ona nieocenione usługi oddać zarówno ludziom pojedyńczym, jak i całemu społeczeństwu a to przez to, że jest nietylko najsilniejszym, ale i n a j s k u t e c z n i e j s z y m h a m u l c e m na ukryte w sercu człowieka namiętności. —

Na to zgodzi się każdy.

Otóż wystarczy sobie tylko przypomnieć, ile szkody na ciele i duszy przynosi człowiekowi nieokiełznana lubieżność, pijaństwo, — albo ile szkodzi społeczeństwu niepohamowana ambicya, zazdrość, pycha i chciwość jednostek — aby zrozumieć ile z drugiej strony korzyści przynosi nam wiara w piekło, która w sercach ludzkich te namiętności hamuje, zażegnywając doczesną i duchową szkodę, jakaby inaczej z nich na ludzkość się była zlała.

Kto tedy wierzy w piekło z podobną siłą przekonania, jak wierzy np. w istnienie Tybetu, Australii i innych krajów, które jak piekło zna ze świadectwa innych, ten ma skarb prawdziwy.

. . . . . .

Wobec tego wszystkiego, zawsze w przypuszczeniu, że na żaden oczywisty fałsz w wierze katolickiej się nie natrafia, jak w religiach bałwochwalczych i mahometaniźmie — co ma powiedzieć rozum, wolno, niezależnie od wszelkiego przesądu i uprzedzenia myślący?

Czy warto być katolikiem?

Kręć się jak chcesz, musisz, mój drogi, odpowiedzieć, że warto, bo nie tracisz nic, a zyskujesz wiele.

* * *

»Tak! powiesz może, warto być katolikiem o tyle, o ile warto być chrześcijaninem, ale w chrystyanizmie są różne odcienia: są

dyzunici wschodni, są protestanci i są katolicy. Etyka u wszystkich ta sama: ta sama wiara w Chrystusa i piekło, — ta sama Ewangelia.

»Więc nic nie zyskuję, będąc katolikiem, jakbym nie stracił nic, będąc dyzunitą lub protestantem. Bylebym był chrześcijaninem?«

Najpierw stwierdzić tu wypada, że w tych wszystkich rozgałęzieniach jednego pierwotnego chrześcijańskiego Kościoła, nie wszędzie jest ta sama etyka. —

Ot n. p. dyzunici mają rozwody spowodowane cudzołostwem żony, protestanci — dla wielu innych powodów, — a my katolicy ich z zasady nie mamy, odrzucamy bezwzględnie. — W praktyce dla spokoju i szczęścia domowego punkt ten jeden jest ważniejszy i donioślejszy, nawet w życiu społecznem, niż się na pozór może wydawać.

Dalej etyka protestancka zawiera i taką np. zasadę: »Grzesz mocno, ale wierz jeszcze mocniej«. — O ile z niej człowiek pojedyńczy i społeczeństwo korzyść znowu odnosi, leży na dłoni.

W dodatku ogromna większość protestantów dziś nawet w Bóstwo Chrystusa Pana nie wierzy, odrzuca cuda, życie nadprzyrodzone itd. jak to przy innej sposobności podniosłem, — odrzuca także piekło. Ich »dobry P. Bóg« (lieber Gott) za dobry (zu gemütlich) jest, aby tak strasznie karał. To też każdy protestant, zdaniem pastorów, trafia po śmierci natychmiast do nieba. Gdybyś tak posłuchał ich

pogrzebowe mowy, byłbyś się łatwo o tem przekonał. —

Więc z tych kilku szerokim rozmachem rzuconych rysów, przyjść znowu możesz do przekonania, że, będąc katolikiem raczej niż chrześcijaninem, poza Kościołem katolickim zyskujesz dużo, a nie tracisz nic, bo przecież i protestanci wyznają, że katolik do nieba dostać się może[1]). Wprawdzie utrzymują, że u nich wiara Chrystusowa zachowała się w całej, pierwotnej swej czystości, a do wiary katolickiej wcisnęło się z biegiem wieków wiele »dodatków«. Powiadają, że te »dodatki« są niepotrzebne, owszem utrudniające dostanie się do nieba.

Potrzebne, czy niepotrzebne: to inna kwestya.

Tu liczyćby się nam z ich zarzutami wypadało, gdyby utrudniały drogę do nieba, gdyby doń były przeszkodą.

---

[1]) »Najgłębszym szacunkiem przejęty jestem do katolickiego Kościoła, jako do gmachu, w którym się stare, autentyczne przechowują dokumenty. Opiera się on na fundamencie niewzruszonym (gewaltige Grundmauern) i w swej estetycznej harmonii jest tak piękny, że dość mu się nadziwić nie mogę. Gdyby gmach ten się zawalił, z nim razem ustałoby wszelkie życie kościelne w chrześcijaństwie. Uważam katolika konsekwentnego za człowieka z całej ludzkości najbardziej godnego szacunku i najszczęśliwszego.« — Lavater, pastor, poeta i uczony protestancki z Zurichu do hr. Leopolda Stolberga.

Otóż powiadam, że tak nie jest, tylko przeciwnie. —

Przypatrzmy się tym »dodatkom«.

* * *

Takim »dodatkiem« do »czystej Ewangelii«, rażącym protestantów jest najpierw nasza cześć dla Świętych a w szczególności cześć dla Matki Najśw.

Że to nie jest żaden dowolny »dodatek«, ale jedna z części istotnych czystej, pierwotnej Ewangelii, świadczy nie tylko samo Pismo św. [1]), ale najstarsze pamiątki chrześci-

---

[1]) »Chodź, siadaj tu i wykaż, co mówisz. — rzekł łaskawie, do małego, rezolutnego i myśląco patrzącego chłopczyka pastor w Saksonii, wskazując mu swoje siedzenie. Oto Pismo św.: Gdzie jest tam mowa o czci do Maryi, jak powiadasz?«

Malec, który zniecierpliwiony przytykami protestanckich swych kolegów, powołał się na Pismo św., nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć.

Zasiadłszy na katedrze, zakomenderował:

»Otwórz Łukasza I, 27, i czytaj:

»Anioł wszedłszy do Niej, rzekł: »Bądź pozdrowiona łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami«...

— Dobrze, a teraz Łukasz I. 41:

Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twego«. —

— Dobrze! a teraz jeszcze Łuk. XI. 27:

»Niektóra niewiasta z rzeszy rzekła mu: »Błogosławiony żywot, który cię nosił i pierś, którąś ssał«.

— Kiedy tedy my katolicy, odmawiając Zdrowaś Marya, chwalimy Matkę Boską, cóż innego robimy jak to, o czem mówi Pismo św.?« —

jaństwa, ostatniemi czasy tak starannie zbadane przez archeologów w katakumbach rzymskich.

Cześć Świętych, cześć Madonny jest starą jak Kościół.

A cześć ta w samej swojej istocie różni się od czci, którą my katolicy oddajemy P. Bogu i Chrystusowi Panu. Przesąd, uprzedzenie i ciemnota może w tym względzie mieć jaką wątpliwość.

My w Matce Najśw. czcimy najświętsze, najlepsze, najszlachetniejsze, najdoskonalsze, a przytem najbliższe nam stworzenie, ale tylko stworzenie. Tak samo gdy chodzi o Świętych.

Cześć Maryi, jako Matki Bożej i Świętych, jako sług wiernych, przyjaciół i dworzan Pana Boga, najwyższego Króla, — nie tylko czci P. Boga nie ubliża, ale jest jej naturalnym wynikiem i uzupełnieniem. Pięknieby czcił i szanował monarchę, ktoby sobie lekceważył jego matkę, dworzan i sługi?

Ale dato non concesso: gdyby ten rzekomy »dodatek« był rzeczywiście dodatkiem, jak oni chcą, to jednak byłby dodatkiem nieszkodliwym, niewinnym, — owszem nad wszelki wyraz pożytecznym tak, że gdyby innej

---

— Chłopcze! powiedziałeś prawdę, zawołał zdziwiony pastor. — Idź tą drogą dalej a staniesz się ozdobą swego Kościoła....

Dziś ten chłopczyk, syn ubogiego stolarza, zbłąkanego w protestanckie strony i zmuszonego posyłać swego syna do protestanckiej szkoły, jest jednym z największych kaznodziei niemieckich. — (Kümmel: Die Stadt Gottes).

różnicy pomiędzy katolikiem a protestantem nie było, jak tylko ta, to każdy człowiek rozumny powinienby zostać raczej katolikiem niż protestantem.

O! kto poznał, czem jest Marya dla swoich dzieci, — kto choć raz w życiu w ciężkiej jakiej potrzebie gorąco, serdecznie do Niej się pomodlił, ten wie, jak wielkiem dobrodziejstwem, jak niewyczerpanem źródłem błogosławieństwa jest nabożeństwo do Matki Najświętszej. Nie! ten »dodatek« nie jest dla nas ani przeszkodą, ani ciężarem, lecz pomocą, obroną i ostoją w podróży naszej do niebieskiej ojczyzny.

* * *

Drugim takim rzekomym »dodatkiem«, który nam wytykają protestanci[1]), jest wiara

---

[1]) Cerkiew wschodnia właściwie czyśćа, jako takiego, nie odrzuca, tylko nie chce się zgodzić na samą nazwę, uważając to za innowacyę, niedozwoloną; podobnie jak Filioque, dodane do składu wiary Soboru Nicejskiego. Za tem przemawiają nietylko nabożeństwa żałobne, któreby sensu nie miały, gdyby czyśćа nie było, ale wyraźne texty ich liturgii, jak n. p. w niedzielę 50-tną św. Bazyli każe się modlić o »pokój i zmniejszenie (mąk) uwolnienie« dla »zatrzymanych w piekle«; podobnież Czeti Mineja (K. Z. Moskwa 1905 r. str. 533) gdzie czytamy, że dusza, co ma więcej grzechów (nie odpuszczonych) może być zatrzymaną jakby w ciemnicy«.

Mytarstwo jest to obrazowe i legendowe przedstawienie sądu szczegółowego. Dusza zanim się dostanie do nieba, przejść według niego musi przez szereg rogatek, przy których urzędują złe duchy od pojedyńczych grze-

nasza w czyściec, t. j. w miejsce kar, ale przejściowych, w którem dusze zmarłych, a więc mające prawo do nieba, już to przez cierpienie się oczyszczają z grzechów powszednich, codziennych, — już to odpokutowywują karę doczesną, wyznaczoną sobie przez Boską sprawiedliwość za odpuszczone już grzechy ciężkie.

Pomijam kwestyę pochodzenia tego dogmatu: mianowicie, że jest stary jak Kościół, uzasadniony w Piśmie św., należący do istoty nauki ewangelicznej, jako jedno z jej ogniw.

Powiadam tylko, że ten dogmat nie jest nam katolikom ani ciężarem ani przeszkodą, ale przeciwnie źródłem pociechy i nadziei, tak, że znowu, gdyby ta tylko różnica zachodziła między nami i protestantami, wypadłoby raczej być katolikiem niż protestantem. —

Biedni protestanci!

Im nie jest na rękę słodki i zarazem pełen pociechy związek, który przez obcowanie Świętych łączy nas z Kościołem wojującym na ziemi, z cierpiącym w czyścu i z tryumfującym w Niebie? Ten łańcuch chcą potargać, ten związek oni chcą rozerwać.

Więc kiedy mi umrze ojciec, matka, brat lub przyjaciel i stanie się wokoło mnie pusto —

---

chów. Jeżeli danego grzechu umarły się nie dopuścił, albo zań już odpokutował, albo poręczył jakiś Święty (odpust) — to go puszcza duch zły dalej. Dogmatowi czyśca to się nie sprzeciwia, choć literalnie brane, trąci zabobonem.

kiedy serce moje pocznie się krwawić raną świeżą, jaką mi śmierć zadała — nie wolno mi będzie korzystać z jedynej pociechy, jaka mi pozostaje, że mogę przyjść z pomocą biednej, cierpiącej a drogiej mi duszy?

Ileż to razy nad otwartym grobem człowieka mi blizkiego muszę sobie powiedzieć, że na tyle doskonałym nie był, żeby mógł być już w niebie, ani na tyle złym, żeby na pewno znajdował się w piekle.

Otóż w takich razach, jako katolik nie mam żadnej trudności, bo mam nadzieję, że znajduje się w czyścu, — tem miejscu smutku i mąk, gdzie cierpi wiele, ale gdzie ulgę mu przynieść, skąd go wybawić mogę przez modlitwy i dobre uczynki.

A protestant?..... On nie ma wyjścia. Albo w niebie albo w piekle!.... a w niebie nie jest.

* * *

Wreszcie takimi rzekomymi »dodatkami« są wedle protestantów, z wyjątkiem Chrztu św., wszystkie Sakramenta i Msza św. — ta niekrwawa ofiara Nowego Testamentu. —

Sakramenta św.! Msza św. »dodatkiem« do czystej Ewangelii!! wymysłem papieży i katolickiego duchowieństwa!

No, jeżeli są d o d a t k a m i — to w każdym razie a p o s t o l s k i m i czyli C h r y s t u s o w y m i, bo zdaniem nie podejrzanego zresztą świadka a wielkiego uczonego profesora Harnacka, Kościół Chrystusowy w tej formie,

w jakiej go dziś widzimy w Kościele katolickim, z wspomnianymi wyżej »d o d a t k a m i« sięga końca p i e r w s z e g o w i e k u.

Ale znowu, powiadam, mniejsza o to: dodatki czy część składowa, istotna nauki ewangelicznej; w każdym razie to pewno, że dają nam one tyle, że, gdybyśmy się tylko tem różnili od protestantów, każdy r o z u m n y człowiek znowu bez namysłu powinienby raczej z nami trzymać niż z protestantami.

Weźmy, Spowiedź, nie ogólną, znaną i protestantom, ale tę szczegółową, jak powiadamy u s z n ą. Przecież to prawdziwe dobrodziejstwo nie tylko dla jednostek ale dla całego społeczeństwa!

Jakto?

Ano tak. Jest dobrodziejstwem najpierw dla j e d n o s t e k, bo człowiek odchodzi od konfesyonału uspokojony, pokrzepiony na duchu, wzmocniony w walce z pokusami i uzbrojony przeciw namiętnościom[1]).

---

[1]) »Ja miałbym się poniżyć aż do oskarżania siebie przed równym sobie człowiekiem? Nigdy!« — mówił pewien szlachcic francuski do swego przyjaciela. —

— I ja także nie. Zanadto godność swą cenię. To też, kiedy klękam przy konfesyonale, widzę tam przedstawiciela P. Boga a nie człowieka.

— Ba! Ten przedstawiciel zawsze jednak to c z ł o w i e k. A to poniża.

Dnia następnego tenże szlachcic, zapędziwszy się nie w swoją knieję, złapany został przez zwykłego leśnego i musiał iść za nim do wójta, dla spisania protokółu. Przypadek chciał, że w drodze spotkał swego przyjaciela.

Czyż sam się o tem tyle razy nie przekonałeś? A potem dla społeczeństwa. »Faktem jest, pisał Rousseau, że u katolików przez spowiedź niejedna krzywda się wyrównywuje, pieniądze skradzione wracają do swego właściciela, a zgoda do rodziny«..... »Dlatego też, wtóruje mu Wolter, jest Spowiedź instytucyą znakomitą, hamulcem namiętności, środkiem skutecznym do skruszenia serc najzatwardzialszych«. —

* * *

Weźmy dalej Sakrament Ołtarza i jako Ofiarę Nowego Testamentu t. j. Mszę i jako pokarm t. j. Komunię. —

Religia bez ofiary, bez kapłaństwa — to coś niedokończonego, nienaturalnego. Dlatego to z wyjątkiem jednego Islamu, jako wstrętnego plagiatu Judaizmu i chrześcijaństwa, wszystkie inne religie mają swoich kapłanów i swoje ofiary. W zasadzie mają je i żydzi, tylko po zburzeniu świątyni Jerozolimskiej nie mogą je wedle przepisów swych sprawować. Jedynie protestanci nie mają ich w rzeczywistości i w zasadzie.

— Cóż to? zawołał ten, udając zdziwienie — poniżyłeś się na tyle, aby słuchać tak nic nie znaczącego człowieka?

— Jak chcesz inaczej? Oto blacha strażnicza. Nie jego ja słucham, ale poddaję się zwierzchności i prawu.

— Tak! Teraz mnie zrozumiałeś?!

A miećby byli powinni. Przecież dosyć wyraźnie przeszło 500 lat przed przyjściem Pańskiem zapowiada ostatni prorok Malachiasz, o f i a r ę Nowego Testamentu, kiedy po odrzuceniu ofiar Starego, mówi: »Od wschodu słońca aż do zachodu wielkie jest imię moje między narody: a na każdem miejscu (nie tylko w świątyni Jerozolimskiej) poświęcają imieniowi memu o f i a r ę c z y s t ą« (I. 11).

No! my katolicy tę ofiarę mamy i czystą, t. j. niekrwawą, — bo z chleba i wina i wreszcie po c a ł y m ś w i e c i e, tak, że nie ma jednej sekundy, w którejby gdzieś kapłan katolicki nie wstępował na stopnie ołtarza, aby spełnić dany sobie przez Najwyższego Kapłana Jezusa rozkaz i mocą danej sobie przez Niego potęgi, zamienić chleb — w Jego Ciało, a wino — w Jego Krew i w ten sposób o b r a z o w o powtórzyć mękę i śmierć Jego na krzyżu, kiedy Krew Jego najświętsza do ostatniej kropli oddzieliła się od Najśw. Jego Ciała.

I ten Jezus w każdej mszy św. rzeczywiście we własnej osobie pośredniczący pomiędzy nami a Ojcem, — składający Mu za nas i z nami cześć, dziękujący Mu, przepraszający Go i zadosyć czyniący za nasze grzechy, — przedkładający Mu wreszcie nasze potrzeby i prośby: oto co my katolicy mamy, a czego protestanci nie mają. —

A teraz Sakrament Ołtarza jako pokarm. Wprawdzie mają i protestanci swoją komunię, ale jakże od naszej różną. U nas jest nią sam P a n n a s z Jezus Chrystus, p r a w d z i w i e

i rzeczywiście z duszą i człowieczeństwem ukryty za zasłoną Chleba — ten sam numerycznie, co kwilił w żłóbku, co wisiał na krzyżu, co zmartwychwstały panuje obecnie w niebie; a u nich jest tylko symbol, przypominający Chrystusa, w najlepszym razie złączony z pewnym objawem Jego wszechmocy — ale to nie On.

Cóż dziwnego, że wierzący katolik inaczej się gotuje do swej Komunii, jak protestant do swego abendmalu? Cóż dziwnego, że skutki są całkiem różne?

»W porównaniu z Komunią św., wszystko inne na świecie jest niczem. Połóżcie z jednej strony wszystkie dobre uczynki całego świata, a z drugiej dobrze odprawioną Komunię św. — to będziecie mieć ziarno piasku wobec niebotycznej góry« — mawiał święty proboszcz z Ars. —

* * *

Nie mniej pożytecznymi, korzystnymi, uświęcającymi są Sakramenta Bierzmowania, Małżeństwa i ostatniego Olejem św. Namaszczenia.

Już mając do wyboru, wolę ja nasze małżeństwo katolickie, uświęcone w zarodku łaską sakramentalną, bogate w pomoc Boską, zapewniające rodzinom trwałość i błogosławieństwo, — niż protestanckie, zredukowane do rzędu zwykłego kontraktu, dające się łatwo rozwiązać, zniszczyć, rozbić.

Tak samo, mając do wyboru słuchania ckliwie powtarzanych tekstów Pisma św. przez sztywnego protestanckiego pastora, wolę ja, żeby w ciężkich godzinach walki życia mego ze śmiercią, — w chwili decydującej o mojej wieczności odwiedził mnie Zbawca mój a Ojciec najlepszy, wszechmocny i łaskawy we Wiatyku, i uzbroił w cierpliwość i męstwo przez namaszczenie Olejem świętym.

»Ile razy w rozległej mej praktyce — powiedział mi kiedyś radca sanitarny dr. Haussmann w Meranie, przytem zastępca rabina w miejscowej gminie żydowskiej — natrafiałem na ciężko chorego katolika, żądałem zawsze, aby przyjął ostatnią posługę kapłańską, bo się przekonałem, że był potem spokojniejszy i cierpliwszy, co mi ułatwiało leczenie.« —

Nie! Zaiste i ten rzekomy dodatek ma swe uzasadnienie!

»W przeddzień śmierci miał on, — pisze jeden z przyjaciół Leona Gautier, znanego uczonego — wygląd człowieka, co się gotuje w daleką podróż.

»Najpierw sam zażądał ostatnich Sakramentów, a kiedy podawano mu Hostyę, począł modlić się głośno i wyrażać swą miłość do utajonego Pana, a tak z Nim mówił, jak gdyby Go widział.

»A kiedy kapłan począł go namaszczać Olejami św., przy każdem nowem namaszczeniu wzbudzał głośno tak czułe akty żalu za grzechy

danym popełnione zmysłem, że do głębi wzruszał obecnych«.

»Potem zaś, kiedy straszne boleści mu dokuczały, wołał: »Boże, jeżeli chcesz mi trochę ulżyć — możesz; ale jeżeli nie chcesz, niech się dzieje Twa święta wola«[1]).

. . . . . .

Wobec tego wszystkiego powiedz, czy nie warto być katolikiem? Czy nie masz gorąco dziękować Panu Bogu, że Ci pozwolił urodzić się w Kościele? a żałować i modlić się za nawrócenie tych, którzy się urodzili poza Kościołem?

»Zaiste prawdą jest — pisze konwertyta O. Hammerstein, — że u nas katolików niejedno jest »dziełem ludzkiem«. Człowiek stworzył nasze niebotyczne katedry, ułożył modlitwy w Mszale i Brewiarzu, zaprowadził różne posty i święta, tak samo niektóre przeszkody do ważnego zawarcia małżeństwa. Ale to pewno, że sam Kościół, jako społeczna instytucya z rąk zwykłego człowieka nie wyszedł, tylko z rąk Jezusa Chrystusa, Syna Bożego; — tak samo jak i to pewno, że tenże Kościół od tegoż swego

---

[1]) Na swym nagrobku kazał ten wielki uczony i myśliciel ale nie mniej wielki chrześcijanin, wypisać wiersz następujący:

»Sur ma tombe sans ornement
Que pour toute epitaphe ou lise
Ces mots qui sont mon testament:
Léon Gautier aima l'Église.«

Boskiego założyciela został upoważniony do zaprowadzenia i zarządzenia tych wszystkich »dzieł ludzkich«; bo do jego przedstawicieli powiedział Chrystus Pan: »Co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie« (Mat. 18. 18).

»Jakże inaczej u protestantów! Prawdziwa ironia losu. Odrzucili Kościół, bo ich raziły niektóre instytucye »ludzkie«, a na jego miejsce stworzyli kościoły, w których wszystko jest ludzkiem, jest ciało, a ducha niema: boć przecie ich pruski, heski, badeński kościół nie Chrystus Pan założył, ani konsystorze ich i Oberkirchenraty od Niego początek swój biorą«. — (Das Glück katholisch zu sein S. 57.)

* * *

Na zakończenie załatwmy się jeszcze z hasłem liberalizmu: »Religia — to rzecz prywatna«. Według wyznawców tego hasła, człowiek jako jednostka, powinien wyznawać religię, która jest wolną od wszelkiego fałszu i dla niego najkorzystniejszą, t. j. religię katolicką, ale człowiek zbiorowy czyli państwo do żadnej religii przyznawać się nie powinno.

Na tem wyjdzie lepiej niż na uznawaniu religii jakiejkolwiek za panującą, choćby nią była jedynie dobra, katolicka. —

Otóż ja powiadam, że takie hasło nie ma podstawy rozumnej, bo się opiera na sceptycyźmie. Cóż bowiem ma znaczyć, że władza państwowa w postępowaniu swojem, swej etyce i politycznej akcyi nie chce się na żadną religię

oglądać, — jak nie to, że o prawdziwości i uzasadnieniu żadnej z nich nie jest przekonana? —

Oczywiście, bo jeśliby przekonaną była, musiałaby do niej się stósować, czyli uznać ją za religię państwową.

No! a hołdowanie sceptycyzmowi, choćby tylko częściowe, gdy chodzi o religię, — jest przynajmniej niekonsekwencyą, nonsensem, zarówno w życiu prywatnem jak i publicznem. A niekonsekwencya poniża rozumnego człowieka!

Bo i jakiż tu sens. Uznać za prawdę to, co wiara katolicka naucza, być przekonanym, że jak widzieliśmy, jest ona źródłem szczęścia nawet doczesnego, że człowiekowi pojedyńczemu i zbiorowemu oddaje niezrównane przysługi: — a potem trzymać się jej tylko w życiu prywatnem!

Panowie, zlitujcie się! Pozwólcie człowiekowi być tem, czem jest, t. j. istotą rozumną; pozwólcie mu, aby nie tylko przy domowem ognisku i w sferze swej działalności prywatnej ale i tam, gdzie mu wypadnie spełniać obywatelskie względem społeczeństwa obowiązki, to, jest w sferze działalności politycznej, kierował się raz uznaną przez siebie prawdą i robił to co uznaje za cnotę. Nie rozszczepiajcież go na dwie części: na człowieka prywatnego i na obywatela państwa, bo stanie się nieszczęśliwym.

Pozwólcie mu, żeby wszędzie i we wszystkiem, jak tego Kościół św. w imieniu Bożem wymaga, był jednem i tem samem, — żeby do

wszystkiego, co czyni, przykładał miarę jaką mu P. Bóg do ręki łaskawie dać raczył, kiedy na drogę życia obdarzył go Składem Apostolskim, Dekalogiem i Syllabusem.

Pozwólcie mu, niech się trzyma prawdy i cnoty, a bądźcie pewni, że choćby nic więcej na tem nie zyskał, jak tylko wewnętrzny pokój i harmonię ducha, to już będzie więcej, niż wszystko co mu świat dać może.

I on sam będzie lepszym, cnotliwszym i społeczeństwo mieć z niego będzie korzyść i ozdobę.

* * *

Z tego wszystkiego, co Ci w tym liście napisałem, wynika, że żyjąc wedle zasad Kościoła katolickiego, możesz zyskać dużo w życiu teraźniejszem, doczesnem, a nic nie stracisz w przyszłem, pozagrobowem. Gdyby nawet, jak to się naiwnie pocieszają ludzie niewierzący, nie było życia przyszłego, to w każdym razie jest życie teraźniejsze, a to życie i jego koleje w znacznej części od nas samych zależą. Otóż i z tego nawet punktu widzenia dobrą i godną człowieka rozumnego rzeczą jest w tem życiu doczesnem, tak się urządzić, aby nad namiętnościami swemi umieć zapanować, — stać się zdolnym do ofiary i poświęcenia, mieć pokój sumienia, charakter, być altruistą (t. j. po katolicku mówiąc, mieć miłość bliźniego), człowiekiem trzeźwym, umiarkowanym, wstrzemięźliwym, uczynnym, pracowitym, uczciwym itd. itd.

Otóż do tego wszystkiego dopomaga nam i to najskuteczniej, wiara katolicka.

»Melanchton miał swej matce powiedzieć — pisze O. Tillman Pesch: »»Dobrze jest żyć po protestancku, ale po katolicku lepiej jest umierać««. — Jabym dodał, że lepiej jest i żyć. Przez to samo, że Kościół, ta nasza Matka, od grzechu nas zachowuje, zapewnia nam także i prawdziwe szczęście na ziemi. — Serce czyste oszczędza sobie niejedno cierpienie. Gdybyśmy mogli zaglądnąć w serca dzisiejszych bohaterów myśli niezależnej, przeczących Bóstwu Chrystusa Pana i krótkim procederem załatwiających się z wiarą św., bylibyśmy tam znaleźli potwierdzenie owych słów mędrca Pańskiego: »A tak zbłądziliśmy z drogi prawdziwej i nie świeciła nam jasność sprawiedliwości... napracowaliśmy się na drodze nieprawości i chodziliśmy drogami trudnemi a drogi Pańskiej nie znaliśmy« (Mądr. 5. 6).

LIST II.

Kult zewnętrzny.

Kult ten jest obowiązkiem człowieka, — jest jego potrzebą. — Po co tyle przepychu?« — »Trzeba wrócić do prostoty pierwotnego chrześcijaństwa«. — »Czyż nie byłoby lepiej te pieniądze rozdać pomiędzy ubogich?« — »Pan Bóg zadawala się samem sercem.«

Pauperyzm — to grunt, na którym najłatwiej zaszczepia się socyalizm. Gdyby nie było milionów w nędzy pogrążonego proletaryatu, nie byłoby socyalizmu.

U nas niema go — oświadczył minister oświaty bułgarski pewnemu dziennikarzowi — bo niema proletaryatu. Nie mamy milionerów, ale też nie mamy nędzy, stąd socyalizm u nas przyjąć się nie może.«

I miał słuszność. —

Dlatego najskuteczniejszą bronią przeciwko socyalizmowi jest walka z pauperyzmem. Usunąć go całkowicie albo w znacznej przynajmniej części zredukować go, to tyle, co socyalizmowi grunt pod nogami usunąć...

To żadnej nie ulega wątpliwości. —

Z tego jednak nie wynika, że lepiejby było użyć środków (nieraz bardzo znacznych), prze-

znaczonych na wydatki kultu zewnętrznego i na prawdziwy przepych, jaki w niektórych okolicznościach Kościół katolicki podczas nabożeństw swych rozwija — raczej na łagodzenie nędzy ludzkiej.

Oczywiście nie mówię tu o nędzy ostatniej albo o niebezpieczeństwie, zagrażającem społeczeństwu w razie wojny, moru, głodu itd., bo w takich razach, jak wiesz dobrze, Kościół nie żałuje niczego, nieraz już bowiem ofiarowywał swe klejnoty, przetapiał kielichy i zadłużał swe posiadłości, aby potrzebom takim zapobiedz; był bowiem zawsze pamiętny na słowa Pańskie, że milszem jest Bogu w takich razach miłosierdzie niż ofiara, t. j. wspaniałość nabożeństwa.

Podobnież nie przeczę, że lwia część t. zw. dóbr zbytecznych czyli pozostałych po opędzeniu wydatków przez stan i stanowisko wymaganych, iść powinna na ocieranie łez ludzkich — ale utrzymuję, że czyniąc to, nie trzeba zapominać o tamtem, bo i tamto z innych względów jest także zaspokojeniem potrzeb istotnych ludzkości.

* * *

A teraz posłuchaj.

Pewna światowa pani, co się o religię, wiarę św., obowiązki swe względem P. Boga wogóle nie wiele troszczyła, miała ze swą córką wiele kłopotu. Spotkawszy raz znajomego kapłana, poczęła się na nią uskarżać. —

— Ależ proszę pani, czyż pani na seryo sądzi, że córka pani dorosła, obowiązaną jest okazywać pani szacunek, cześć, posłuszeństwo, miłość, jednem słowem swe przywiązanie?

— I ksiądz mnie się o to pyta? Alboż nie jestem jej matką a ona moją córką? Czyż nie zawdzięcza mi swego życia? Czyż nie jestem jej największą dobrodziejką. — Czy jest obowiązaną być do mnie przywiązaną? Przecież natura sama przywiązała ją do mnie tak, że nic w świecie odwiązać jej nie potrafi i wobec tego nie miałaby ona obowiązku przywiązania swego mnie okazywać?

— Rozumiem. Pytam się tylko, czy okazywać je ma koniecznie przez zewnętrzne objawy szacunku i posłuszeństwa?

— A jakże ksiądz chce inaczej? Czyż ma mię uznawać za matkę i szanować jako matkę, a wobec ludzi zachowywać się jak wobec obcej?

— Więc pani naprawdę sądzi, że węzeł łączący panią i córkę jest nierozerwalny, na naturze rzeczy oparty, wymagający zewnętrznych objawów; i stąd córka pani, jeśli na niego się nie ogląda, z nim się nie liczy i w pewnych razach zewnętrznie go nie okazuje — jest swego rodzaju potworem moralnym, jak potworem fizycznym jest dziecko przychodzące na świat bez nóg, rąk, z dwoma głowami i t. d.?

— No oczywiście!

— Tego chciałem. A czemże tedy jest człowiek, moja Pani, który od P. Boga otrzymał

wszystko, który od Niego co chwila otrzymuje niezliczone dowody Jego miłości, troskliwości i opieki, — który z rąk Boskich wyszedł i jest od P. Boga zależny, jest z Nim związany węzłem nierozerwalnym, na naturze rzeczy opartym: a przytem nie chce P. Boga szanować czcić, uznać za swego Dobrodzieja i Ojca i w pewnych danych razach okazać to na zewnątrz? Czyż nie miałby on obowiązku mieć religię i przez kult zewnętrzny dawać jej swój wyraz zewnętrzny?

* * *

Tak! mój drogi. Człowiek bez religii — to potwór; a człowiek religijny swem religijnem uczuciom nie dający zewnętrznego wyrazu — to znowu niemożliwość. —

Bo jakże chcesz inaczej?

Takim już człowiek z natury swej jest. Złożony z ciała i duszy on nie żyje tylko duszą albo tylko ciałem, ale jednem i drugiem: stąd nie masz w nim żadnego objawu życia, któreby we większy lub mniejszy sposób nie odbijało się i na ciele i na duszy. Niektóre z nich koncentrują się co do istoty swej w duszy, jak np. akty rozumu i woli — to prawda, ale faktem jest, że równocześnie wywołują zawsze równoległe czynności organiczne w wyobraźni i systemie nerwowym, sercu. — A przeciwnie trawienie, wzrost, ból fizyczny i t. d. ze swej istoty koncentrują się

w ciele, jako funkcye jego organiczne, ale nie bez czynnego udziału w tem duszy.

To też choć człowiek przywiązanie swoje względem P. Boga powinien okazywać przedewszystkiem przez dobrowolne wewnętrzne Jego uznanie: uznanie Jego zwierzchności i poddanie Mu swojej woli — to jednak to wszystko powinien on także okazać zewnętrznie. Modlitwa jest jednym takim objawem przywiązania do P. Boga czyli objawem nabożeństwa. Jako zwrócenie myśli albo podniesienie jej do P. Boga jest ona aktem wewnętrznym; ale któż, kiedy, gdzie potrafiłby modlić się na seryo, nie podnosząc przy tem oczu swych albo rąk do nieba, albo tych rąk nie składając, albo nie uginając kolan, lub kornie nie pochylając głowy, albo w inny sposób skupienia i szacunku swego nie okazując.

Kult tedy zewnętrzny jest uzasadniony w samej naturze człowieka, jako istoty z ciała i duszy złożonej.

* * *

Jest on także, mój drogi, uzasadniony i tem, że człowiek w dowód uznania niezliczonych dobrodziejstw P. Boga i zależności swej od Niego, część dóbr od Niego otrzymanych poświęcić Jemu powinien.

P. Bóg tych dóbr nie potrzebuje; ale domaga się naszej miłości. I rodzice na święta, imieniny, urodziny, podarków od dzieci swych nie potrzebują — a jednak przyjmują je, cieszą

się z nich, spodziewają ich; bo te podarki są znakiem pewnym ich ku nim miłości.

Kto drugiego prawdziwie serdecznie kocha, ten pragnie mu coś dać, i im więcej kocha, tym więcej daje, bo im więcej daje tem więcej swą miłość zaspokaja. —

Takim jest człowiek względem podobnego sobie człowieka, czyż miałby być innym względem P. Boga? Miłość jego do P. Boga jest wyższa, szlachetniejsza, cenniejsza i potrzebniejsza, — ale miłością być nie przestaje. Kochał zaiste! P. Boga ten, co wybudowawszy Mu świątynię, napisał u wejścia:

»Z darów Twoich — Tobie ofiara«.

Tyś dał — boś mnie kochał. I ja daję, bo Ciebie kocham. Jak kiedyś krew Abla o pomstę do P. Boga wołała, — tak w innym tonie kamienie takiej świątyni wołać do Niego nie przestają, że ten człowiek miał miłość ku Niemu, bo okazał to w czynie.

A że P. Bóg w Majestacie Swym jest nieskończony i miłość człowieka ku Niemu wrasta w nieskończoność, cóż tedy dziwnego, że, w żywej wierze przed Majestatem Jego się korząc, a przejęty będąc tą miłością, stara się domy Boże budować tak wspaniale, z takiem przepychem i bogactwem sztuki, żeby na pierwszy rzut oka różniły się od domów ludzkich. Dlatego jaśnieje w nich złoto i srebro, czuć zapach kwiatów i wonność kadzidła, rozlegają dźwięki harmonijnego śpiewu - muzyki kościelnej.

W ten sposób za pośrednictwem człowieka wszelkie stworzenie Stwórcy swemu składa hołd czci i chwały, wracając do Tego, od kogo wyszły, ręką człowieka oczyszczone, uszlachetnione i uświęcone.

»Ale Pan Bóg nie potrzebuje tego, Jemu wystarcza serce.«

»Nie potrzebuje!« On i serca naszego nie potrzebuje, bo i bez niego jest nieskończenie szczęśliwy.

»On nas nie potrzebuje«, ale my Jego potrzebujemy i to nawet bardzo i z wielu względów.

»Jemu wystarcza serce? Tak! ale nie byle jakie, tylko serce pobożne, miłujące, gotowe oddać Mu objawy zewnętrzne czci, miłości a to przedewszystkiem wtedy, gdy Kościół w Imieniu Bożem tego od niego zażąda.«

Otóż wierzaj mi, serce tych, co tak mówią, nie jest sercem, jakiego po Swych sługach i dzieciach oczekuje Pan Bóg. Spróbuj tylko zapytać ich bliżej, jakie są objawy czci wewnętrznej, którą na ołtarzu swego serca, w świątyni wszechświata Stwórcy wszechrzeczy składają? Zobaczysz, jak się poczną wykręcać...

»Świątynia przyrody, świątynia serca« — to są piękne słowa, szumne frazesy, ale nic więcej, według owej dawnej łacińskiej recepty: vox, vox, praetereaque nihil.

Okazanie P. Bogu swej miłości, której przyczyna znowu tkwi także w naturze

rzeczy: oto drugi powód i uzasadnienie potrzeby zewnętrznego nabożeństwa. Jest jeszcze inny.

* * *

Człowiek ma takie usposobienie, że, aby wywoływać i podtrzymywać swe uczucia, potrzebuje p o d n i e t y zewnętrznej. Ileż to razy widok pamiątki po zmarłym ojcu, matce lub innej blizkiej nam i drogiej osobie, do głębi porusza nasze serce i łzy wzruszenia z oczu wyciska. Stąd wiemy, z jaką starannością przechowują ludzie tego rodzaju rzeczy, jaką cenę do nich przywiązują, szczególnie, gdy chodzi o ludzi im drogich, sławnych lub zasłużonych.

Wrogowie Kościoła i w tym względzie, jak w wielu innych, są dziwnie niekonsekwentni. Protestanci np. z rzeczywistem czy udanem tylko oburzeniem występują przeciwko czci, jaką Kościół katolicki oddaje relikwiom Świętych, wtedy, gdy sami z największym pietyzmem, niemal nabożeństwem przechowują pamiątki po Lutrze, Goethem, Szyllerze, — ich portretami, posągami i podobiznami przyozdabiają swe zbiory, salony i pracownie.

A Twoi wolnomyślni koledzy czyż postępują inaczej? Z relikwii Świętych sobie szydzą, z uśmiechem pogardliwej litości mówią o ludzie prostym, który je czci i szanuje, a sami tymczasem jak największego skarbu strzegą wstążki, kwiatku, listka, który dotknął się rąk uwielbionej przez nich śpiewaczki, — czcią największą

otaczają wszelką po nich pamiątkę, noszą je przy sobie, do ust przyciskają... A biada temu, ktoby się ośmielił z tego sobie żartować!

Takim człowiek był i będzie. Uczucia jego potrzebują podniety zewnętrznej, aby nie zginąć i zewnętrznego przedmiotu, aby się nań wylewać.

Cóż tedy dziwnego, że i uczucie religijne te same ma potrzeby?

»Uważam to za zwyczaj bardzo chwalebny, pobożny i miły — pisze pani de Stael, protestantka, — że katolickie kościoły są cały dzień otwarte. My protestanci powinniśmy to naśladować. Jakże często bowiem zdarzają się chwile, w których człowiek czuje potrzebę udania się na samotność, — na miejsce święte i tam wylania serca przed P. Bogiem. — Za każdym razem, co wchodzę do kościoła, czuję w duszy jakieś dziwne wzruszenie, które tak dobrze mi robi, tak mnie pokrzepia, tak serce podnosi, uszlachetnia i ze światem jedna.«

Wie to rozpanoszona dziś masonerya i komenderujący nią żydzi. To też stara się ile może usunąć wszystko, coby uczucie takie wywoływać mogło. Na razie kościołów i kaplic poburzyć wszędzie nie może, więc przynajmniej świeckim budynkom przez frontony, wieżyczki, kopułki coraz częściej nadaje te same kształty, jakie dotychczas były oznaką domów poświęconych P. Bogu. — Taktyka zrozumiała. Raz, drugi, setny przekonawszy się, że coś co z daleka wydawało się kościołem lub kaplicą,

zblizka okazało się teatrem, ratuszem, pocztą szkołą lub czemś podobnem, dojdzie się powoli do tego, że widok prawdziwego kościoła już wrażenia więcej nie zrobi, — uczucia religijnego w sercu nie wywoła.

Dla tej samej przyczyny wydała taż sama masonerya hasło wyrzucenia zewsząd krzyża, — godła naszego zbawienia. — Krzyż w oczach jej jest zgorszeniem i przedmiotem wzgardy. Rozumie się jak żydom, ich przodkom i poganom za czasów św. Pawła. Temu się nie dziwić, ale dziwić tym chrześcijanom którzy dobrowolnie, świadomie opanować się dają żydostwu do tego stopnia, że służą im za podłe narzędzie do zaspokojenia szatańskiej ich nienawiści krzyża.

Przed laty zwiedzałem cmentarz Père La Chaise w Paryżu. Zaraz naprzeciw wejścia uderzyła mnie kolumna złamana. Znany to symbol beznadziejny śmierci, używany często w starożytnym, pogańskim świecie. »Tu był dawniej krzyż, objaśniał mnie mój przewodnik — ale go usunięto, od kiedy cmentarz ześwieczczono i bez różnicy wyznań pozwolono chować tu wszystkich, bo chciano uszanować uczucie nie chrześcijan.« Więc ponieważ krzyż razi kilku żydów dlatego uczucia setek, tysięcy chrześcijan mają być pogwałcone. Cóż robić, żydzi mają pierwszeństwo. Co znaczą choćby miliony chrześcijan (gojów) wobec jednego żyda? Przecież wedle Talmudu ludźmi są tylko żydzi, a chrześcijanie — to rodzaj szlachetnych zwie-

rząt, stworzonych przez Jehowę na obsługę wybranego narodu. Któżby się tedy ze zwierzęciem, jego uczuciami, jako r z e c z ą liczył? Chrześcijanin — to nie o s o b a, ale rzecz; stąd prawa żadnego on nie ma. Zabić, okraść, i oszukać żyda — to ze strony żyda grzech; ale to samo uczynić chrześcijaninowi, jeżeli można zrobić to bezkarnie, grzechu niema [1]).

A jednak!

»Jednak krzyż — to godło zbawienia — woła do przedstawicieli świata dziesiejszego pewien protestant — któryście zatknąć powinni wszędzie, nie tylko na waszych kościołach. Owszem on jaśnieć powinien i na waszych gmachach publicznych, na waszych pałacach, aby wam przypominać, że i wy macie swe obowiązki, że i was za grzechy czeka sąd straszny. »Jeżeli na zielonem drzewie to czynisz cóż będzie na suchem?«

»Powinien także swe dobroczynne ramiona rozciągnąć nad chatą ubogiego, aby mu przypominać, że, dzieląc z Chrystusem cierpienie, upokorzenie, poniżenie, trud i niedostatek, dzielić z Nim może także Jego chwałę, byleby był cierpliwym. — Na krzyż powinni zwracać swe oczy wszyscy i wielcy i mali, aby się uczyć pokory, zaparcia siebie, aby się zaprawiać do walki z pychą, i innemi namiętnościami, które p r z e c i w d u c h o w i w c i e l e i c h walczą«.

---

[1]) Obszernie to wykazuje Prof. Dr. Józef Rohling w swem słynnem dziele: Der Talmudjude.

Tak już sam widok krzyża, mój drogi, może wywołać zbawienne refleksye i uczucia. Cóż dopiero te różne czynności kościelne, które we właściwem znaczeniu nazywamy nabożeństwami!

Podnieta do uczuć religijnych: oto racya trzecia, przemawiająca za kultem zewnętrznym.

* * *

»No! teraz o potrzebie jego jestem przekonany. Kult zewnętrzny jest potrzebny, ale po co ten przepych? Czyż większa prostota i skromność nie byłaby bardziej na miejscu!«

Jak Ci o to chodzi, masz jej ile chcesz w tysiącznych ubogich kościółkach wiejskich, w misyach, w czasie prześladowania. — Wtedy Kościół zadowala się tem, co jest koniecznem i o przepychu nie myśli. Wierzaj mi, widziałem to zblizka, kiedym bawił na misyach w Afryce.

Ale gdzie na to zdobyć się może, gdzie życie religijne się więcej koncentruje, jak w Stolicach biskupich a jeszcze bardziej w jego sercu — w Rzymie; to znowu co innego.

Tam pobożność powinna się zdobyć nietylko na przybytki Pańskie, na nabożeństwa uroczyste; ale powinna się na nią wylać, bez względu na żadne granice, bez miary, skoro chodzi o oddanie czci i miłości Temu, który granic nie ma.

P. Boga miłować powinniśmy nadewszystko. Nad wszystko inne doczesne cenimy sobie

złoto, srebro, drogie kamienie: więc ze złota i srebra powinniśmy uczynić naczynia, przeznaczone do Jego służby, przyozdabiać je w drogie kamienie. Od złota powinny błyszczeć, ze złota kapać nasze ołtarze i kościoły...

Nad sukno, płótno cenimy więcej drogie materye, w nie się w chwilach uroczystych ślubu, ku większej radości stroimy, ubieramy nasze mieszkania: więc z nich też powinny być zgotowane kościelne szaty, na większe uroczystości ozdobione kościoły.

Flagami, festonami, zielenią, tryumfalnymi łukami stroimy nasze ulice, gdy niemi przejeżdża monarcha ziemski, o ileż bardziej należy się to, gdy w procesyi uroczystej idzie przez nie monarcha niebieski, nasz Pan, pod postaciami Chleba ukrywający Swój Majestat!

To naturalne, to konieczne.

* * *

Odczuł to nawet, zresztą z wszelkiego uczucia religijnego wyzuty Fryderyk II, kiedy porównywując nabożeństwo katolickie z protestanckiem, miał powiedzieć: »Kalwini obchodzą się z Panem Bogiem jak ze sługą; luteranie — jak z równym sobie; jedynie katolicy obchodzą się z Nim jak z Bogiem«.

Odczuwał to jego przyjaciel Wolter, kiedy o Komunii św. mógł tak wzniośle pisać:

Wśród uroczystego nastroju, na tle migocących się świateł, przy słodkich dźwiękach wzruszającej muzyki kościelnej, u stóp ołtarza

błyszczącego złotem i srebrem, klęczą ludzie w skupieniu. Za chwilę przyjmą oni do serca Swego Pana i Boga...

»Wyobraźnia ich jest porwana, dusza wzruszona i podniesiona, świat cały ze wszystkiem, co na nim się znajduje, cofnięty w dal, a z wyżyn niedościgłych zbliża się do nich, łączy się z nimi ich Bóg... A oni w skupieniu i zachwycie modlą się...

»Myślałbyś, że ulecieli na skrzydłach ducha z tej ziemi, gdyby oddech zaledwo dostrzegalny nie zdradzał, że jeszcze żyją...«

Wzorowym chrześcijaninem Napoleon Bonaparte nie był. Daleko mu było do tego, ale był człowiekiem wierzącym, i jak każdy Włoch wrażliwym na to co wzniosłe, poetyczne i piękne. — To też razu pewnego, kiedy jako pierwszy konsul z ministrem swym Thibaudeaud załatwiał jakąś sprawę, nagle zamilkł, spoważniał, zatopił się w myślach, a potem rzekł: »Czy słyszysz tam z poblizkiego kościółka dolatujący nas głos dzwonów wieczornych? — Wiesz, przyjacielu, słuchać ich nie mogę bez wzruszenia. Ileż to one mówią memu sercu? — Lata dziecinne, pierwsza Komunia, nabożeństwa uroczyste, na których jako dziecko tak chętnie bywałem...«

No i tak jest. W naszem katolickiem nabożeństwie dzwony zajmują ważne miejsce, dlatego się je poświęca, nadaje imię. — One swym naprzemian smutnym i wesołym głosem towarzyszą nam we wszystkich objawach religijnego naszego życia. One lud wierny zwołują do

kościoła, zwiastują mu radosną nowinę, że oto znowu zstąpił Pan i Zbawca na ziemię we Mszy św., która się teraz odprawia i ukryty pod postaciami chleba przychodzi do nas, błogosławiąc nam i dobrze nam czyniąc, — one zachęcają nas rano, w południe i wieczorem do pozdrowienia naszej Królowej i Matki, — donoszą swym dźwiękiem ponurym, że dusza jednego z nas właśnie stanęła przed sądem Bożym, potem ciału jego towarzyszą na miejsce, gdzie aż do dnia zmartwychwstania będzie ono spoczywało... jednem słowem dostrajają się do życia naszego: weselą się z nami, gdy się weselimy, smucą się, gdy się smucimy.

* * *

Ale ja wolę widzieć Kościół bez pretensyi, ubogim, skromnym, jakim był w swych pierwszych początkach.«

Co chcesz przez to powiedzieć? Czy może to, że żadne nabożeństwa nie są potrzebne, żadne malowidła, obrazy święte, bogate sprzęty kościelne, jak mówią protestanci...

Otóż, mój drogi, dziś żaden historyk, co się szanuje, nie powie tego po odkryciach, które w katakumbach rzymskich porobił niezapomniany Cavalero de Rossi i archeologowie z jego szkoły. — Pokazało się, że w tych trzech pierwszych wiekach miał Kościół swoje bardzo urozmaicone nabożeństwa, malowidła i rzeźby, szaty i srebra kościelne, — że przytem wierzył w prymat papieża, czcił Najśw. Pannę, miał wszystkie Sakramenta.

Żadna książka, ani żadna logika nie przemawia z taką siłą za temi prawdami, które stanowią treść zasadniczą nauki katolickiej, jak napisy, obrazy i freski w katakumbach. — Wszystkie podstawowe dogmaty, obecność P. Jezusa w przenajśw. Sakramencie, ofiara Mszy św., nabożeństwo do Matki Boskiej i Świętych i t. d. odnajdujemy u pierwszych chrześcijan, jako treść ich wiary i ich religijnych praktyk. To też nic dziwnego, że niejeden protestant, zwiedzając rzymskie podziemia, nawraca się do rzymskiego Kościoła.« (Hansjacob).[1])

Otóż co do istoty rzeczy t. j. istoty zewnętrznego kultu między nami a pierwszymi chrześcijanami niema żadnej różnicy. Jest za to różnica inna, ale nie istotna, różnica w formie rozwoju, podobna do tej, jaka zachodzi między rozumem Twoim dzisiejszym a Twym rozumem z przed dziesięciu laty, kiedy byłeś dzieckiem. Co do istoty sumarycznie — to samo, jak ta sama sumarycznie wzięta, indywidualność, ale co do przypadłości, jakaż ogromna różnica! — I wtedy w Twym rozumie były myśli, sądy, pojęcia, siła rozumowania — ale czemże to w porównaniu do tego co jest dzisiaj!

Tak i z Kościołem i z jego kultem zewnętrznym. W pierwszych wiekach istniał on zasadniczo, jak dzisiaj, ale nie miał jeszcze tego bogactwa zewnętrznych objawów, jakie dzisiaj ma. To różnica nie dwóch rzeczy różnych, ale

[1]) Henryk Hansjacob, Italien II. wyd. t. II. str. 245.

jednej i tej samej w różnych fazach rozwoju. To też chcieć przywrócić stan pierwotny jest żądać dziwolągu, absurdu, śmierci.

Takie oczyszczanie kultu, obrządku z rzekomych późniejszych naleciałości papieskich, łacińskich czy greckich, — jest objawem niezdrowym i niebezpiecznym, złączonym z mniej lub więcej świadomem fałszywem pojęciem o Kościele, jako mumii, — wtedy gdy Kościół katolicki we wszystkich swych objawach jest organizmem żyjącym, a więc nie tylko zdolnym do rozwoju, ale rozwijającym się z całą koniecznością rzeczy. — Zatrzymać ten rozwój, a tembardziej go cofnąć, znaczy go zabić. —

To też widzieliśmy już nieraz, że oczyszczanie z naleciałości i przywracanie do pierwotnej czystości objawów kościelnego życia było początkiem końca t. j. początkiem odpadnięcia od zdrowego pnia Kościoła gałęzi już zeschłych.

* * *

»No, my jednak zawsze sądzimy, że dziś przynajmniej wobec jątrzącej się coraz bardziej kwestyi socyalnej i mnożącego proletaryatu, lepiejby poprzestać na tem co niezbędnie potrzebne, a resztę oddać ubogim. Co z tego zbytku?«

»Resztę oddać ubogim.« — Gdyby wam, moi panowie, o ubogich chodziło, moglibyśmy ze sobą jeszcze pomówić. Ale wam tak chodzi o ubogich, jak swojego czasu chodziło o nich zdrajcy Judaszowi, kiedy Maryi Magdalenie wy-

rzucał marnotrawstwo kosztownego olejku, wylanego przez nią na stopy Pańskie. »Przecz tego olejku nie sprzedano za trzysta groszy i nie dano ubogim?«

Wam o ubogich chodzi? W takim razie czemu o nich nie pamiętacie, kiedy setki tysięcy z funduszów publicznych: państwowych, krajowych, miejskich, gminnych idą na budowanie wspaniałych i zbytkownych klubów, resurs, utrzymanie teatrów, urządzanie bankietów, balów i inne tym podobne cele? — czemu tych pieniędzy nie użyjecie na chleb dla proletaryuszów, przymierających z głodu i marznących ze zimna?

Czemu o ubogich nie pamiętacie, kiedy łożycie tysiące na suknie, kapelusze, toalety waszych córek i na niepotrzebne wyjazdy po wodach i kąpielowych miejscach, na hazard, grę w karty, ruletę... i inne »przyjemności życia«? Czemu?

Nie! o ubogich wam nie chodzi. Gdyby wam o nich chodziło na seryo zaczęlibyście od siebie, i, zredukowawszy wydatki wasze do tego, co jest niezbędne, resztę byście oddali ubogim. Wtedybyście mogli stawiać takie zarzuty Kościołowi.

Tymczasem wiedźcie, że to, co na podniesienie kultu jest przeznaczone, nie byłoby lepiej oddać ubogim, jak chciał Judasz, ale jest lepiej oddać Chrystusowi Panu, jak On sam tego żąda.

I tamto trzeba robić i nie opuszczać.

* * *

Bo zresztą to nie jest prawda, że co się poświęca na służbę Bożą, budowę kościołów, podniesienie nabożeństwa, zabiera się ubogim, bo to się im choć w innej formie wraca.

Do pewnego proboszcza przyszła kiedyś wdowa, najuboższa osoba w jego parafii, ofiarowując mu drobną jałmużnę na »ubogich«.

— Ależ, moje dziecko, — zawołał tenże zdziwiony. — Ty jesteś u nas najuboższą, więc schowaj to dla siebie.

— Ja ubogą! Ks. proboszcz chyba zapomniał, że jestem królową. Wprawdzie płaszczem królewskim są mi dzisiaj łachmany, ale przyjdzie czas, że będzie inaczej, kiedy wejdę w posiadanie królestwa, które już dzisiaj do mnie należy. Przecież P. Jezus powiedział: »Błogosławieni ubodzy, albowiem ich jest Królestwo niebieskie«.

I miała słuszność.

Otóż tę godność królewskości, to wysokie przeznaczenie przypomina ubogiemu wszystko co do zewnętrznego należy nabożeństwa. — Przez sześć dni powszednich tygodnia zgina się on ku ziemi i przypomina sobie niewolę, w jaką się dostał i karę, na jaką zasłużył; słusznem jest tedy, aby przynajmniej w dniu siódmym, poświęconym niebieskiemu Ojcu, przypomniał sobie, że utraconą godność odzyskał. W swem ubogiem mieszkaniu czuje się on poniżony, niechże w swym kościele będzie podniesiony na duchu i pokrzepiony.

Kto tedy przyczynia się do podniesienia wspaniałości przybytków Pańskich i nabożeństwa, ten ubogiemu daje jałmużnę, nie dla ciała, ale dla ducha; a przecież jałmużna dla ducha jest nieraz pożądańszą i potrzebniejszą, niż jałmużna dla ciała, bo śmierć głodowa zabiera człowiekowi tylko życie ciała doczesne, a brak religii i pobożności zabrać może w dodatku i życie duszy... i to na wieki.

* * *

O tem także nie zapominaj, że sąd, co w danej okoliczności jest koniecznie potrzebnem, co tylko pożytecznem, a co wreszcie zbytkownem, należy do ludzi w tej mierze kompetentnych.

Dobrze mówi przysłowie: Szewcze, pilnuj swego kopyta...

O tem co do nabożeństwa potrzeba a co nie, sąd należy się Kościołowi i jemu samemu, bo on jeden jest w tej mierze kompetentnym; — on jeden może użyć miary odpowiedniej. W tych rzeczach miara rozumu samego nie wystarcza. Tu przyłożoną być powinna miara rozumu, oświeconego wiarą, inaczej sąd będzie wart tyle, co ślepego o kolorach, albo głuchego o dźwiękach.

A rozumiem tu pod Kościołem nie tylko Kościół nauczający t. j. hierarchię, ale każdego katolika, znającego dobrze zasady wiary i niemi przejętego. Otóż powiadam, że takiego sędziego przepych nabożeństw nie tylko razić nie będzie, ale on w nich zobaczy natu-

ralny, potrzebny, konieczny objaw przekonań i uczuć, które w sercu swem czuje. Oczywiście materyalista, nie uznający dóbr wiecznych, ani potrzeb duszy, tylko dobra doczesne i potrzeby ciała, sądzić będzie inaczej. Ale jemu co do tego?

Człowiek zaś wierzący, w kościołach i kaplicach widzi przybytek Pański, dom Boży, mieszkanie Najwyższego. W nich w sposób tajemniczy sprawuje się Przenajświętsza Ofiara Mszy św., tam pośród Swych dzieci staje Chrystus Pan, Zbawiciel świata, aby między nimi a Ojcem niebieskim pośredniczyć — za nich i z nimi oddawać Mu cześć, chwałę, dziękczynienie i do ich modlitw przyłączać Swoje zasługi. — Wobec Jego Boskiego Majestatu zacierają się wszelkie różnice między ludźmi. Tu niema bogatego i ubogiego, mądrego i prostaczka, są tylko biedni i grzeszni potomkowie Adama, których On, Chrystus, odradza na duchu, odziewa w szatę łaski, leczy, pociesza i oświeca.

Kościół więc — to mieszkanie Króla królów i Pana panów; to miejsce, gdzie się On spotyka ze Swymi sługami, gdzie im daje zbawienie, pociesza i uświęca.

Kościół — to pałac, przeznaczony na przyjęcie Chrystusa Pana. Jeżeli nikt się nie dziwi wspaniałości i przepychowi gmachów, w których mieszkają monarchowie i możni tego świata, czemuż miałoby razić, że przybytek Najwyższego podobną, albo większą jeszcze ozdobiony jest wspaniałością? Kto ma wiarę, ten łatwo zro-

zumie, że tak być powinno, — a kto jej nie ma? Niech się w nię swoje sprawy nie miesza.

»Pewien biskup pobożny wiarę św. katolicką przyrównał do okien kolorowych świątyń gotyckich. Z zewnątrz bezładne, bezmyślne krzyżowanie się linii, w których zaledwie wprawne oko czegoś dopatrzyć się potrafi, — a z wewnątrz nieraz prawdziwe arcydzieło, zachwycające oko harmonią i żywością swych barw, a podnoszące serce bogactwem swej myśli. Wrogowie nasi niech do nas przyjdą i z wewnątrz, z naszego punktu widzenia niech także na nasze zasady, zwyczaje, obrzędy i instytucye popatrzą, a przekonają się, że wyglądają one inaczej niż z ich punktu widzenia. Wtedy zobaczą ile w nich światła, harmonii, piękności i pożytku«.[1])

[1]) Ks. biskup Korum na wiecu katolików niemieckich w Trewirze 1887.

LIST III.

O modlitwie.

»Precz ze szkoły z katechizmem!« — »Ja Panu Bogu nie chcę się naprzykrzać?« — »P. Bóg żąda czynów, nie modlitwy.« — Umie dobrze żyć, kto umie dobrze się modlić. — »Miałbym też co robić?« — »Modlitwa dobra dla kobiet, ale nie dla nas.« »Co? ja miałbym klepać pacierze? Nigdy«. — O pracy tych, którzy sprawują zło. — Fatalizm. — »Nie mam czasu na modlitwę«. — »Gdzieżbym śmiał rozmawiać z P. Bogiem, ja taki grzeszny.« — »Zawsze to samo w kółko powtarzać! co za sens?«

Dnia 22 lutego 1910 r. odbył się w hotelu Kleina komers studentów krakowskiego uniwersytetu zrzeszających się pod hasłem »postępu«, a złożonych z socyalistów i żydów, na którym większością 180 głosów[1]) postanowiono: 1) Wyrzucenie wydziału teologicznego z uniwersytetu. 2) Odłączenie od uniwersytetu szkół wyznaniowych(?). 3) Zniesienie nabożeństwa na początku i końcu szkolnego roku. —

Oczywiście licznie zebrana na tymże komersie młodzież katolicka mniejszością 125 gło-

[1]) W 1910 r. liczył uniwersytet krakowski przeszło 3000 słuchaczów.

sów uchwaliła »votum separatum« treści przeciwnej.

Ciekawy to objaw. W mieście katolickiem, wśród społeczeństwa katolickiego, w samem sercu niemal narodu, którego sprawa jak najściślej związaną jest ze sprawą Kościoła katolickiego, wobec ogromnej większości studentów, jeżeli nie zawsze praktykujących, to w każdym razie z religią nie zrywających — występuje marna garstka żydów i pod komendą ich znajdujących się wszelkiego rodzaju »postępowców« i zabiera się do tego, aby (excusez du peu) Wszechnicę Jagiellońską pozbawić fakultetu, który przez pięć wieków stał zawsze na jego czele — aby wogóle wszystkie szkoły (z wyjątkiem oczywiście hajderów) pozbawić cechy religijnej a przedewszystkiem, aby oszczędzać nerwy żydowskie, drażnione przez nabożeństwa oficyalne na początku i końcu roku szkolnego.

Przecież ani żydów, którzy dopiero co swe pejsy pogolili i swe poobcinali hałaty, — ani czerwonych socyałów, ani postępowych demokratów nikt nie zmusza do brania w tych nabożeństwach udziału. Ależ wtedy, co im to szkodzi? Co im to zawadza? Skąd na myśl protestowania wogóle przychodzą?

Skąd! Oto masonerya. wysługująca się żydostwu, jak ci pisałem przy innej sposobności, rzuciła w świat hasło: »Precz z katolicyzmem! Wszystko, na czem Kościół katolicki położył rękę, ma być oczyszczone (!), sekula-

ryzowane, laicyzowane, aby nie raziło nerwów[1])... ludu wybranego«...

I to hasło przedostało się i do nas.

»Modlitwy im nie potrzeba«...

Dla czego!

* * *

Pan Bóg wie na czem nam zbywa, bo jest wszechwiedzący: więc po co Mu to przypominać? po co Mu się naprzykrzać!«

Przypominać tego P. Bogu niema żadnej potrzeby, na to zgoda; ale jest potrzeba i to bardzo wielka, aby Go o to prosić. — Jakby rzadką było rzeczą, widzieć człowieka wpływowego, monarchę, wysokiego dygnitarza, pana wielkich włości, który zna doskonale potrzeby zależnych od siebie osób, a jednak ich nie zaspokaja, aż go o to poproszą. Nieraz robią to z zasady, aby interesant wiedział, że mu się dana łaska nie należy z prawa. Tak samo postępują nieraz rodzice, chcąc dać dzieciom

---

[1]) Nerwy żydowskie są dziwnie drażliwe! Ktoby mógł przypuszczać, że widok sukni kapłańskiej a nawet samego tylko obojczyka, służącego w Niemczech za zewnętrzną oznakę kapłana — je drażni. W 1909 roku zjechał ks. B. K. z Poznania na kuracyę do Reichenhallu w ubraniu zupełnie świeckiem. W drodze poznał dwóch żydów niemieckich. Byli nim zachwyceni. Kiedy jednak wkońcu się przedstawił jako ksiądz, poczęli go chwalić: »Oto, takich księży rozumiemy. Oby ich więcej! Po co te sutanny? Po co te czarne kolory. Nie lepiej to chodzić ubranym jak wszyscy.« —

sposobność okazania, że im ufają, są od nich zależni i im posłuszni.

Pan Bóg zasypuje człowieka swemi dobrodziejstwami[1]) bez jego prośby. O tem łatwo przekonać się może każdy, kto choć trochę się zastanowi; ale w pewnych wypadkach P. Bóg na nią czeka, czeka na modlitwę, aby dać mu sposobność podniesienia serca do Niego, przypomnienia sobie Jego Ojcowskiej dla nas miłości, uznania Go za źródło wszelkiego dobra, ukorzenia się przed Jego Majestatem i wyznania od Niego swej zależności.

Przez modlitwę oddajemy P. Bogu cześć i chwałę tj. wypełniamy nasze przeznaczenie, stajemy się, że tak powiem, cząstką produktywną wszechświata, gałązką na drzewie stworzenia zieloną i przynoszącą owoc.

Oto pierwsza przyczyna, dlaczego powinniśmy się modlić.

* * *

Inna przyczyna jest podniesienie ducha do P. Boga.

---

[1]) »Jakże strasznie niewdzięcznym jest człowiek, który w lenistwie opuszcza swe ręce, kiedy na rozkaz Pański świat cały dlań pracuje: dla niego słońce i księżyc są w ciągłym biegu, szlą mu swe ciepło, światło i życie; ziemia gotuje mu pożywienie, pszczółka zbiera miód, owca szykuje swą wełnę, krowa mleko, winna macica — swój słodki napój. Wszystkie stworzenia służą człowiekowi, zaspakajając jego potrzeby... a on nieraz nie myśli nawet podziękować Temu, co tyle mu świadczy dobrodziejstw«. Św. Jan Jałmużnik.

Wyszedłszy z rąk Boskich, mamy do Pana Boga wrócić, złączyć z Nim węzłem najściślejszym chwały niebieskiej i cieszyć się Jego szczęściem. Stąd kwestya węzła wiążącego nas z P. Bogiem, jest dla nas kwestyą ze wszystkich najbardziej piekącą. Otóż ten węzeł wzmacniamy, powiększamy, utrwalamy, ile razy podnosimy myśl i serce do P. Boga, czyli ile razy się m o d l i m y.

A że z drugiej strony po upadku w grzech Adama to podnoszenie serca do Pana Boga — skądinąd potrzebne nam jak rybie woda, a ptakowi powietrze — stało się trudnem, mozolnem: więc cóż dziwnego, że P. Bóg łagodnie i łaskawie zmusza nas do niej siłą rzeczy, przez różne doczesne potrzeby, których zaspokoić inaczej nie możemy, jak przez modlitwę. —

Niedarmo mówi przysłowie: »Jak trwoga, to do Boga«.

»Po co się P. Bogu naprzykrzać?«

Ciekawa rzecz. To tak jakbym powiedział: »Po co to pisanie prośby do króla — staranne stylizowanie petycyi? — Po co to wołanie lekarza i opowiadanie mu swego cierpienia? Po co szukanie adwokata i wyłuszczanie mu swej sprawy? Któż widział im się naprzykrzać? — No! w tem nie byłoby sensu; bo tu nie chodzi o n a p r z y k r z a n i e, ale o potrzebę, którą w pierwszym wypadku zaspokoić może j e d y n i e król, w drugim lekarz, w trzecim adwokat, w innych inny, a we wszystkich zawsze zaspokoić może Pan Bóg. To też jak zdrowy mój

rozum wymaga, abym w wymienionych potrzebach udawał się do pewnych ludzi i ich prosił o udzielenie mi pomocy, tak też wymaga, abym we wszystkich swych potrzebach udawał się przedewszystkiem do Lekarza najlepszego, do najskuteczniejszego Obrońcy, najhojniejszego Pana i Jemu w kornej modlitwie potrzeby swe przedkładał.

On wszystko może nam dać, bo jest wszechmocny; wszystko chce dać, bo jest dobry i łaskawy; jeden tylko stawia nam warunek: abyśmy Go o to, czego pragniemy, w kornej poprosili modlitwie. Przytem nie wymaga słów wyszukanych ani pięknych frazesów. Jemu wystarczy serce wierzące, pokorne i ufające, przedkładające prośbę jak je na to stać.

A jednak dla niektórych ludzi i tego jeszcze za wiele. Zamiast służyć P. Bogu, oni chcą, żeby P. Bóg im służył. Co za pretensya!

* * *

»Pan Bóg żąda od nas czynów a nie modlitwy«.

Doprawdy! modlitwy nie żąda ale żąda tylko czynów? — A skądże to, panowie, wiecie? Czy wam to może sam Pan Bóg objawił?

Bo my wiemy i to ze źródła bardzo pewnego, że rzecz ma się przeciwnie, — że On jednego i drugiego żąda i to bardzo stanowczo, On to, bowiem powiedział: »Proście a będzie wam dano, szukajcie a znajdziecie, kołaczcie

a będzie wam otworzono«. A św. Paweł, Jego Apostoł, stosując to do pierwszych chrześcijan, taką daje im radę: »Bez przerwy się módlcie«.

Nie! Bóg żąda od nas modlitwy i to tak, że uczynki nasze podobać Mu się nie mogą, jeżeli ich przez modlitwę nie uświęcimy.

Podoba się P. Bogu kto czyni dobrze, a złego unika. Otóż jak z jednej strony jest rzeczą pewną, że »łaska Boska (wedle ostatniej z t. zw. Sześciu Prawd Wiary), do zbawienia jest koniecznie potrzebna« czyli, że przez czas dłuższy bez łaski Boskiej, o własnych siłach żyć cnotliwie nie można, — tak z drugiej, nie można także bez modlitwy tej łaski sobie zapewnić.

Cnota — to skarb, na który liczni, zacięci i potężni zasadzają się wrogowie wewnątrz i zewnątrz człowieka, nie spuszczając go nigdy z oka i nieraz, gdy najmniej się tego spodziewa, rzucając się na niego z całą siłą, aby wwieść go w pokuszenie, w zasadzkę i zgubić przez grzech ciężki.

Otóż kto nas w chwili takiej pokusy, czyli napaści przed rabusiami duchowymi, obronić potrafi i bez szwanku z pobojowiska, z pokuszenia nas wyprowadzi? Kto? Jedynie Bóg. Dlatego to Chrystus Pan w przewidywaniu takiej walki sam się modlił w Ogrójcu i Apostołów do modlitwy zachęcał, mówiąc: »Czuwajcie i módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie«.

Bez modlitwy tedy, nie ma miłych Panu Bogu uczynków. Dlatego mawiał św. Augustyn: umie dobrze żyć, kto umie dobrze się modlić, (scit bene vivere, qui bene scit orare).

* * *

»Pan Bóg wymaga dobrych uczynków, życia cnotliwego a nie modlitwy«.

Właśnie dlatego, że ich wymaga, żąda także modlitwy, bo dobre uczynki i życie cnotliwe są owocem modlitwy. Kiedy Józefa Patryarchę rozpustna żona Putyfara zachęcała do grzechu, — kiedy czystą i niewinną Zuzannę nagabywali bezbożni starcy, — gdzie szukali oni ratunku? gdzie znaleźli skuteczną pomoc?

Oto nie gdzieindziej, tylko w modlitwie. Stąd też, kiedy w sercu młodzieńca niewinnego ni stąd ni zowąd zapali się ogień żądzy i grzesznych namiętności, dokąd ma się on udać? Oczywiście znowu do Pana Boga za pomocą modlitwy. Po wszystkie czasy, aż do końca świata najskuteczniejszą ochroną cnoty była, jest i będzie zawsze modlitwa. Dowodem tego Święci, u których niewiadomo co bardziej podziwiać: wzniosłość, doskonałość, i mnogość dobrych uczynków czy to, że byli ludźmi pokornej, czystej, gorącej i wytrwałej modlitwy.

W życiu ludzi, co się nie modlą, tu i owdzie zabłyśnie dobry uczynek, cnota przyrodzona zajaśnieje chwilowo, jak w noc pogodną gwiazda

spadająca z nieba, ale cnoty nadprzyrodzonej mocnej, ugruntowanej, niewzruszonej, któraby jak słońce do południa coraz silniejszem promieniała światłem u nich nie szukaj.

Człowiek o własnych siłach bez pomocy łaski, jak powiedziałem, jakiś czas, miesiąc, drugi, utrzyma się od biedy na drodze cnoty, ale kiedy powstaną burze przeciwności i przyjdą chwile ciężkie: kiedy rozigra się morze namiętności i przyjdzie godzina pokusy: — wtedy stanie się z nim, co się stało z kolosem Nabuchodonozora, zbudowanym ze złota, srebra i żelaza, ale stojącym na nogach glinianych. Jeden kamyk, z góry oberwany, wystarczy, aby go z nóg powalić — i w kawałki rozbić.

* * *

»Niech się modli kto chce. Ja mam co lepszego do roboty.«

Co lepszego? Więc to w świecie jest coś lepszego, ważniejszego, potrzebniejszego, jak spełnienie obowiązku względem P. Boga przez oddanie Mu należnej czci i chwały? — przez przeproszenie Go za wyświadczane Mu zniewagi, podziękowanie za otrzymane łaski i upraszanie sobie nowych!...

Na tamto czas się ma, a na to nie ma!!

No! my ludzie wierzący, owszem wszyscy choćby tylko myślący rozumnie, sądzimy inaczej. — Nic ważniejszego na świecie być dla nas nie może, jak nasz dobry stosunek do P. Boga.

Od tego stosunku zależy w czasie i wieczności nasze szczęście. Stąd, jeślibyśmy świat zapełnili sławą bohaterskich czynów, jak w starożytności Aleksander W., albo w nowszych czasach Napoleon Bonaparte — jeślibyśmy podpatrzyli drogi, kędy chodzą gwiazdy na niebie i o tajemnicach przyrody ostatnie wypowiedzieli słowo, a o Panu Bogu, czci Mu należnej, służbie Jego nie myśleli: to w życiu nie zdziałalibyśmy nic; co gorsza, jak powiada Pismo św., na próżno byśmy wzięli duszę swoją (Ps. 25, 4).

Otóż pamiętajmy, że modlitwa, to ze strony naszej jeden z najznakomitszych objawów czci P. Bogu oddanej, — czci, która życiu naszemu nadaje znaczenie, wartość i racyę bytu.

»Czas stracony?« — Gdyby w owych pięciu miastach za czasów Abrahama znalazło się dziesięciu sprawiedliwych, karząca ręka Pańska byłaby je oszczędziła i ogień gniewu Pańskiego nie byłby zniszczył Sodomy, Gomory i innych miast okolicznych.... . Dziesięciu sprawiedliwych!!. A sprawiedliwy żyje z modlitwy.

Kiedyś na sądzie Bożym dowiemy się, ile krajów, państw i narodów, których grzechy o pomstę do P. Boga wołały, uniknęło klęsk podobnych jedynie dlatego, że kilka dusz pobożnych, czystych i sprawiedliwych, w kornej modlitwie o zmiłowanie dla grzeszników prosiło.

W tej to myśli wspominany wyżej Donoso Cortes, odpowiadając na mowę skierowaną przeciwko zakonom kontemplacyjnym, zawołał

z oburzeniem: »Co? Powiadacie, że społeczeństwo z nich żadnego nie ma pożytku? A ja wam powiadam, że dlań pożyteczniejszym jest ten, kto dobrze się m o d l i, niż kto pięknie mówi, tak, że dzień, w którymby z naszej ziemi przed tron Najwyższego żadna modlitwa się nie wzniosła, byłby dniem jej ostatnim i końcem świata.«

»Czas stracony?«... Panowie! gdybyście przynajmniej czas swój rzeczywiście cenili! Tymczasem wy najczęściej w zabawach, rozrywkach, teatrach, wodach i wycieczkach szukacie tylko sposobności, aby czas zabić i od nudów się obronić. Do pracy wytrwałej, pracy na seryo, pracy ciężkiej, czujecie wstręt nieprzezwyciężony.

Dla was modlitwa — »to strata czasu!« A tymczasem ten co zbawił świat, uważał modlitwę za rzecz tak wielkiej doniosłości, że raz na nią poświęcił czterdzieści dni i nocy, a potem raz po raz całe noce bezsenne?

Oni lepiej wiedzą?... Biedacy!...

* * *

»Modlitwa dobra dla kobiet, ale nie dla nas.«

Nie dla was? Wam potrzeba czynów męskich? Jakich? czy może czynów przez które umysły genialne zdobywały nowe światy dla w i e d z y, a przedsiębiorczości ludzkiej nowe wskazywały drogi? W takim razie przypomnijcie sobie, że Bacon przed każdą pracą k l ę k a ł

do modlitwy; a Galileusz odkrycia swe w astronomii przypisywał więcej modlitwie, niż swym badaniom.

Potrzeba wam czynów z dziedziny literatury i poezyi?... Nie potrzebujecie szukać daleko. Weźmijcie Komedyę Boską Dantego — ten w swoim rodzaju utwór jedyny, który duszę podnosi, oświeca i uszlachetnia. Czyż nie jest to jakby jedna nieprzerwana modlitwa umysłu, zatopionego w swym Stwórcy?

Potrzeba wam czynów?... — Chodźcie, przypatrzcie się malowidłom błogosławionego Fr. Angelico. Jaka w nich świeżość! urok niebiański, nie dający się naśladować, coś jemu samemu właściwego! Otóż wiedzcie, że ten genialny malarz zabierał się do roboty tylko wtedy, gdy w gorącej rozmowie z P. Bogiem umysł swój rozświecił, a serce swe rozgrzał.

Potrzeba wam czynów? Oto macie Haydena, który manuskrypta swe rozpoczynał słowami: »W imię Pańskie!« (In nomine Domini!), a kiedy wśród układania swych nieśmiertelnych oratoryów czuł, że twórczość przestaje mu dopisywać, przerywał pracę i mówił Zdrowaś Maryą. — To mu wracało rzeźkość umysłu, tak że mógł komponować dalej. —

Ale tego dosyć....

Gdybym chciał wyliczyć wszystkie czyny, których pobudką, podnietą i zachętą była modlitwa, — wszystko, co na świecie przez modlitwę zostało przeprowadzone i wykonane, nie prędkobym skończył.

Weźmijcie, panowie, lasy wykarczowane przez Benedyktynów i Cystersów, błota osuszone przez Trapistów, wsie i miasta wznoszące się pod osłoną klasztorów, redukcye w Paragwaju, kwitnące dziś osady misyjne, gdzie kilka lat temu jeszcze panowała dzicz i barbarzyństwo, wszędzie natraficie na ludzi pracy, którzy równocześnie są ludźmi modlitwy, w modlitwie czerpiącymi odwagę, siłę i wytrwałość do swych, jeśli nie zawsze sławnych, to w każdym razie pożytecznych czynów.

Ta sama potęga modlitwy w dziejach świata objawia się także jako fakt namacalny, nawet wśród szczęku broni.

»Bez »Zdrowaś Marya« na ustach nie bylibyśmy mogli szarżować«, mawiał Słubicki, pułkownik 4 pułku piechoty, wsławionego w roku 1831 swem męstwem.

A Sobieski pod Wiedniem? Czyż także nie w modlitwie czerpał swe męstwo i zapewniał orężowi polskiemu tryumf, kiedy u nóg Chrystusa, co »zwyciężył świat«, modlił się z pokorą, do Mszy św. służył i krzepił się Jego Ciałem?

Oczywiście potęga modlitwy jaśnieje najbardziej w uczynkach miłosierdzia.

Na jaki heroizm zdobyć się ona może, mówiliśmy na innem miejscu.

* * *

»Co? mielibyśmy klepać pacierze? Nigdy! wolimy pracować!«

Wolne żarty, panowie, wy nie rozumiecie co to jest modlitwa, bo jej skuteczności i siły na sobieście nie wypróbowali, co z powiedzenia waszego widać. Panowie modlić się nie chcecie i modlić nie umiecie, ale czyż dlatego modlitwa u tych, co chcą i umieją się modlić, nie miałaby być skuteczną?

Oczywiście klepanie pacierzy nie na wiele przyda się, bo też modlitwą ono nie jest, tylko klepaniem. Z takiej modlitwy, czysto zewnętrznej, ani P. Bóg chwały ani człowiek pożytku nie ma. My też pod modlitwą rozumiemy całkiem co innego. Klepanie pacierzy — to modlitwa fałszywa, falsyfikat modlitwy, jak falsyfikatem religii jest fałszywe wyznanie, fałszywa religia.

P. Jezus przed taką klepaną tylko modlitwą wyraźnie nas przestrzega, kiedy mówi: »A modląc się nie mówcie wiele, jako poganie; albowiem mniemają, iż w wielomówności swej będą wysłuchani« (Mat. 6, 7).

Nie przeczę, że sposób, w który niektórzy kapłani odmawiają przepisane swoje pacierze, albo spełniają czynności święte przy odprawianiu Mszy św., Sakramentów św. i t. d. — jest tego rodzaju, że na pierwszy rzut oka zdradza bezmyślność, zewnętrzną tylko rutynę, słowo bez ducha. —

Niestety! tak często jest, ale nie tak często jak się nieraz zdaje, bo o wewnętrznem nabożeństwie sądzić może tylko sam Pan, który bada serca. — To pewno, że tak być nie powinno,

że obowiązkiem kapłana, jak każdego katolika, który się modli, jest starać się, aby słowu, wymówionemu ustami odpowiadała myśl i uczucie. — Powtarzam, obowiązkiem jest staranie, wysiłek, bo wobec upadłej naszej natury, rzutkości wyobraźni, ciężkości umysłu trwanie na tej wysokości i szerokości widnokręgu choćby przez jedno Ojcze nasz, jest zdaniem św. Tomasza rzeczą nadzwyczajną. Cóż dopiero przez całe kapłańskie pacierze, t. j. mniejwięcej przez pięć kwadransów.

Stąd kto ma chęć modlenia się dobrze i stara się myśl swą i serce dostroić do tego, co mówią usta, ten modli się dobrze, skutecznie, z zasługą. — A taką jest modlitwa większej części kapłanów katolickich. Taka ma swą siłę i wartość i żadnem klepaniem nie jest.

* * *

Oni »klepać pacierzy nie chcą — wolą pracować«.

I pracują nieraz ciężko, ale niestety! na swoją tylko szkodę, bo pracują w niedzielę i święta; i taka praca nieprzerwana ich przygnębia, wyczerpuje siły i rozstraja ducha. Pracują, aby coraz więcej dóbr doczesnych wyciągać ze ziemi nie dla ułatwienia życia ubogim i upośledzonym, ale dla zaspokojenia nienasyconych nigdy chęci używania garstki potentatów, — tych 10 000, którzy są u góry; — oni pracują bez wytchnienia po redakcyach, drukarniach, księgarniach, teatrach i szkołach nad

zepsuciem i umysłowem wypaczeniem młodzieży, nad zdemoralizowaniem, drażnieniem i rozpasaniem ludu, — pracują po lożach masońskich, po stowarzyszeniach socyalistycznych, anarchistycznych, na wiecach i zebraniach, — pracują podczas bastówek, przy każdym przewrocie, buncie i rewolucyi, — pracują nad prześladowaniem, gnębieniem i ograniczaniem swobód Kościoła: jednem słowem pracują nad szerzeniem królestwa szatana na ruinach, jeśliby to się dało, Królestwa Bożego, które Chrystus założył.

Do takiej pracy modlitwa oczywiście im nie potrzebna! O bodajby byli próżnowali! Lepszą zaprawdę nieświadomość i ciemnota, niż ta ich wiedza! Lepsze próżniactwo niż taka praca i lepsze stokroć pokorne niewiasty, które na takie czyny zdobyć się nie mogą, a za to ręce składają do modlitwy, niż mężczyźni, którzy w ten sposób pracują.

* * *

»Po co się modlić, bo jeżeli P. Bóg postanowił udzielić danej łaski, to jej udzieli, bez względu na to, czy o nią prosić będę lub nie.«

»Jeżeli postanowił«? To tak samo, jakbyś powiedział: »Skoczę z wieży w dół! Jeżeli Pan Bóg postanowił, że dzisiaj mam umrzeć, to nic nie pomoże, umrę w ten lub inny sposób; a jeżeli tego nie postanowił, choćbym spadł na ziemię z wysokości wieży Eiffela, nic mi się nie

stanie. P. Bóg jest wszechmogący!... No! byłoby to szaleństwem! Powiesz, P. Bóg tylko w tym razie postanowił Twą śmierć na dzisiaj, że skoczysz z wieży na dół; ale jeżeli tego nie przewidział, to w tym względzie nic nie postanowił.

Jota w jotę tak samo ma się z modlitwą. Pan Bóg od wieków postanowił udzielić nam tego lub owego, bo przewidział, że w swoim czasie będziemy Go o to w pokornej modlitwie prosili; gdybyśmy jednak o to Go nie prosili, nie byłby tego postanawiał i łaska dana byłaby nas minęła. Jak w pierwszym wypadku lekkomyślność Twoja sprowadziłaby na Ciebie nieszczęście, tak w drugim modlitwa sprowadzi dary Boże.

»Módlmy się do P. Boga, wzywając Świętych — powiada św. Tomasz z Akwinu — aby za ich pośrednictwem otrzymać, co na ich prośbę P. Bóg dać nam postanowił« (2. 2. p. 83. a. 2).[1])

Zresztą trudność ta, gdyby miała rzeczywistą podstawę, przemawiałaby za fatalizmem muzułmańskim, — fatalizmem, który wszelką

[1]) »Kiedy P. Bóg — powiada astronom Euler — na początku świata ustanawiał prawa przyrody, nadał im taki kierunek, jaki później w kolei czasu wziąć miały; przyczem oczywiście uwzględnił wszystkie okoliczności, towarzyszące każdemu zdarzeniu, a przedewszystkiem — modlitwy. W ten sposób ruch ostateczny, który światu nadał i rozwój sił przyrody, musiał w całości i w każdym szczególe wypaść tak, jak On postanowił po uwzględnieniu tych wszystkich okoliczności. To też, kiedy w grę wejść miała modlitwa, jako czynnik rozstrzygający, decyzya

przedsiębiorczość i pracowitość zabija i prędzej czy później doprowadzić musi do takiego letargu, jak widzimy wszędzie, gdzie panuje Islam. W praktyce życia wygląda ona tak: — Jesteś np. chory. Jako konsekwentny wyznawca Mahometa, powinienbyś sobie powiedzieć: Co mi po lekarzu? Jeżeli mam wyzdrowieć, to wyzdrowieję i bez niego, a jeżeli mam umrzeć, to umrę mimo niego. Więc leczyć się nie będę.

Jesteś ubogim? po co pracować? Jeżeli P. Bóg zechce głód twój zaspokoić — to i bez pracy twej zaspokoi.

Masz zdawać egzamin? Po co się uczyć? Jeżeli zdać go masz, to zdasz i bez tego... itd.

Taki fatalizm — to oczywiste głupstwo; to też żaden rozsądny człowiek w swem postępowaniu trzymać się go nie będzie, gdy chodzi o stosunki z ludźmi. Czyżby miał się go trzymać, gdy chodzi o Pana Boga?

* * *

---

ostateczna zapadła dopiero po jej uwzględnieniu. Stąd np. kiedy człowiek dziś o łaskę jaką prosi P. Boga, a Pan Bóg mu jej udziela, nie myślmy, że dziś dopiero o niej w modlitwie się dowiaduje, ją wysłuchuje i wypełnia. Nie! On już od wieków o niej wiedział; do niej, jeżeli uważał to za odpowiednie, na początku dostosował prawa przyrody i ich rozwój tak, że wysłuchanie danej prośby swego czasu wypaść musiało jako następstwo tychże praw, rozwijających się zupełnie naturalnie. W ten sposób bez żadnego cudu wysłuchuje Pan Bóg modlitwy; chociaż i to jest pewnem, że może także działać cuda i czasami działa je rzeczywiście. (List do pewnej księżnej niemieckiej.)

»Chciałbym się modlić, ale nie mam czasu.«

Jakto? czasu nie masz? A czyż czas jest dany na co innego, jak nie na zapewnienie sobie szczęścia w wieczności?

To jest sprawa nad sprawami. Jeżeli na inne sprawy, na interesa czysto doczesnej natury czasu ci starczy, to starczyć musi, gdy chodzi o sprawę najważniejszą, bo o Twe zbawienie? Na rzeczy, tyczące się ciała i jego potrzeby, znajdujesz czas zawsze, a nie miałbyś go znaleźć, gdy chodzi o duszę i jej potrzeby? Co za puste gadanie?

Masz czas na koncerty, teatry, spacery i inne rozrywki, — a nie miałbyś go na modlitwę? — Na rozmowę z ludźmi masz zawsze czasu dosyć, a na rozmowę z Panem Bogiem byś go nie miał?

Skoro przynajmniej dwa razy dziennie zasiadasz do stołu, aby ciało swe pokrzepić i wzmocnić pokarmem, to przynajmniej dwa razy dziennie, rano i wieczór, uklęknij do modlitwy, aby w niej duszę swą posilić i podnieść!

Człowiek, który nie pamięta o modlitwie rano, gdy wstanie i wieczorem, gdy się do snu udaje, to niby nierozumne bydlę, które na barłóg się rzuca bezmyślnie i z niego również bezmyślnie wstaje.

Gdyby tam jeszcze nie wiem jak długich pacierzy od Ciebie się domagano, mógłbyś się może wymawiać brakiem czasu; ale tu? Jeśli rano i wieczór z uszanowaniem i uwagą zmó-

wisz Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę, dodając akty cnót teologicznych i doskonałego żalu — to z Ciebie dosyć. —

I na to nie miałbyś czasu?

* * *

»Rozmawiać z Panem Bogiem mam, ja, taki grzeszny! Gdzieżbym śmiał stawić się przed Nim?«

To tak jakby syn nieposłuszny, zasmuciwszy swych rodziców nie chciał ich przepraszać, wymawiając się tem, że nie śmie stanąć przed nimi, bo przeciw nim tak bardzo zawinił i tak się okazał niewdzięcznym?

— Ale oni ci chcą przebaczyć. Raz po raz to mówili. Oni tylko czekają pierwszego kroku z twej strony.

— Niech tak będzie. ale ja nie śmiem i nie mogę.

Oczywiście taki syn na drogę obowiązku wrócić nie chce i pod fałszywą pokorą ukrywa pychę, zarozumiałość i zatwardziałe serce.

Mój drogi, już jeżeli co, to dowodów mamy dosyć, że P. Bóg chce, pragnie nam przebaczyć. Czyż inaczej byłby przysłał Syna swego, aby świat ożywił i zgładził jego grzech? Czyżby Go wydał za nas, w miejscu naszem, w zastępstwie naszem na śmierć, gdyby nie chciał grzechów naszych przebaczyć i uwolnić nas od ich skutków w czasie i wieczności? Czyżby był ustanawiał Sakrament Pokuty, oświadczając uroczyście swym przedstawicielom, że

»komu odpuszczą grzechy, będą im odpuszczone, a komu zatrzymacie będą im zatrzymane?« Czyżby był św. Jan, uczeń miłości powiedział, że »Krew Jezusa Chrystusa oczyszcza nas od wszelkiego grzechu«... to też »jeśli się spowiadać będziemy z grzechów naszych, wierny (słowom i obietnicom swoim) jest i sprawiedliwy, aby nam odpuścił grzechy nasze. Synaczkowie moi, to wam piszę, abyście nie grzeszyli; ale jeśliby kto zgrzeszył (niech nie zapomina że), rzecznika mamy u Ojca, Jezusa Chrystusa sprawiedliwego, a On jest ubłaganiem za grzechy nasze a nie tylko za nasze, ale i za wszego świata«. (I. Jan.)

Pan Bóg tedy czeka, abyśmy stanęli przed Nim, ukorzyli się i wyznali nędzę naszą i nie tylko, że tego nie uważa za jakieś zuchwalstwo, ale owszem nakazuje, grozi jeszcze większym gniewem, jeśli uczynić tego nie będziemy chcieli.

On modlić się nie chce, bo »nie jest godny rozmawiać z P. Bogiem, bo jest grzeszny, bo jest niewdzięczny«.

Ależ właśnie dlatego modlić mu się potrzeba, aby grzesznym być przestał i przestał być niewdzięcznym. Niech zrobi jak zrobił syn marnotrawny, kiedy się upamiętał, — niech idzie niech padnie do nóg dobremu Ojcu, który jest w niebie, niech wyzna Mu swą nędzę, a może być pewny, że nie inaczej go przyjmie jak ów ojciec ewangeliczny przyjął swego nawróconego syna.

* * *

»Wszystko to pięknie i ładnie, ale nie rozumiem tego ustawicznego powtarzania zawsze jednej i tej samej formułki, jak np. w Różańcu«.

Mój drogi, czyś nigdy nie widział osób zakochanych, które na różne tony powtarzają sobie zawsze to samo: »Ja ciebie kocham«? i to im się ani monotonne, ani nudne, ani bezpodstawne i śmieszne nie wydaje. Oni to rozumieją doskonale. Albo czyś nigdy nie spotykał żebraków, którzy zawsze to samo powtarzają, polecając się litości przechodniów?

Albo czyś nie natrafiał na dusze piękne i szlachetne, co doznawszy od innych dobrodziejstwa, przy każdej sposobności wdzięczność im swą wyrażają; — albo czy byłbyś się dziwił dziecku, które zachowaniem swem zasmuciło rodziców, a potem opamiętawszy się, powtarzałoby raz po raz te same wyrazy, żalu i prośby o przebaczenie?

Uczucie człowieka ma nietylko tę właściwość, jak ci to wyżej zaznaczyłem, że na zewnątrz musi się objawiać, ale i tę także, że na jednorazowem wylaniu się w słowie lub uczynku nie może poprzestać, tylko je powtarza i to im jest silniejsze tym częściej. Przytem człowiek nie patrzy na monotonność tego samego słowa i uczynku, bo uczucie jego, jakie to słowo lub uczynek ożywia, jest zawsze świeże i nowe.

Tak z uczuciem ziemskiem. Czyż inaczej ma być z uczuciem niebieskiem? — Czyż Ojcu memu niebieskiemu, od którego tyle otrzymałem

i otrzymuję nie wypada mi raz po raz wyrazić zawsze nowe uczucie mej ku Niemu miłości, wdzięczności, dziękczynienia, pokory, prośby, żalu?... Czyż Matce mojej niebieskiej nie wolno mi raz po raz wyrażać mego podziwu, uwielbienia przez rozpamiętywanie łask, których doznała od Pana i polecać się Jej opiece?

No, a przecież, odmawiając z zastanowieniem »Ojcze nasz« i »Zdrowaś Marya« w Różańcu świętym, ja właśnie wyrażam te uczucia!

Owszem, ja robię więcej, bo obok tych uczuć, ja wzbudzić się staram inne, wypływające z rozpamiętywania odpowiedniej tajemnicy z życia Chrystusa Pana i Matki Najświętszej.

I taka praca myślna miałaby być tylko pustem klepaniem a nie zajęciem szlachetnem, wzniosłem, godnem człowieka? Dlatego to mężowie czynu jak Sobieski, O'Connel, Windhorst, lekarz słynny Ricamier, Mallinkrodt, itd. nie wstydzili się publicznie odmawiać Różańca.

Nie wstydź się tego i Ty, idąc w ślady Twych przodków, którzy pochwałę swą o człowieku godnie wypełniającym swe miejsce na ziemi i spełniającym wszystkie swe obowiązki, streszczali w przysłowiu:

I do tańca i do Różańca.

List IV.

Spowiedź.

»Spowiedź — to wynalazek księży — to rzecz dobra dla dzieci«. — Edward Moore. — Aleksander Manzoni. — Ernest Naville. — Spowiedź nikogo nie czyni lepszym. — Franciszek Coppée.

Protestantyzm wyrządził ludziom największą szkodę przez to, że odebrał im możność pojednania się z Panem Bogiem za pomocą Sakramentu Pokuty. Już kilka razy w poprzednich mych listach poruszyłem ten temat. Przyznawałeś mi słuszność, wyrażając przytem życzenie, abym Ci coś bardziej szczegółowego napisał o ustanowieniu tego Sakramentu. Wiemy to my, i wiedzą nasi nieprzyjaciele, że cała jego siła i skuteczność pochodzi z Boskiego jego ustanowienia. To też przeciwko niemu na pierwszem miejscu są skierowane zarzuty, tyczące się tego Sakramentu. —

Miałeś sposobność przekonać się o tem już nieraz.

Otóż nie księża wymyślili spowiedź, jak wielu z Twoich kolegów powiada, ale ustanowił ją Chrystus — Bóg.

* * *

»Księża wymyślili spowiedź!«

»Wymyślili?« — ale w czyim interesie? Czy może w swoim, aby módz dzień w dzień, godzinami przesiadywać w zimnym i wilgotnym kościele, — w niewygodnym konfesyonale tracić zdrowie, a nieraz i życie? Piękna sprawa? Więc instytucya, tak straszliwy ciężar wkładająca na cały stan duchowny, miałaby być wymyśloną w interesie tegoż stanu i to przez niektórych jego przedstawicieli, co wpadli na tę myśl i całemu Kościołowi ją narzucili w sposób tak skuteczny, że wszyscy inni kapłani im współcześni i po nich żyjący przyjęli ten ciężar na siebie, a wierni ze swej strony na to się wszędzie zgodzili?

Ależ, panowie, trochę zastanowienia i zdrowego rozsądku!

Przecież tu chodzi o instytucyę kilkanaście wieków liczącą i po całym świecie rozpowszechnioną, a przytem tak oryginalną i uciążliwą, że, gdyby ludzie mieli ją wymyśleć, historya musiałaby nam przekazać ich imię, ojczyznę, — miejsce, w którem swój wynalazek najprzód wprowadzili i czas, kiedy to nastąpiło.

A jednak historya milczy, — i to ta sama historya, która najdrobniejsze szczegóły, tyczące wynalazców daleko mniejszej wagi, przechować

nie omieszkała jak najstaranniej. Wiemy kiedy? przez kogo? i gdzie? wynaleziono n. p. druk, światło elektryczne; wiemy kiedy w Kościele katolickim zaprowadzono uroczystości Wszystkich Swiętych, Bożego Ciała, nabożeństwa Różańca Świętego, Serca Najśw. — a nie mielibyśmy wiedzieć, kiedy? gdzie? i przez kogo zaprowadzono w tymże Kościele instytucyę spowiedzi Sakramentalnej, jeżeli wogóle była ona wymysłem jakiegoś człowieka, jak to jej przeciwnicy za Lutrem i Kalwinem utrzymują, — a nie instytucyą, pochodzącą od samego Założyciela Kościoła Chrystusa? — To przecież więcej niż nieprawdopodobne.

Pomyśl, że przychodzi do Ciebie ktoś i mówi: »Oto najnowsza wiadomość: Stwierdzono, że ludzie są na księżycu«. Naturalnie Ty się go wypytujesz: »Jak się nazywa uczony, co to stwierdził, kiedy? gdzie? jakich do tego użył sposobów?...« a gdyby Ci na to odpowiedział: »Mniejsza o to, gdzie? kiedy? i kto to odkrycie zrobił; dość, że tak jest«; — co byłbyś na to powiedział? Otóż to samo powiedz i tym, którzy Ci mówić będą, że księża niewiadomo kiedy i jak, samowolnie narzucili całemu Kościołowi obowiązek chodzenia do spowiedzi, a innym księżom ciężar i odpowiedzialność ich słuchania. Takie bajki są dobre dla dzieci, a nie dla ludzi myślących, do których przecież należysz.

* * *

Za to ja powiem Ci więcej. Nie tylko, że w rzeczywistości spowiedź nie jest wymysłem ludzkim, ale z góry można powiedzieć, że nie może nim być, czyli innemi słowy, sam fakt jej istnienia, jako instytucyi powszechnie przyjętej w świecie chrześcijańskim, dowodzi Boskości jej pochodzenia.

Przypuśćmy, że dziś jeszcze jak za czasów Starego Testamentu, Sakramentu Pokuty niema, — że więc grzesznik dostąpić może odpuszczenia grzechów tylko jedynie za pomocą żalu doskonałego, bez żadnego obowiązku wyznania ich przed człowiekiem.

Oto zjawia się ktoś, co poczyna nauczać, że odtąd do tego niezbędnem będzie pośrednictwo kapłana. Kto tedy zechce duszę swą z grzechów oczyścić, będzie musiał nie tylko za nie żałować, ale z nich się w dodatku spowiadać, i to przed kapłanem od miejcowego biskupa do tego upoważnionym. A jeśliby z własnej winy lub niedbalstwa zaniedbał to uczynić, odpuszczenia grzechów nie dostąpi.

Czy myślisz, że taka nowość łatwoby się przyjęła?...

No wszyscy bylibyśmy zawołali: »A to co znowu? Przez tyle wieków odpuszczenie grzechów otrzymywano za pomocą samego tylko żalu, a teraz ni stąd ni zowąd miałoby być inaczej? Kim jest ten, co się ośmiela nakładać na nas taki obowiązek?«

Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach

coś podobnego wymyślećby nie mógł; a waryata niktby przecie nie słuchał.

* * *

Tem mniej uczynić to mogli wszyscy kapłani, razem wzięci. Musieliby zrobić to jednomyślnie, boć jeżeliby tylko kilku z nich do tego się zabrało, cały zamiar spełzby na niczem.

A tu znowu, czyż podobna, aby na wprowadzenie innowacyi, dla siebie tak uciążliwej, porozumiało się kilkaset tysięcy kapłanów, po całym świecie rozproszonych, oddzielonych od siebie nie tylko przestrzenią, językiem, narodowemi tradycyami, ale nawet (jak u sekciarzy i schyzmatyków), odrębnem religijnem przekonaniem!

Kiedy w wieku XVI-tym protestanci dla swych nowinek zjednać usiłowali greków dyzunitów i poczęli ich namawiać do odrzucenia Sakramentu Pokuty, natrafili w duchowieństwie schyzmatyckiem na opór bezwzględny i stanowczy. Cóżby dopiero było, gdyby im zaproponowali nie usunięcie tej instytucyi, dla wiernych i kapłanów bądź co bądź uciążliwej, ale jej samowolne zaprowadzenie?

Nie ulega tedy wątpliwości, że w każdym razie wśród samego duchowieństwa znalazłaby się część znaczna, któraby jak najenergiczniej zaprotestowała przeciw tej innowacyi; do nich przyłączyliby się wierni i wywiązałaby się

walka wewnątrz chrześcijaństwa, po której mielibyśmy ślad jakiś w historyi. — Nowatorzy kapłani, jak dziś np. Mankietnicy, ze swymi zwolennikami, utworzyliby nową sektę, a w Kościele katolickim, jak od początku tak i nadal spowiedziby nie było.

Ale że właśnie w Kościele Spowiedź jest, więc jest to instytucya pochodząca od jego Założyciela czyli Chrystusa Pana.

* * *

Ludzie bardzo naiwni, albo co najmniej nieobeznani z nauką katolicką, powtarzają bezmyślnie twierdzenie, że dopiero w wieku XIII' na czwartym Soborze Lateraneńskim zaprowadzono spowiedź. Tymczasem wtedy ówczesny Papież Innocenty III tylko postanowił, że każdy katolik, co przyszedł do używania rozumu, powinien się spowiadać i do Komunii św. przystępować przynajmniej raz w rok około Wielkiejnocy. Chodziło mu tedy o określenie jak często do tych Sakramentów przystępować trzeba, a nie o taką instytucyę.

»Sobór Lateraneński zaprowadził spowiedź!«...

O istnieniu obowiązku przystępowania do spowiedzi, nikt wtedy nie wątpił, tem mniej o samej instytucyi. Wtedy chodziło tylko o to, jak często do tego Sakramentu przystępować trzeba pod grozą całkowitego sprzeniewierzenia się P. Bogu: a mianowicie, czy wystarczy spowiadać się raz tylko w życiu, lub co kilka lat,

albo może trzeba się spowiadać co miesiąc lub częściej.

A że spowiedź przed tym soborem istniała, świadczy nam w wieku IV. św. Ambroży, Bazyli, a jeszcze wcześniej Tertullian, Orygines i inni. To samo muszą przyznać nam nawet sami protestanci, o ile oczywiście nie dają się zaślepiać uprzedzeniu i namiętności.

»Przez sam fakt — powiada Leibnitz — ustanowienia kapłaństwa dał P. Bóg kapłanom władzę leczenia duszy, zobowiązując przy tem tych, co na niej chorują, aby cierpienia swe im wyjawiali tj. im odsłaniali swe sumienie«.

To samo przyznaje lord Fitz William w swych Listach Attyka: »Kiedy chrześcijanin wyznania niekatolickiego sam swe sumienie rozbiera powierzchownie, we własnej sprawie wyrok sobie wydaje i z największą łatwością siebie rozgrzesza, — to katolik poddaje się człowiekowi bezstronnemu, który, sumienie jego starannie zbadawszy, w imieniu P. Boga wydaje sąd, obdarza rozgrzeszeniem i pokój duszy zapewnia«.

Tegoż samego zdania jest Francuz Hugenota Gibbo: »Nasi protestanccy historycy, nie mogąc się oprzeć oczywistości, muszą przyznać, że w Kościele katolickim była spowiedź instytucyą najistotniejszą po wszystkie czasy, nie wyjmując pierwszych trzech wieków jego istnienia«.

* * *

»Ale jeżeli Chrystus Pan spowiedź ustanowił, to powinniśmy mieć ślad tego jakiś i w Piśmie św.; a tymczasem tam o Sakramencie Pokuty niema ani słowa.«

No, tak źle nie jest. — Nie tylko jest tam o spowiedzi słowo, ale i słów kilka i to na kilku miejscach, trzeba tylko czytać Pismo św. bez uprzedzenia.

Tak np. u św. Jana w rozdz. 20 czytamy: »Przyjmijcie Ducha świętego! Komu odpuścicie grzechy, będą im odpuszczone, a komu zatrzymacie, będą im zatrzymane«. Przez te słowa, ożywione wszechmocą mówiącego Boga, Apostołowie i ich następcy zostali ustanowieni szafarzami łaski wobec grzeszników i narzędziami sprawiedliwości Boskiej. A ponieważ sędzia musi wiedzieć, jak w danym wypadku ma sobie postąpić, łaski przebaczenia udzielić lub jej odmówić: — więc z natury rzeczy musi też poznać stan sumienia podsądnego, tj. grzesznika. Przecież nawet sędzia świecki nie wydaje wyroku na ślepo, tylko po poprzedniem zbadaniu sprawy; bo tego wymaga sprawiedliwość. Czyż ze sędzią duchownym miałoby być inaczej?

A bez spowiedzi byłoby inaczej, bo byłby on zmuszony ten sam wyrok wydawać na zatwardziałych w swych grzechach złodziejów, zbójów pijaków i rozpustników, jak na grzeszników skruszonych i do naprawy życia gotowych; — tak samo sądzić tych, którzy grzeszą ze złości

jak tych, którzy w grzech popadają z ułomności i krewkości ludzkiej. Stąd też kapłan musi koniecznie wiedzieć, jakie grzechy duszę grzesznika obciążają, aby mógł swój urząd spełnić.

A ponieważ tego wiedzieć nie może, jak tylko przez niego samego w dobrowolnem wyznaniu winy, — więc udzielając Apostołom i ich następcom wyżej wspomnianej władzy, musiał Chrystus równocześnie włożyć i na wiernych obowiązek, aby im swe winy, przynajmniej ciężkie w spowiedzi wyjawiali. Inaczej i Apostołowie nigdyby władzy swej wykonywać nie mogli i wierni byliby pozbawieni pomocy, jaką im ten Sakrament zapewnia, tak, że ostatecznie wyszłoby na to, że Chrystus Pan nadaremnoby go ustanowił; co znowu jest rzeczą niemożliwą.

Nic tedy nie pozostaje, jak przyjąć z pokorą, co Kościół katolicki zawsze nauczał: mianowicie, że Sakrament Pokuty, polegający na wyznaniu kapłanowi przynajmniej grzechów ciężkich, jest ustanowiony od Chrystusa Pana i obowięzuje wszystkich, którzy po Chrzcie św. mieli nieszczęście grzechem śmiertelnym Pana Boga obrazić.

* * *

Jeszcze inny zarzut: »Spowiedź — to rzecz w sobie dobra i pożyteczna, ale tylko dla tych którzy jej potrzebują. Że się kobiety, ludzie prości, a nawet młodzież szkolna spowiada, uważamy za dobre; ale my mężczyźni, dorośli i oświeceni, możemy bez niej się obejść«.

»My ludzie dorośli?« Ale czyż potrzeby duchowe u dorosłego i wykształconego mężczyzny są inne, jak u mężczyzny, pozbawionego wykształcenia, kobiety wykształconej lub młodzieńców, którzy się kształcą? Czy może w tym stosunku, co umysł w nich dojrzewał, sumienie zamierało, tak, że w końcu pomiędzy złem i dobrem żadnej już nie widzą różnicy?

Czy może przestali być stworzeniami Boskiemi, obowiązanemi do przykazań, które Pan Bóg postanowił i przepisał dla istot rozumnych?

Albo czy może wolno im bezkarnie te przykazania przekraczać?

Jeśli tak, to składamy broń. Dla nich spowiedź nie jest potrzebna. Ale jeżeli rzecz się ma inaczej, jeżeli P. Bóg dał i im sumienie i w tem sumieniu wypisał swą wolę, jeśli i oni Jego i Jego przedstawicieli obowiązani są słuchać, — jeśli wskutek namiętności, odzywających się w ich duszy, przytrafia się i im grzechem Go obrazić: to potrzebują spowiedzi i oni, tak samo, jak potrzebują lekarza, kiedy na ciele zachorują.

Choroba różnicy między mężczyzną i kobietą, człowiekiem wykształconym i prostaczkiem mężem dojrzałym i dzieckiem nie zna, zna tylko ciało ludzkie, nawiedzone niemocą.

Tak samo gdy chodzi o chorobę duszy, czyli o grzech. A że w obecnych warunkach jedynem na nią lekarstwem jest spowiedź, jedynym lekarzem Chrystus, który za pośrednictwem kapłana, Swego sługi, ją uzdrawia, —

więc do Chrystusa sądzącego, leczącego i uzdrawiającego w Trybunale Pokuty, uciekać się powinni i mężczyźni dorośli, i studenci, i akademicy, ba nawet i profesorowie.

»My ludzie dorośli i wykształceni spowiedzi nie potrzebujemy«!... Po co to obwijać w bawełnę. Zamiast mówić: My spowiedzi nie potrzebujemy«! powiedzcie panowie: My spowiedzi nie chcemy, bo bylibyśmy zmuszeni się nawrócić, odmówić sobie pewnych rozkoszy, — musielibyśmy pamiętać o szóstem przykazaniu, pogodzić się z nieprzyjacielem, darować krzywdę, szkodę uczynioną naprawić... a na to wszystko zdobyć się nie mamy ochoty.«

Tak! to by było powiedziane jasno, choć przypominałoby wymówkę chorego, co co zaręczał, że zawołałby lekarza, gdyby choroba była lżejszą; ale że jest poważną, że w danym razie wypadałoby użyć lekarstw przykrych i gorzkich, a może uciec do operacyi, to woli obyć się bez lekarza... i umrzeć.,.

Spodziewam się, mój drogi, że do takich filozofów należeć nie zechcesz i, jak dotychczas było, skoro poczujesz na sumieniu ciężar grzechu, pospieszysz do konfesyonału, i z niego się uwolnisz.

* * *

A nie myśl, że będziesz odosobniony.

Aleksander Manzoni w swej książce Etyka katolicka, polemizując z Sismondim, powiada między innymi: »Tak jest, tego nie przeczę, my wierzący katolicy klękamy przed

kapłanem i wyznajemy mu swe grzechy, słuchając rad i przestróg, których nam udziela; a on, świadomy swej niegodności i ważności swego posłannictwa, wznosi nad nami poświęconą swą prawicę i daje nam rozgrzeszenie... my zaś odchodzimy od konfesyonału uspokojeni i przeświadczeni, że nie zrobiliśmy nic, coby nas poniżyło«.

Po śmierci swego spowiednika pisał Edward Moore, znakomity literat i poeta irlandzki we formie modlitwy: »Ojcze czcigodny! — Jeżeli z wysokości nieba, dokąd Twe cnoty Ciebie zaprowadziły, zechcesz przyjąć me niegodne hołdy, pozwól wyrazić Ci wdzięczność za wszystko, coś dla mnie uczynił. Ileż to razy skazywałeś mnie, grzesznika, w pokorze i ze skruchą klęczącego u Twego konfesyonału, abym, przez dni kilka odmawiał siedm psalmów pokutnych, a w zamian za to dawałeś mi pokój i równowagę ducha.«

Pewien mąż znakomity, którego nazwiska już nie pamiętam, powiedział, gdy mu zarzucano, że, będąc człowiekiem wielkim, nie wstydzi się spowiadać: »Prawda, jestem człowiekiem wielkim, to też dlatego, gdy się spowiadam, zginam kolana, aby się stać małym.«

Jednym z najoświeceńszych i najzdolniejszych protestantów zeszłego wieku był niezaprzeczenie Genewczyk Naville. Otóż w r. 1859 broniąc na uniwersytecie genewskim jakiejś tezy, powiedział co następuje: »Któż z nas protestantów przynajmniej raz nie zwrócił swych

oczu do trybunału Pokuty i nie poczuł w swem sercu tęsknoty, albo nawet zazdrości? Któż z nas, trapiony wyrzutami sumienia w obec niepewności, czy otrzymał przebaczenie, — nie czułby się szczęśliwym, gdyby mógł usłyszeć mocą Chrystusową brzemienne słowa: »Idź w pokoju! Grzechy twoje są ci odpuszczone«. »Co do mnie, gdybym wierzył, że jest na ziemi człowiek, którego słowo taką moc posiada, nierazbym się do niego udawał z największą radością, z największą ochotą zrzekając swobody badania, które dla mego ducha jest częściej ciężarem, niż przywilejem«.

* * *

»Tylu katolików się spowiada, ale życia swego nie zmienia. Jakimi byli przed spowiedzią, takimi są i po niej.«

I cóż z tego? Tak jest nieraz, ale czy zawsze? Nie, mój drogi, faktem jest, że bez porównania więcej katolików ze spowiedzi odnosi korzyść i życie swe odmienia. Weź choćby tych, którzy po dobrej spowiedzi naprawiają szkodę, uczynioną bliźniemu, — zwracają pieniądze i t. d. Zapewne już nieraz słyszałeś, o głośnych restytucyach, spowodowanych spowiedzią. A wieleż to innych pozostaje w ukryciu?

Że niektórzy po spowiedzi nie wydają się lepszymi niż przedtem, to Boskości jej pochodzenia, ani uwłacza, ani przeczy jej skuteczności i pożytku. Ileż to bowiem razy lekarz najlepszy nie może dać rady chorobie zastarzałej,

a najwymowniejszy adwokat nie potrafi zapewnić zwycięstwo sprawie, której broni? Albo ileż to razy przez wychowanie najlepsze nie można naprawić złych skłonności natury i dobre na ich miejscu rozwinąć? Czyż dla tego medycyna, wymowa i pedagogia nie miałyby wartości i były do niczego?

Stąd widząc, że ludzie nieraz pomimo spowiedzi trwają w występkach, powinniśmy winić nie spowiedź, ale ułomność natury naszej upadłej, która wszystkiego potrafi nadużyć i rzecz najpożyteczniejszą zamienić dla siebie w truciznę. —

* * *

Już kilka razy zwracałem Twoją uwagę na podstępny sposób argumentowania przeciwników wiary św. —

Porównując katolików z innowiercami biorą oni co jest najlepszego z jednej i co najgorszego z drugiej i wyrokują. —

Tak samo czynią, gdy im chodzi o zdyskredytowanie Spowiedzi św.

Trzymając się tej metody, musielibyśmy dojść konsekwentnie np. do odkrycia, że wojsko Daryusza było więcej warte niż wojsko Aleksandra, albo wojsko Napoleona III, niż wojsko pruskie. Wystarczyłoby do tego wybrać najtęższych żołnierzy perskich i najsłabszych greckich albo toż samo uczynić z Francuzami i Prusakami i dowód byłby gotowy. — Natu-

ralnie, że byłby to dowód słaby, nawet nic nie warty, bo w takich razach nie jednostkę z jednostką ale ogół z ogółem trzeba porównywać, a więc w naszym wypadku, przeciętnego żołnierza z jednej strony i drugiej. Wtedy sąd będzie trafny. — Trzeba tedy wziąć dobrego żołnierza perskiego i dobrego greckiego, słabego z jednej i słabego z drugiej, złego z jednej i złego z drugiej strony i postawiwszy ich obok siebie, porównywać ze sobą. Taka ocena będzie sprawiedliwa. —

Podobnież trzeba postępować, gdy chodzi o ocenę tego rodzaju instytucyi publicznej, jak spowiedź.

Otóż trzymając się tej metody, dojdziemy do rezultatu całkiem innego, niż przeciwnicy Spowiedzi św. sobie życzą. —

Weź Szwajcaryę, gdzie w tych samych zresztą etnograficznych, narodowych, typograficznych i kulturalnych stosunkach żyją protestanci bez spowiedzi i katolicy ze Spowiedzią św. Otóż statystyka wykazuje, że zepsucie obyczajów jest bez porównania większem w kantonach protestanckich, niż w kantonach katolickich. Świadczy o tem liczba dzieci nieprawego urodzenia. Podobnież w Szwajcaryi i wszędzie indziej ze statystyki kryminalnej przekonać się łatwo, że lwia część złodziei, zbójów, niewiernych małżonek, prostytutek, anarchistów i socyalistów »uświadomionych« nic wspólnego ze spowiedzią niema. —

Nie tak dawno pewien prokurator włoski, podając sprawozdanie urzędowe o więzieniach włoskich, zauważył, że stosunkowo bardzo mało znajduje się w nich kobiet, poczem, uśmiechając się, dodał dowcipnie: »Za to tem więcej jest ich w kościele«.

Tak! to rzecz oczywista, kto często przebywa w kościele, ten do kryminału nie łatwo trafi. To pewno.

»Młodzieńcy, pisze pewna współczesna nam znakomitość, gadajcie co chcecie na spowiedź; ale pamiętajcie, że ona matkom waszym dodawała siły do chętnego znoszenia ofiar, których domagały się wasze lata dziecięce, wasze wychowanie i pielęgnowanie!

»I wy, mężowie, wygadujcie na nią, ale pamiętajcie, że kiedy w czasie waszej nieobecności żony wasze na pokusy bywają narażone, taż sama spowiedź pomaga im dochowywać wam wiary.

»Ubodzy, nędzarze, biedacy, i wy, jeśli chcecie, odrzucajcie spowiedź, ale pamiętajcie, że przez nią serce bogatych się rozszerza, napełnia miłosierdziem i zbliża do was nietylko z obfitszą pomocą materyalną, ale z poszanowaniem waszej draźliwości i godności.

»A wy ludzie bogaci, zanim kamieniem potępienia rzucicie na ten, jak powiadacie zabytek czasów ciemnoty i zacofania, przypomnijcie sobie, że taż właśnie spowiedź daleko skuteczniej niż wszelkie prawodawstwo ludzkie, zabezpiecza wam wasze dobra, wasze mienie

i broni słusznych praw waszych przed zapędami zaślepionego socyalizmu i rozkiełznanych namiętności!«

* * *

Po tym patetycznem wstępie stwierdza ks. Bureau następujące, powszechnie znane fakta, że

1. kto się spowiada, ten wyznaje, że ma zamiar szczery i postanowienie mocne prowadzić odtąd życie uczciwe i porządne; a więc jeśli miał nieszczęście dopuścić się grzechu ciężkiego, oświadcza, że z niego chce się poprawić i na przyszłość go się wystrzegać;

2. kto się chce oddać jakiejś namiętności, bez żadnego hamulca, przestaje się spowiadać;

3. kto zaś po ciężkich upadkach znowu wraca na drogę dobrą i zrywa z przeszłością, ten nowe życie zawsze od spowiedzi rozpoczyna.

To są fakta tak oczywiste, tak codzienne, że nikt im nie może zaprzeczyć.

Otóż, jeśli tak jest, to w społeczeństwie, które Chrystusa Pana za swego króla i wodza uznaje nie tylko pozornie, — że w Kościele, wskutek ustanowionej przez Niego Spowiedzi, razem wziąwszy, jest daleko więcej cnoty i dobrych uczynków, niż w społeczeństwie Chrystusowi wrogiem lub względem Niego obojętnem, społeczeństwie, które On nazwał »światem« — a przeciwnie w tym »świecie« jest daleko więcej grzechów i występków, niż pomiędzy katolikami.

Widzisz tedy, że wszystkie trudności Twych kolegów pochodzą nie tyle z rozumu, ile z serca. Niech poczną żyć cnotliwie, a możesz być pewnym, że nie przejdzie wiele czasu, a i oni, razem z Tobą, w Trybunale Pokuty będą szukali przebaczenia, rady i pociechy.

* * *

P. S. Na zakończenie tego listu pozwól mi przytoczyć ustęp z La bonne souffrance Franciszka Coppée'go, o którym już wyżej była mowa. Słowa nawróconego niedowiarka zwłaszcza takiej miary, jak ten sławny literat, mają zawsze swoje znaczenie.

Najpierw konstatuje on fakt, że człowiek, który dopuścił się winy ciężkiej, czuje potrzebę wyznania jej przed kimś mu przyjaznym; ale stwierdza i to, że tego rodzaju wyznanie zazwyczaj mało ulgi mu przynosi.

Otóż wobec tego stawia on sobie pytanie: »Skąd pochodzi jedno i drugie?«, i na to odpowiada sobie tak: »Dziwna to rzecz! Tenże sam człowiek z jednej strony boi się i wstydzi wyznać swą winę, z drugiej jednak odczuwa potrzebę wylania swego serca przed innym i to wylania szczerego, otwartego, całkowitego. Co za sprzeczność! W tej antytezie wewnętrznej trzeba szukać przyczyny, że nawet wobec najlepszego przyjaciela stara się on prawdę, która go kompromituje, upiększyć, przykryć, zatuszować. Dlatego podnosi prze-

dewszystkiem to, co może go tłomaczyć, albo przynajmniej zmniejszyć winę, — dlatego, kiedy więcej niż zwykle dręczy go ciężar jakiego grzechu, spieszy w serce przyjaciela wylać nadmiar swej goryczy i cieszy się, kiedy ten się stara go uspokoić, wzmocnić słowami otuchy i zachęty.

»A jednak — ten człowiek wraca do siebie smutniejszy i bardziej zawstydzony, niż był przedtem, bo go w dodatku dręczy myśl, że przyjaciela oszukał.«

»W ten sposób wszystkie tego rodzaju zwierzenia kończą się na niczem. Prawdy całej, nagiej w takich razach się nie mówi. Nikt nie ma odwagi rzecz nazwać po imieniu. Bo czyż podobna, aby znalazł się człowiek, któryby powiedział otwarcie drugiemu: »Jestem zdrajcą nikczemnym, ...złodziejem, ...niewdzięcznikiem. ...Postąpiłem podle, po prostacku«.

»Otóż właśnie w tym względzie okazuje się cała siła i wielkość spowiedzi. —

»Nieszczęśliwy grzeszniku! Jeśli chcesz się pozbyć ciężaru, który twe sumienie przygniata, przystąp śmiało do konfesyonału, ale pamiętaj, że, idąc tam, masz przedewszystkiem podeptać bożyszcze tego świata, któremu na imię »wzgląd ludzki«. Tu niema dlań miejsca. Ten, przed którym masz odkryć najgłębsze tajniki twego sumienia, ciebie nie zna; on słuchał zeznań straszniejszych, niż twoje. On ciebie ani się przestraszy, ani ze wstrętem od

ciebie odwróci. — On nawet nie ujrzy twej twarzy, która rumieńcem wstydu zapłonie. Serce zaś jego, pełne miłości i miłosierdzia, to, co mu powierzysz, zostawi pod strażą tajemnicy Sakramentalnej, jakiej mu nigdy, pod żadnym warunkiem, pod żadną grozą zdradzić nikomu nie będzie wolno.

»Więc zdobądź się na odwagę! Wyznaj przed nim swą nędzę.

»Czemu się boisz?... Czemu się wstydzisz? On cię przyjmie jak ojciec ewangeliczny przyjął marnotrawnego syna i będzie cię pocieszał, uspokajał, powróci ci utracony pokój.

»On ci nałoży pokutę — tak! ale za twoje winy.

»Czemże jednak ostatecznie jest ona w porównaniu do twoich grzechów? Zazwyczaj poleci ci odmówić jaką miłą i pełną pociechy modlitwę, albo spełnić jaką drobną ofiarę, zdobyć się na drobne umartwienia. A za to, podniósłszy nad tobą swą poświęconą rękę, wymówi kilka słów, potężnych ukrytą w nich mocą Bożą i stanie się w tobie coś dziwnego. Kiedy ci oświadczy, że obdarza cię pokojem, odejdziesz od niego uspokojony, podniesiony na duchu, pokrzepiony, inny...

»Powiesz mi, że, aby tego doświadczyć, trzeba w skuteczność Sakramentu Pokuty wierzyć. A ty uwierzyć nie możesz.

»Biedny! Czyż sądzisz, że uwierzyć, choćby i teraz, wśród całego postępu nowoczesnej kultury — to rzecz tak trudna?

Czyż doprawdy zaszedłeś tak daleko, że nie czujesz w sobie już ani jednej kropelki krwi chrześcijańskiej, która od tylu wieków ożywiała całe pokolenia twych przodków? Czyż nigdy do Pisma św. nie zajrzałeś? Czyż nie zastanawiałeś się nad księgą, która tak dziwnie skutecznie przemawia do wszystkich, cierpiących i utrapionych?...

»Biedny! Nie, nie wierz tym, co ci powiadają, że wiara już wymarła i że ludzkość od stu lat się otrząsła z więzów, krępujących ją w wiekach poprzednich! Nie wierz im; kłamią, bo, żeby te nowe ich prawa, — prawa człowieka z czasów rewolucyi francuskiej ogłosić i wprowadzić w życie, trzeba było Francyę okryć siecią szubienic, a Europę zalać krwią milionów.

»Inaczej postąpił Jezus Chrystus. I on światu ogłosił Swe prawa, a prawa nowe, do tego czasu niesłychane, i te prawa się przyjęły. Wprawdzie kosztowały i one krwi wiele, tylko nie krwi obcej, nie krwi przeciwników, ale krwi własnej Chrystusa i Jego wyznawców. A dziś, gdzie tylko na świecie ludzie są mniej źli i mniej nieszczęśliwi, — tam napewno pada choć trochę cienia, który na świat, palony ogniem namiętności, grzechu i gniewu Bożego, rzuciło drzewo zbawienia, na jakiem Chrystus Swe życie zakończył i Swój tryumf rozpoczął.

»Biedny grzeszniku! Wiem, jak bardzo się dręczysz... Wiem! bo długo, ach! długo byłem takim jak ty grzesznikiem i z pewnością więcej

winnym niż ty. Kto z przeciwników Chrystusa Pana utrzymuje, że jest nieposzlakowany, temu nie wierzę, owszem śmiało mu w oczy powiem, że jest obłudnikiem. Słowa jego — to słowa kłamstwa, bo własne sumienie zadaje im kłam. Stąd trzeba przyznać słuszność Józefowi de Maistre, twierdzącemu, że w sumieniu najuczciwszego człowieka zawsze znaleźć możesz coś, co wstrętem i oburzeniem cię przejmie...

»Byłem i ja nędznym grzesznikiem, jak ty, i instynktem wiedziony szukałem i ja kogoś, pełnego łagodności i serca, przed którym mógłbym się wywnętrzyć. I znalazłem!

»Idź w moje ślady. Zajrzyj do Pisma św. i przypatrz się Ukrzyżowanemu... Złóż ze siebie pychę, idź do Trybunału Pokuty, kędy rządzi i panuje przewyższające wszystko miłosierdzie.

»Byliśmy wstrząśnięci do głębi, kiedy pewien sędzia świecki uwolnił od kary matkę, co chcąc dziecko swe od śmierci głodowej ratować, ukradła kawałek chleba. Ludzkość tego człowieka rozczulała nas do łez. — I słusznie. Ale czyż nie równie słuszniej powinna nas rozczulić wspaniałomyślność sługi Bożego, który za łzę żalu przelaną z powodu grzechów, odpuszcza nam nasze winy i gładzi nasze grzechy!

»Spieszmy tedy do niego, aby odzyskać pokój serca przez zasługi Chrystusa, co łotrowi na krzyżu przebaczył i otworzył bramy raju.«

LIST V.

Komunia św.

»Czy to możliwe, aby na słowo człowieka istota rzeczy się przemieniała? — A jeżeli jest to faktem, to fakt ten wprowadza nas w błąd«. — Jakimże sposobem Ciało Pańskie może się równocześnie znajdować na różnych miejscach?« — Franciszek Coppée.

Po spowiedzi — Komunia św. Piszesz, że pomiędzy Twymi profesorami i kolegami jest wielu takich, co o Sakramencie Ołtarza nie chcą nawet słyszeć.

Chętnie temu wierzę. Przecież, kiedy Pan Jezus zapowiadał żydom ustanowienie tego Sakramentu, wielu z obecnych, nie wyjmując niektórych Jego uczniów, tym słowom odmówiło wiary, pomimo cudów, na które patrzeli. »Twarda jest ta mowa — mówili, — i któż jej słuchać może« (Jan 6. 61).

A jednak Pan Jezus mimo to w tem, co powiedział, nie zmienił nic, tylko zostawił im do wyboru: albo uwierzyć i wziąć udział w Królestwie Niebieskiem, albo nie wierzyć i wyrzec się swego zbawienia. »Jeślibyście nie

jedli ciała syna człowieczego i nie pili krwi Jego, nie będziecie mieć żywota w sobie.« (Tże 54.)

* * *

Bo doprawdy, jaka może zachodzić trudność w uwierzeniu tym Jego słowom?

Czy może ta, że sposób, w jaki się to dzieje, jest dla nas tajemnicą? Jakby wszystko, co dla nas jest tajemnicą, już tem samem nie miało być prawdą i stawało się nonsensem!

Albo czy może wszystko, czego nie jesteśmy w stanie pojąć, przez to samo już nie jest rzeczywistością?

Gdy chodzi o słowo Boskie, nie zapominaj nigdy, że przemawia Bóg, którego rozum nieograniczony widzi nieskończoną ilość prawd, przewyższających pojętność naszego rozumu będących względem nas tajemnicami, ale tajemnicami wiarogodnemi, jeżeli On je nam raczy odsłonić, — On, który prawdę wszelką zna i który nas w błąd wprowadzić nie może. — Tak! takie tajemnice ze wszech miar są wiarogodne i zdrowy rozum każe je przyjmować.

Otóż o tajemnicy Najśw. Sakramentu poucza nas nie kto inny, tylko sam Chrystus Pan; — więc Bóg prawdziwy, wszechwiedzący i Prawda wcielona; i to w sposób tak jasny i przystępny, że co do treści słów Jego żadna zachodzić nie może wątpliwość. Nie możemy jej przeniknąć — prawda; ale ponieważ wiemy, że On ją nam podaje, więc nam to wystarcza.

Ale przypatrzmy się trudnościom, które co do tego Sakramentu dzisiejszy racyonalizm odważa się stawiać.

* * *

Powiadają: »Czyż podobno, aby słowo człowieka mogło coś podobnego zdziałać, — aby mogło sprawić, że Chrystus Pan pod postaciami chleba i wina poczyna ukrywać Swe Bóstwo i człowieczeństwo, — Swą chwałę, potęgę, rozum i Majestat?«

Zarzut sam w sobie słuszny. Słowa zwykłego człowieka nie mogą zdziałać coś podobnego, — to pewno; ale co innego, jeśli je wyrzeknie nie człowiek zwykły, ale Człowiek-Bóg, Chrystus Pan.

Czy i On tego zdziałać nie potrafi? Gdy chodzi o Żyda, poganina, niedowiarka, jest to niepodobieństwem, bo w ich oczach Chrystus nie jest Bogiem; ale gdy chodzi o chrześcijanina, wierzącego w Bóstwo Chrystusa Pana, czemużby miało niem być? —

A faktem jest, że Chrystus Pan podczas ostatniej wieczerzy te słowa wyrzekł i kazał je Apostołom podczas Mszy św. powtarzać. Po śmierci zaś Apostołów przeszedł ten rozkaz na ich następców aż do dni naszych. Słowa tedy sakramentalne nie są słowami Apostołów, ani biskupów, ani kapłanów, którzy Mszę św. odprawiają, ale samego Chrystusa Pana, Boga-

Człowieka, u którego nie będzie niepodobne żadne słowo (Łuk. 61).

»Kapłan, powiada św. Ambroży, powtarza tylko słowa, przez które Chrystus Pan po raz pierwszy pod postaciami chleba i wina ukrył Swe najświętsze ciało; on działa w Jego imieniu, powtarzając Słowa Chrystusa: »To jest ciało moje«, — przez co działa to, co Chrystus zdziałał, kiedy te słowa wymawiał. Przecież w ów wieczór pamiętny rozległo się w wieczerniku to samo Słowo wszechmocne, przez które na początku świat z niczego został stworzony. — Czemużby to Słowo rzecz przez siebie stworzoną zamienić nie mogło na inną? Dlaczegożby Bóg, który bytem obdarzył, co jeszcze nie istniało, nie mógłby innym bytem obdarzyć to, co już istnieje«[1]).

Podobnież św. Jan Złotousty: »Chrystus Pan powiedział: »To jest ciało moje, To jest krew moja«... Otóż te słowa, wychodząc z ust Syna Bożego, stały się słowem wszechmocnem, sprawiającem to, co wyrażają; poczem powtarzane przez Apostołów, biskupów i kapłanów, jakby echem się odbijając, biegły przez wszystkie wieki, biegną dzisiaj i biedz będą bez przerwy aż do końca świata po przez wszystkie ołtarze, kędy Msza św. się odprawiała, odprawia lub odprawiać będzie, wszędzie stając się powodem, przyczyną i podstawą całej tej tajemnicy«[2]).

[1]) Sacramentum lib. IV.

[2]) Hom. de trad. Juda.

»Na to zgoda. Mamy tu cud ale cud wprowadzający nas w błąd, bo oczy nasze widzą chleb i wino; podobnież czuje smak, powonienie, słuch. Jeżeli tedy pod tem, co wydaje nam się chlebem i winem, ukrywa się Istota Ciała i Krwi Chrystusowej, to jesteśmy w błąd wprowadzeni i to przez samego Boga.«

Ani jedno ani drugie.

Wystarczy zastanowić się spokojnie, czego nas wiara św. o tym Sakramencie naucza. Oto, że przez słowa konsekracyjne przemienia się istota chleba i wina, coś dla zmysłów całkiem nieprzystępnego, — w istotę Ciała i Krwi Pańskiej; ale postacie czyli przypadłość tj. kolor, smak, kształt i zapach chleba i wina — pozostają temi samemi, niezmienionemi, jak przedtem. Zmysły zaś poznaniem swojem pouczać nas mogą tylko o tożsamości tych postaci i w tem nas w błąd nie wprowadzają, bo tak jest w rzeczywistości.

Prawda w zwykłem porządku rzeczy, nasz rozum, na podstawie poznania zmysłów, musi wnioskować, że poza temi postaciami ukrywa się także istota chleba i istota wina, całkiem uzasadniony wyprowadzając stąd wniosek.

Ale ten wniosek tylko w zwykłym porządku rzeczy jest uzasadniony. Kiedy bowiem przez wszechmoc Bożą w zwykłym porządku rzeczy stanie się wyjątek, to rozum wniosku tego wyprowadzać nie powinien. On na podstawie świadectwa zmysłów może tylko stwierdzić istnienie postaci chleba i wina. Gdyby zaś dalej

się posunął, i, nie licząc się z Bożą wszechmocą, wyciągnął wniosek, że za niemi ukrywa się także istota chleba i wina, postąpiłby nierozważnie, ponieważ by nie uwzględnił wszystkich okoliczności, które w danym wypadku do sądu rozważnego są niezbędnie potrzebne i popadłby w błąd, ale z własnej winy.

To też kiedy się dowie, że w danym wypadku zaszła wyjątkowo działalność wszechmocy Bożej, która co do rozmaitości i różności tych wyjątków w naturze rzeczy żadnych nie zna granic, — żeby nie zbłądzić, zanim sąd swój ustali co do istoty, spostrzeżonej przez zmysły rzeczy, on powinien zasięgnąć rady w objawieniu, czyli innemi słowy powinien od samego Pana Boga się dowiedzieć, jakiego rodzaju jest wyjątek, który w tym wypadku nastąpił.

Otóż w Sakramencie Ołtarza, Pan Bóg nam objawia, — i to jest treścią tej tajemnicy, — że po wymówieniu słów sakramentalnych, poza rzeczywistemi, prawdziwemi i temiż samemi, co przedtem, postaciami chleba i wina, ukrywa się prawdziwie, rzeczywiście i istotnie Ciało i Krew Pańska.

Gdzie? kto? kogo tu w błąd wprowadza?

* * *

»Nie! to być nie może, aby Chrystus w Hostyi konsekrowanej ukrywał się z całem Swem życiem nieśmiertelnem, pełnią chwały Swej niebieskiej tak, że, kiedy ją podzielimy na części

choć najdrobniejsze, będzie tak samo w każdej z nich obecny, jak przedtem był w całej.«

To być nie może?

Mój drogi, weź zwierciadło, w którem się przypatrujesz, i rozbij na drobne kawałki, czy będziesz widział jeden tylko obraz? No nie. Będzie ich tyle, ile kawałków. A w każdym choćby najdrobniejszym, odbijesz się cały.

Otóż powiedz mi, jak się to dzieje?

Nie wiesz? Więc to jest tajemnicą dla twego rozumu. A jednak tak jest.

I w Najśw. Sakramencie fakt rozmnożenia się obecności Pańskiej po przez wszystkie kościoły, kaplice ołtarze... po przez wszystkie Hostye konsekrowane, — jest pewny i niezbity: ale sposób, w jaki się to dzieje, jest i będzie dla rozumu tajemnicą niezgłębioną. — Fakt jednak obecności Pańskiej pozostanie faktem.

»Pan Bóg, pisze O. Ventura, może z równą łatwością rzecz każdą nie tylko niezmiernie zwiększyć, ale także zmniejszyć, ile zechce. — Bo któż ośmieli się Wszechmocy Jego stawiać granice?

Weźmy ludzkie ciało. Czyż nie jest ono całem w zarodku, z którego bierze początek? Trawka drobna tak samo jak niebotyczne drzewo wychodzi z nasienia, w którem było zawarte, — z którego, kiełkując, na świat Boży się wydostało. Rzecz zaiste dziwna, ale fakt pewny.

»A sprawcą tego wszystkiego jest Bóg.

»Oparte na wszechmocy Bożej to wszystko jest niezrozumiałe, ale wytłomaczone.

»Weźmy źrenicę człowieka, albo lepiej źrenicę muszki drobnej, lub małego pajączka. Wszakże to coś nadzwyczaj drobnego i małego. A jednak? Jednak w tej ledwie dostrzegalnej źrenicy odbija się cały firmament niebieski, góry, morza... niezliczona ilość przedmiotów: wielkich i małych bez żadnej różnicy. A wszystko znajduje w nich miejsce; wszystko przez ten sam promień światła w niej się odmalowuje.

»Wobec tego:

»Dlaczegoż (jak wołał pewien mąż uczony) nie mógłby Pan Bóg przez swe Słowo wszechmocne względem Ciała Chrystusowego zdziałać cud, podobny do innych objawów Swej potęgi, której dowody daje nam w każdej chwili, na daleko większą skalę, za pomocą siły w promieniu światła ukrytej? Dlaczegóżby nie mógł w kawałku, choćby najdrobniejszym, Hostyi konsekrowanej ukryć Ciało Chrystusowe, — On, który w źrenicy oka tyle i tak wielkich stworzeń ukrywa, — w źrenicy, będącej stosunkowo do tego, co światło w niej maluje i umieszcza, czemś daleko mniejszem, niż najmniejsza cząsteczka konsekrowanego chleba, najmniejsza kropelka konsekrowanego wina w porównaniu do Ciała i Krwi Pańskiej?

»Może kto powie, że porównanie to nie jest trafnem, bo w Przenajśw. Sakramencie znajduje się Ciało Pańskie w sposób taki, jaki jest w sobie, a w źrenicy oka mieści się wszystko, w sposób tylko o b r a z o w y.

»Otóż na to odpowiadam, że Chrystus Pan

jest wprawdzie w tym Sakramencie w sposób rzeczywisty i prawdziwy, ale nie w ten sam, w jaki jest sam w sobie naturalnie, tylko jest w sposób cudowny, jak teologowie powiadają, sakramentalny. Ten sposób zupełnie nadzwyczajny, wyjątkowy, właściwy tylko Ciału Pańskiemu, miał Sobór Trydencki na oku, kiedy określił, że pod postaciami chleba i wina znajduje się Pan nasz istotnie albo raczej istotowo (substantialiter).

»I rzeczywiście trudno dobrać wyrażenia, któreby lepiej wyrażało treść tej wzniosłej tajemnicy i było bardziej głębokiem, dokładnem, filozoficznem, jasnem« [1]).

* * *

Więc istota chleba przemienia się w istotę Ciała i Krwi Pańskiej? Więc istota rzeczy może się zmienić?«

»A przecież wszystko co jest, jest tem czem jest albo przestaje być.«

No nie zawsze, bo w świecie materyi, w dziedzinie rzeczywistości zasada przytoczona jest nieprawdziwą.

Kiedy chodzi o świat myśli, świat pojęć, — to co innego; tam ma ona swe znaczenie! ale w rzeczywistości, w świecie konkretnym i rzeczowym trzeba nią szafować ostrożnie.

Weź pokarm, który codziennie spożywasz. Przecież on się przemienia w Twoje kości, muszkuły, i nerwy — jednem słowem, w Twe

[1]) Les Harmonies de l'Eucharistie.

ciało. Chleb i wino, które do stołu Ci podają, po dokonanym procesie trawienia, już nie są chlebem ani winem, tylko Twojem ciałem, bo się w nich stała przemiana i to przemiana w istocie rzeczy.

Cóż tedy dziwnego, że znowuż w dziedzinie samego faktu w świecie materyi, Chrystus Pan przez wszechpotężne Swe Słowo, w innym kierunku sprawia to, co, gdy chodzi o pokarm i napój, osięga przez prawa, jakiemi przy stworzeniu wyposażył istoty żyjące.

Prawda, rozum nie może pojąć sposobu, w jaki On tę przemianę chleba w Ciało swe sprawia; ale czyż może on pojąć sposób, w jaki się dzieje przemiana pokarmu w ciało? innemi słowy, na czem polega siła życiowa?

Uczony przyrodnik tej miary, co Quatrefages, choć zresztą niedowiarek, nie mógł sobie tego wytłomaczyć i był zdania, że nauka nigdy wytłomaczyć tego nie potrafi. A jednak któż wątpi o fakcie tej przemiany?

Więc wątpić nam nie wolno o przemianie innego, wyższego rodzaju, jednej rzeczy w drugą (transubstantiatio), jaka na ołtarzach naszych codziennie się dokonywa.

* * *

»Jeżeli pod postaciami chleba i wina nie ma po konsekracyi ich istoty, skąd pochodzi, że one nas karmią, że się psują, rozkładają? Przecież to są objawy nie przypadłości i postaci, ale samej istoty rzeczy, t. j. chleba i wina.«

Po dokonanej konsekracyi w Przenajśw. Sakramencie istoty chleba i wina niema: stąd postacie ich istnieją s a m e b e z r z e c z y, która stanowi naturalną ich podstawę. Ale właśnie na tem polega cud.

»A cud ten, t. j. takie istnienie, czy nie sprzeciwia się rozumowi?«

Bynajmniej.

We wykopaliskach widzimy skamieniałe zwierzęta, drzewa, rośliny, zachowujące wygląd, pozór tego, czem były, a obecnie są... tylko kamieniem.

I w Najśw. Sakramencie wygląd, smak, zapach: jednem słowem postacie, są chleba i wina, a rzecz nie jest już ani jednem ani drugiem, tylko Ciałem i Krwią Pańską.

Prawda, te postacie karmią przystępującego do Komunii św., rozkładają się i psują jak w zwykłych warunkach istota chleba i wina. Cóż w tem dziwnego? Czyż bardziej cudownem jest to, że te postacie bez istoty chleba i wina karmią człowieka, niż to, że bez niej istnieją?

Cud ten wynika z pierwszego: bo jeżeli postacie chleba i wina istnieją same, bez swej istoty, jaka w zwykłym porządku rzeczy za niemi się ukrywa, — wypada, aby się z niemi łączyły wszystkie zewnętrzne objawy, które bez tego cudu musiałyby wynikać naturalnie z istoty chleba i wina. Tak tedy się dzieje, że postacie chleba i wina cudem karmią, rozkładają się

i psują tak samo, jak gdyby za niemi ukrywał się chleb i wino.

* * *

»Wiara uczy, że Chrystus Pan na niezliczonych ołtarzach znajduje się równocześnie ze Swem człowieczeństwem, Ciałem i Krwią Najświętszą, Swą duszą i Bóstwem. — Być tu i tam równocześnie, to rzecz w sobie sprzeczna, bo albo jesteśmy tu, a wtedy nas niema tam, i przeciwnie. Przecież to jest jasne, że w ten sam sposób być równocześnie i tu i tam niepodobna.«

Otóż jest i to trudność tylko pozorna. Jest wprawdzie pewnikiem, opartym na prawach przyrody, że wszelkie ciało , a więc i ciało nasze, w naturalnym porządku rzeczy nie może być równocześnie na wielu miejscach, bo materya, dostrajając się do przestrzeni zajmuje w niej pewne, określone, rozmiarom swym odpowiadające miejsce; to też każda jej cząstka, odpowiadając pewnej cząstce przestrzeni, nie może się znaleźć w innej; stąd jest tu, a nie może być tam.

Co innego jednak duch, który ciałem nie jest i z części się nie składa. To też dusza nasza jest n. p. cała i niepodzielna i tu i tam w mojem ciele: i w palcu u nogi i w głowie i w sercu i w każdej najdrobniejszej nawet cząstce mojego ż y w e g o ciała; z czego wynika, że jest równocześnie w ten sam sposób na różnych miejscach.

I tu spotykamy znowu jednę z tajemnic przyrody, których nie możemy zrozumieć, ale która jest dla nas faktem, nie ulegającym najmniejszej wątpliwości.

Otóż co w porządku naturalnym jest właściwością każdego ducha, to w porządku łaski, cudem wszechmocy Bożej staje się także właściwością uwielbionego Ciała Chrystusa Pana. Stąd »Ciało to w Przenajśw. Sakramencie — jak powiada św. Tomasz — nie znajduje się w stanie naturalnym, ale w stanie sakramentalnym, bo przez akt wszechmocy Boskiej staje się niewidzialnem, niepodzielnem i pod pewnym względem uduchownionem, nie przestając jednak przytem być ciałem prawdziwem, ze wszystkimi istotnymi jego przymiotami. — Stąd wynika, że 1) Ciało i Krew Pańska nie znajduje się pod postaciami chleba i wina w miejscu, jakby w naczyniu; 2) że do żadnego miejsca nie pozostaje w stosunku wyższości, niższości, sąsiedztwa i t. d.; 3) że nie jest koniecznie zależnem od rozmiarów tego miejsca, które postacie święte zajmują, a 4) że może być równocześnie na wielu miejscach«.

To wszystko jest dla nas tajemnicą, prawda; ale tajemnicą, która sama w sobie nic niemożliwego nie zawiera, bo w tem sprzeczności niema, żeby ciało jakieś w pewne właściwości ducha wyjątkowo zostało wyposażonem, stąd, jeśli z ust wiarogodnych się dowiemy, że tak jest, dziwić się temu nie powinniśmy. Bo któż

ośmieli się twierdzić, że w tem jest sprzeczność? że dla P. Boga jest to niepodobieństwem? Kto potrafi wskazać granice tego, co ze Swem stworzeniem zdziałać może wszechmocny jego Stwórca i Pan?

* * *

Zresztą za pomocą samego rozumu możemy dojść do poznania, że Pan Bóg jest wszędzie, nie tylko ze względu na Swą potęgę, ale i na Swą Istotę, wszechpełną bytu i niepodzielną — wszędzie: w niebie, na ziemi i na każdem miejscu, i to wszędzie cały, ze wszystkimi Swymi przymiotami.

Wiemy o tem i wierzymy w to, choć któż z nas potrafi to sobie wytłomaczyć i zrozumieć, w jaki sposób się to dzieje?

Jest tu trudność, ale w czem innem — jest w zarozumiałości umysłu i przewrotności serca. Umysł zarozumiały zaślepia się i traci równowagę, skoro miarą swej ograniczoności pocznie mierzyć nieskończoność Pana Boga, a to tembardziej, im bardziej serce jego zepsute odwraca się od prawdy, aby jej światło uczynkom jego nie wystawiało świadectwa, że są złe i nikczemne. Ślepy od urodzenia o kolorach nie ma pojęcia, a głuchoniemy o dźwiękach, czyż dlatego światło dla pierwszego, a głos dla drugiego miałyby być mrzonką, niemożliwością, bo swemi zmysłami nie mogą się o nich przekonać?

Chcąc swym słuchaczom ułatwić wyrobienie pojęcia o wcieleniu Słowa Bożego, św. Augustyn używał mowy ludzkiej za porównanie.

»Myśl ludzka — powiada on — czyli wewnętrzne słowo człowieka, zanim udzieli się innym ludziom, ukrywa się w głosie i weń niejako wciela. Podobnież nieskończona myśl Boża, to jest wewnętrzne Jego Słowo, postanowiwszy udzielić się ludziom, ukrywa się w ciele Boga-Człowieka i staje ciałem.«[1])

To porównanie za Samonem, Biskupem z Gazy, rozwija dalej i do tajemnicy Najświętszego Sakramentu zastosowuje O. Ventura w konferencyach, o których wyżej mówiłem:

»Kiedy przemawiam — pisze on — to słowo moje nie tylko jest znakiem mej myśli, ale jest moją myślą, — jest wewnętrznem mem słowem, zamkniętem w głosie i dźwięku, za pomocą którego przedostaje się z mego umysłu do mych słuchaczy. Stąd kiedy przemawiam, myśl mą tak skutecznie rozmnażam, że, jeśliby setki tysięce ludzi mnie słuchało, każdy z nich otrzyma myśl całą, zupełnie tę samą, co każdy inny, — i tę samą, którą ja we wnętrzu ducha niejako zrodziłem.

»Otóż kiedy, ja człowiek ograniczony i słaby, mogę myśl moją, a więc niejako mój umysł, — poniekąd siebie samego, rozmnożyć i, nie dzieląc się, w tej samej chwili odtworzyć się w mych słowach, książkach, umysłach tych,

[1]) Kazanie 120.

którzy mię słuchają lub czytają, — dlaczegożby Syn Boży nie mógł Siebie samego rozmnożyć, i znaleźć się w tejże chwili we wszystkich konsekrowanych Hostyach i w sercach wszystkich, którzy do Stołu Pańskiego przystępują?«[1])

* * *

Z tego wszystkiego wynika, że chociaż Przenajświętszy Sakrament jest tajemnicą, którą okrywa mgła, jakiej rozum ludzki nie może przeniknąć, to jednak nie przedstawia on w sobie nic takiego, coby było bezwzględnem niepodobieństwem albo sprzecznością.

A ta mgła, te ciemności, czyż pochodzą z prawdy, która się za niemi ukrywa?

Weź nietoperza i wypuść go na światło dzienne w południe: będzie się rzucał, kręcił, tłukł o ściany, padał na ziemię i podlatywał: a to dlatego, że go słońce olśniewa, tak, że mało co albo nic nie widzi. A w tem znowu czyjaż wina? czy może słońca, że świeci za jasno? Oczywiście, nie. Wina — jeśli tu o winie może być mowa — jest wyłącznie po stronie tego nocnego stworzenia, którego wzrok nie jest dostosowany do pełni światła, jakiem jaśnieje dzień, ale jedynie do słabego blasku, jakim widnieje noc.

»Podobnie ma się rzecz i z nami — powiada św. Tomasz — gdy chodzi o tajemnice

[1]) Porówn. św. Tomasz 3. p. q. 76; Bellarmin (De l'Euchar. 1. 1. c. 2.); Suarez (De Sacramentis, § 3.); i w szczególności O. Ventura (Les Harmonies de l'Eucharistie), którego myśli przytaczamy tu w streszczeniu.

wiary św. — Kiedy Pan Bóg z niezmierzonego oceanu prawdy i światła, jakiem jest Jego Istota, pewne jaśniejsze promienie raczy na nas spuścić, olśniewamy, — oczy rozumu naszego zachodzą mgłą i mało co albo nic nie widzimy.«

Gdzie tkwi tego przyczyna? Czy może w promieniu, który nas olśniewa? Nie, jedynie i wyłącznie w tem, że słabość naszego ograniczonego rozumu tak wielkiego światła jeszcze nie znosi. Ale przyjdzie czas, kiedy oko nasze, przywykłe do blasków słabych tego żywota, zajaśnieje wzrokiem orlim, a wówczas będziemy śmiało spoglądali w słońce nieskończonej prawdy i przenikali coraz nowe tajemnice wszelkiej wiadomości i wszelkiego rozumienia.

Dopóki ta chwila szczęśliwa nie nastanie, cieszmy się, że możemy wierzyć i rozum nasz przed Majestatem Bożym ukorzyć.

* * *

P. S. Sądzę, że nie weźmiesz mi za złe, jeśli Ci znowu przytoczę ustęp z artykułu Franciszka Copée'go, który się niedawno pojawił w »Gaulois« pod tytułem: »Komunia a Komunia« (Les deux Communions).

Opisawszy po mistrzowsku nabożeństwo wielkanocne i wyraz radości, spokoju i zadowolenia, jaki jaśniał na twarzach pobożnego ludu, przystępuje on do opisu szczegółów, gdy oto słyszy za sobą słowa:

»Patrz, patrz, Lidorze! jak się wysypują

z kościoła ci, co jedzą Boga (les mangeurs du bon Dieu)!«

»Obejrzałem się, aby zobaczyć nędznika, który w tem miejscu i w tej chwili mógł się zdobyć na tak głupie i podłe bluźnierstwo. Ujrzałem młodzika lat około może dwudziestu.

»Głos jego ochrypły od pijaństwa i rozpusty, ręce w kieszeni, czapeczka sportowa niedbale zarzucona na głowę, papieros przylepiony do dolnej wargi, usta szeroko otwarte i wykrzywione: — wszystko to razem na pierwsze wejrzenie świadczyło o wysokim poziomie inteligencyi i starannem wychowaniu tego bohatera myśli wolnej. — Dwóch podobnych do niego kolegów stało przy nim i przypatrywało się wychodzącym z kościoła.

»Usłyszawszy wyżej przytoczone słowa, poczęli się tamci głośno i wyzywająco śmiać.

»Trafiło to widać do ambicyi czy przekonania tego na pół trzeźwego błazna, bo w tymże samym tonie ciągnął dalej: »A my co? Czy mamy czas tracić? Idźmy i my do komunii.... Proszę panów«.

»Po tych słowach wszyscy trzej znikli w poblizkiej winiarni.

»A ja stałem długo na miejscu i rozmyślałem.

»Tak! »Ci co jedzą Pana Boga«! — Powiedziałeś prawdę, nieszczęsne bydle! Ale czy wiesz, że ci mężczyźni i te niewiasty, o których sądzisz, żeś ich mową swoją bluźnierczą znieważył, — że ci wszyscy wierzący, zanim

do uczty tajemniczej przystąpili, zbadali najpierw swe sumienie, przetrząśli starannie swe serce, a potem, prosząc Stwórcę o przebaczenie, szczerze obiecali się poprawić? Oni czuli, że mimo pokusę i słabość ludzką (wiedz o tem dobrze, człowiecze nieszczęsny!), wstaną od stołu Pańskiego i powrócą do zajęć codziennych trochę lepsi, a nie tak słabi i skażeni, jak byli przedtem.

»I to masz także wiedzieć, że wielu z nich w tej uczcie niebieskiej na długo odpędziło od siebie rój czarnych i przewrotnych myśli, co to upadłego w grzech potomka Adama napastują i dręczą, — a niejeden, może w sam przeddzień tej uczty, nawróciwszy się z drogi występku, wstąpił na drogę cnoty i z niej już nigdy nie zejdzie.

»Ci, co jedzą Pana Boga«! A! Nowocześni twoi wychowawcy, nikczemny młokosie, zapomnieli ci powiedzieć, ile w przeciągu wieków dwudziestu stało się dobrego, a ile złego się zażegnało przez te postacie chleba, za któremi się ukrywa Bóg; — ile nadziei, ile pokoju i szczęścia w czasach trudniejszych i cięższych, niż nasze, spływały tą drogą na twoich przodków!

»Ni Boga! ni pana«! Oto hasło tych, którzy obiecali biedny lud uczynić królem, a uczynili go swym niewolnikiem. Prawda, żeby nad tym wielomilionowym monarchą zapanować i prowadzić go podług swej woli, trzeba było karmić go pychą i zarozumiałością.

»I lud utracił swój zdrowy sąd i rozsądek... i zasnął snem bezsilności.

»Ale ten sen miewał chwile otrzeźwienia. I w tych chwilach lud się spostrzegał, że nie jest ani wolniejszy, ani szczęśliwszy jak przedtem; to też, wyrzekając się swej władzy pozornej i swej zwierzchności, składał ją w ręce jednego i zdobywał się na wysiłek, aby do swych dawnych wierzeń powrócić, odzyskać swe dawne zaniedbane tradycye.

»I tedy przewódcy motłochu, widząc, że nie wystarcza już samo pochlebstwo, że z rąk im się lud wymyka, użyli innego środka i poczęli ofiarę swoją nurzać w bezwstydzie i występku. I poczęli kłamać, poczęli tak usilnie, tak głośno lżyć wszystko, co u tego ludu było dotychczas świętem, że wkońcu dopięli swego i biedny ten lud powziął wstręt do przybytków Pańskich, gdzie ręka wszechmocnego niebiańską ucztę dlań zastawiała, — gdzie taż ręka się wznosiła, aby go błogosławić, umacniać, pocieszać.

»Mało tego. Mimo powodzi kłamstwa, oni zdobyczy swej jeszcze nie czuli się pewni. Mogło zajść coś nieprzewidzianego, mógł się lud przebudzić, mógł poznać jak nikczemnie jest oszukiwany i wyzyskiwany i wtedy w napadzie gniewu mógłby się zwrócić przeciw nim, swym ciemiężcom. Żeby się przed tem zabezpieczyć użyli oni środka ostatecznego... I o to zbrodnicza ich ręka postawiła przed nim czarę pełną alkoholu — pełną zabijającą na duchu i ciele

trucizny.[1]) Oto komunia, jaką oni lud sobie posłuszny obdarzają. —

»I my także idźmy do komunii!«...

»Tak! to są twe słowa, nieszczęśliwy młodzieńcze! I tyś powiedział prawdę, powiedziałeś ję bezwiednie, bo przyćmionym twym od wyziewów wódki rozumem, tyś nie sądził, że usta twoje wyrzekły słowa prawdy, kiedy śmiejąc się, znieważyć chciałeś tych, którzy pożywają Ciało Pańskie!

»O biedny! Kiedy pomyślę, jaka przyszłość smutna cię czeka, przechodzi mię dreszcz.

»Skoro tak chcesz, idź, idź zasiądź do uczty, którą ci zgotował szatan w przybytku poniżenia, przekleństwa i występku! Idź, pij z czary szaleństwa i śmierci!...

»I serce moje drżało ze współczucia nad tym zaślepionym tłumem, oszukiwanym, dającym się wiązać, pętać i rzucać w ręce rozpaczy... i wszedłem z powrotem do kościoła, aby się za nich pomodlić...«

---

[1]) W 1884 zużyto we Francyi 49.500 hektolitrów absyntu; w 1894 — 125.000, a 1904 — 208.000, (Minot de probleme de l'heure presente t. I. str. 660.)

LIST VI.

O małżeństwie.

Małżeństwo cywilne. — Sakrament małżeństwa jest »Sakramentem wielkim w Kościele«. — Jak daleko sięga kompetencya władz świeckich. — Dokąd nie może sięgać? — Rozwody. — Senator Fogarazzo, prof. Marselli. Cav. Federici. — Skutki rozwodów. — »Rozwody — to postulat nowoczesnej cywilizacyi«. — Czy Kościół katolicki zna rozwody?

Nie dziwię się zupełnie, że z kolegami Twymi mówisz często o rozwodach.

Sprawa to aktualna — wszędzie o niej głośno: i tam, gdzie państwo rozwody uznaje i tam, gdzie ich jeszcze niema, bo pewne sfery systematycznie, wytrwale i gorąco pracują nad ich wprowadzeniem, względnie zachowaniem. Przecież nie tak to jeszcze dawno, rząd włoski przez usta Zanardelliego, swego podówczas czerwonego przedstawiciela, zapowiedział, że zamyśla »złagodzić co do skutków nierozerwalność małżeństwa cywilnego, dobrą w zasadzie, ale w praktyce różne przedstawiającą trudności«. I na ten temat poczęto występować

w parlamencie, rozprawiać po gazetach, zbierać podpisy.

I w Austryi hałas rozpoczęty przez »stowarzyszenie w separacyi żyjących mężczyzn« a dopominających się rozwodu, także jeszcze nie zupełnie się uciszył.

To też, jak powiadam, mnie to, nie dziwi, że sprawa ta kolegów Twych zajmuje, tylko mógłbym dać konia z rzędem, że zwolennicy rozwodów pomiędzy nimi, nie wiedzą właściwie o co chodzi i nie rozumieją, jakie zgubne skutki musiałyby w praktyce życia z rozwodów wyniknąć.

A Ty, czy to rozumiesz? Sądzę, że nie i dla tego postaram się Ci to wyjaśnić...

* * *

Trzeba Ci przedewszystkiem wiedzieć, że małżeństwo jest kontraktem, opartym na prawie przyrodzonem. Sama natura rzeczy domaga się tego rodzaju kontraktu mężczyzny i kobiety, dlatego, że bez niego nie możnaby zaspokoić wszystkich przyrodzonych potrzeb zarówno pojedyńczych ludzi wziętych z osobna, jak i całej ludzkości wziętej razem.

Stąd u wszystkich narodów, nawet stojących na najniższym stopniu kultury, spotykamy instytucyę małżeństwa, często spaczoną, wykolejoną, ale wszędzie ona jest.

Przytem ponieważ kontrakt małżeński w wysokim stopniu obchodzi państwo i jego przedstawicieli, bo na niem się opiera społeczeństwo, z niego wypływają różne prawne i pierwszorzędnej doniosłości skutki: stąd władza państwowa musi swą kontrolę na małżeństwo rozciągnąć, czyli innemi słowy, musi je także zaliczyć do rzędu kontraktów cywilnych.

Ale na tem nie koniec.

Ten kontrakt cywilny, na prawie przyrodzonem oparty, a sankcyonowany przez państwo, różni się przytem istotnie od innych czysto cywilnych kontraktów przez to, że Chrystus Pan go wyniósł do godności Sakramentu. Jako Sakrament jest on obrazem i symbolem związku Chrystusa Pana z Kościołem, przeznaczonym nie tylko do zachowania rodzaju ludzkiego, ale także do dostarczenia Kościołowi wojującemu wyznawców, a Kościołowi tryumfującemu dziedziców wiekuistej chwały.

Kontrakt i Sakrament to dla ludzi ochrzconych rzeczy tak ściśle ze sobą złączone, że jedno bez drugiego istnieć nie może, czyli innemi słowy, gdy chodzi o chrześcijanina, w razie ważności Sakramentu, ważnym jest taki kontrakt i przeciwnie, jeżeli Sakrament dla jakiejkolwiek przyczyny ważnym nie jest, i kontrakt nie jest ważnym — małżeństwa niema.

Z tego wynika, że prawodawstwo, tyczące się istoty małżeństwa, należy do Kościoła: bo Kościół, jako upoważniony przedstawiciel i Zastępca Chrystusa Pana, jest jedynie uprawnio-

nym szafarzem Jego łask i Sakramentów. To też jak sam tylko Kościół ma prawo decydowania o ważności chrztu lub kapłaństwa, tak tylko on sam ma prawo sądzenia, czy w danym wypadku Sakrament małżeństwa został ważnie zawarty lub nie.

Tu państwo nic do powiedzenia niema.

* * *

Przypuśćmy, że przyszła chwila i stanąłeś u ołtarza w obecności P. Jezusa, który o parę kroków od Ciebie w Przenajśw. Sakramencie się ukrywa — a obok Ciebie stoi Twoja narzeczona. Masz zawrzeć ślub.

Co stanie się z Tobą za chwilę?

Oto P. Bóg w Twej duszy i w duszy Twej narzeczonej dokona rzeczy wielkich.

Ona powie: »Ja Ciebie biorę sobie za męża«, a Ty powiesz: »Ja Ciebie biorę sobie za żonę«. To będzie znak widzialny.

A w tejże chwili z tymi słowami, które usłyszy otoczenie, zleje się na was łaska niewidzialna, łącząca dusze wasze w jedno tak, że tylko śmierć potrafi związek ten rozerwać.

Prawda, ta łaska na duszach waszych nie wyciśnie piętna czyli charakteru jak w Sakramencie chrztu, bierzmowania i kapłaństwa; będzie jednak czemś do niego zbliżonem, bo jej, podobnież jak tego charakteru, żaden grzech, żadna niegodziwość nie będzie mogła zniszczyć. Będziecie mogli ją zbezcześcić, sprofanować, ale

nie będziecie mogli zatrzeć i to tak długo, jak długo oboje żyć będziecie na ziemi.

W dodatku, jak charakter sakramentalny daje prawo do pewnych łask uczynkowych, tak i Sakrament małżeństwa, — do łask zapewniających wam pomoc najpierw w niesieniu ziemskiego krzyża i w dążeniu wspólnem i zgodnem do niebieskiej waszej ojczyzny, potem w wychowaniu dzieci waszych, a wreszcie w poskramianiu pożądliwości waszego ciała i zachowaniu czystości odpowiedniej do małżeńskiego stanu.

Otóż to wszystko stanie się w duszy Twej narzeczonej i w duszy Twojej, gdy wobec Pana Boga przysięgniecie sobie nawzajem miłość dozgonną i wierność.

* * *

I kiedy po wszystkiem opuszczać będziecie przybytek Pański, już nie będziecie tymi samymi, co przedtem, wchodząc do niego.

Coś się w was zmieniło.

Odejdziecie ludźmi innymi, uświęconymi, powołanymi do stanu, o którym tak pięknie mówi Tertulian:

»W jaki sposób mam opisać szczęście małżeństwa, w którem Kościół św. pośredniczy, ofiara Ciała i Krwi Pańskiej umacnia, błogosławieństwo kapłańskie wzbogaca, aniołowie ogłaszają i Ojciec niebieski potwierdza... Co za słodkie jarzmo! Ten sam sposób życia, te

same religijne obowiązki. Oboje są dziećmi tegoż samego Ojca, sługami tegoż samego Pana.

»Niema nic, coby rozdzielało ich ducha i ciało; prawdziwie dwoje w jednem ciele. Gdzie jedno ciało, tam jest i jeden duch. Oni się razem modlą, razem poszczą, wzajemnie się pouczają, wzajemnie się zachęcają, — oni razem idą do kościoła, razem przystępują do Stołu Pańskiego. Ich utrapienia, prześladowania, chwile szczęścia i smutku, są wspólne.

»Mąż żonie, a żona mężowi nie przeszkadza w odwiedzaniu chorych, wspieraniu ubogich, udzielaniu jałmużn, oddawaniu się pobożnym ćwiczeniom.

»Uradowany tym widokiem, śle im Chrystus Pan Swój pokój.

»Gdzie jest dwoje tego samego ducha — tam jest On między nimi.«

Po tym wstępie, kończy Tertulian uwagą ważną dla tych, co małżeństwo mieszane zawrzeć zamierzają: »Nie wolno wiernym winny sposób (z niewiernymi) zawierać związku małżeńskiego, bo to nie warte nic«[1]).

* * *

Ale idźmy dalej! Od chwili, w której staniesz się mężem, Ty z Twoją żoną będziecie żyjącym obrazem związku Chrystusa Pana z Jego Oblubienicą — Kościołem św. Dlatego

[1]) Ad. uxor II. 9.

to św. Paweł nazywa wasz związek »wielkim sakramentem!« — W liście bowiem do Efezów tak mówi o małżeństwie chrześcijańskiem:

»Żony niechaj będą poddane mężom swoim »jako Panu, albowiem mąż jest głową żony, »jako Chrystus jest głową Kościoła...

»Jako Kościół poddany jest Chrystusowi, »tak też i żony swoim mężom we wszystkiem...

»Mężowie miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował Kościół.

»Tak tedy mężowie mają miłować żony »swoje, jako swoje ciało.

»Kto miłuje żonę swoją, samego siebie »miłuje. Albowiem nigdy żaden ciała swego »nie miał w nienawiści, ale je wychowywa »i ogrzewa, jako i Chrystus Kościół; bo je»steśmy członkami ciała jego, z ciała jego i z krwi »jego. Dlatego opuści człowiek ojca i matkę »i złączy się z żoną swoją i będą dwoje w je»dnem ciele.

»Sakrament to wielki jest, a ja mówię w Chrystusie i Kościele.«

Czy uważasz, mój drogi, w jaki sposób św. Paweł wyraża się tu o stosunku małżonków do siebie? w jaki sposób wyprowadza ich wzajemne względem siebie obowiązki?

Oto jak artysta-malarz, mając zrobić czyjś portret, spogląda na model i rys do rysu dodając, przenosi podobiznę jego na płótno: — tak św. Paweł, wpatrując się w Związek Chrystusa Pana z Kościołem, odtwarza go na zwią-

zku małżeńskim chrześcijan i wskazuje jakim ma on być, wykonanie pozostawiając im samym.

Wobec tego jasnem jest, dlaczego małżeństwo chrześcijańskie, jako Sakrament jest rzeczą nie tylko świętą, całkiem wyjętą z pod wpływu władzy świeckiej, ale przytem jest związkiem nierozerwalnym.

Może być ono zawarte nieważnie, a wtedy go niema, jak np. go niema, jeśli się go nie zawrze przed miejscowym proboszczem albo zawrze z krewnym do czwartego stopnia, powinowatym bez odpowiedniej dyspensy itd. W takim wypadku Kościół badać będzie sprawę i, jeśli znajdzie, że tak się rzecz ma, pozwoli małżonkom rzekomym się rozejść, ale bez rozwodu; bo rozwodzić się, znaczy robić tak, jak np. robią protestanci, kiedy, pobrawszy się prawnie, bez żadnej przeszkody i dokonawszy małżeństwa, po jakimś czasie, pod błahym nieraz pretekstem, idą do sądu, aby ich rozwiązał i pozwolił wejść w inny związek.

Otóż taki rozwód jest aktem nieważnym, postępowanie takie grzesznem, zakazanem, na które Kościół nigdy, pod żadnym warunkiem nie może pozwolić i nie pozwala.

* * *

»To wszystko pięknie i ładnie, ale, skoro małżeństwo jest także kontraktem cywilnym, to powinno podlegać także i cywilnemu prawodawstwu«.

Całkiem słusznie, tylko pod warunkiem, że nie będzie przekraczało granic swej sfery działania.

Jak długo chodzi o skutki małżeństwa doczesne, n. p. o majątek małżonków, posag żony, porządek dziedzictwa, prawa następstwa, obronę prawną potomstwa — państwo rozporządzać się może, jak chce. Kościół zawsze zachęcał wiernych do zachowania i poszanowania takich rozporządzeń.

Kiedy jednak chodzi nie o skutki, zawartego już należycie kontraktu małżeńskiego, ale o kontrakt sam, czyli o same małżeństwo, wtedy państwo nic nie ma do powiedzenia, tylko Kościół, Papież, Biskup albo w ich imieniu — proboszcz.

A to wszystko dlatego, że tu chodzi o Sakrament: więc o rzecz nie doczesnej, tylko, jak widzieliśmy, czysto duchowej natury, całkowicie, bezwzględnie raz na zawsze wyjętej z pod kompetencyi władzy świeckiej.

Wdzierać się zaś do przybytku Pańskiego gwałtem i chcieć w nim rządzić, decydować dlatego, że małżeństwo obchodzi także państwo, znaczyłoby tyle, co żądać, aby obrazem rozporządzał nie artysta, który go wymalował, ale tkacz, który płótno utkał. — Dwóch ludzi pracowało nad jednem i tem samem płótnem: każdy z nich włożył w nie coś ze swego, ale, robota jednego jest wyższego rzędu niż drugiego, więc i władanie obrazem pozostawione być musi pierwszemu.

Jedna i ta sama sprawa obchodzi Kościół i państwo: Kościół — jako Sakrament, a państwo — jako kontrakt; a że Sakrament przewyższa nieskończenie wszelki wzgląd doczesny, którym interesuje się państwo: stąd według powyższej zasady, rozporządzenie czyli prawodawstwo co do samej istoty Sakramentu, należeć powinno do Kościoła i do niego samego wyłącznie.

* * *

»Proszę mi powiedzieć, co w akcyi, żądającej reformy małżeństwa, Kościołowi właściwie się nie podoba?«

Nie podoba mu się:

1) że państwo chce uważać siebie za źródło prawomocności małżeństwa, i w razie wątpliwości przywłaszcza sobie prawo ostatecznej w tym względzie decyzyi,

2) że państwo uważa małżeństwo kościelne za ceremonię dodatkową, natury czysto prywatnej; a tu rzecz ma się wprost przeciwnie,

3) sam punkt wyjścia nowoczesnego państwa, oddzielającego samowolnie Sakrament od kontraktu: nie troszczącego się o Sakrament, a uznającego kontrakt tylko ten za ważny i obowiązujący, który zostanie zawarty według jego przepisów i przed jego przedstawicielami.

Z tego fałszywego założenia mogą wyniknąć i wynikają skutki bardzo smutne. I tak

np. państwo nie zna małżeństw ukrytych, w sumieniu tylko obowiązujących, a Kościół je zna; to też, kiedy zachodzi słuszna przyczyna, aby przynajmniej do czasu było zachowane w tajemnicy, Kościół na nie pozwala, a państwo, wychodząc ze swej zasady, go nie uznaje.

Podobnież państwo wydaje różne przepisy, stanowi różne przeszkody do małżeństwa, których Kościół znowu nie zna; albo przeciwnie nie uznaje tych przeszkód, które ustanawia Kościół.

Skutkiem tego państwo nowoczesne małżonkom prawdziwym pozwala nieraz rozejść się i zawrzeć inny związek, a za małżonków uważa tych, którzy niemi nie są: Wszystko kosztem iluż to nieporozumień, udręczeń, wyrzutów sumienia! — Ile rodzin rozbitych, ile istot wykolejonych, złamanych!

* * *

Uwieńczeniem fatalnego zacietrzewienia rządów nowoczesnych jest prawne dopuszczenie rozwodów, o co we Włoszech i Austryi nieprzyjacielom porządku i ładu społecznego obecnie chodzi.

Takie rozwody, — to rzecz w wysokim stopniu niemoralna, wprost przeciwna samej instytucyi małżeństwa, bo, jak w swej allokucyi z 16-go grudnia 1901 powiedział Leon XIII: »Związek małżeński wśród chrześcijan jest z prawa Bożego świętym, pojedyńczym, nierozerwalnym.«

I jakże może być inaczej? Czyż kontrakt małżeński ma stać na równi z kupnem, przedażą, najmem, darowizną, i innemi kontraktami czysto świeckiej natury? Czyż ma być jedynie zależnym od woli człowieka, a więc dziś zawartym, jutro odmienionym, pojutrze odwołanym?

Tak nauczał Luter, któremu o to chodziło, by namiętnościom ludzkim stawiać jak najmniej przeszkód.[1]) Ale któż dziś, nawet z pomiędzy wierzących jego zwolenników, odważyłby się stać na tem stanowisku?

Przecież Pismo św. powiada jasno, że Chrystus Pan małżeństwo przywrócił do stanu, w jakiem je Pan Bóg ustanowił na początku, a to mianowicie wtedy, gdy stanowczo odwołał przywilej listu rozwodowego, dany jedynie przez wzgląd na zatwardziałość serca Żydów (Mar. 10, 4).

To samo potwierdził On później, kiedy wyniósł małżeństwo do godności Sakramentu Nowego Zakonu. Odtąd wyjętym jest z pod władzy świeckiej państwa, ponieważ z woli Chrystusa stał się rzeczą w najściślejszem znaczeniu tego słowa duchową.

---

[1]) Darum wisse, dass die Ehe ein äusserlich leiblich Ding ist, wie andere weltliche Handlungen... Wie ich nun mag mit einem Heiden, Juden, Türken, Ketzer essen, trinken, schlafen, gehen, reiten, kaufen, reden, handeln, also mag ich auch mit ihm ehelich werden und bleiben... (Vom ehelichen Leben Altenb. 2. Th. S. 211). A Kalwin utrzymuje, że »małżeństwo ustanowione jest od P. Boga jak rolnictwo, architektura, szewiectwo i t. d. (Inst. 4. c. 79 u. 34).

Dobrze tedy powiedział kanclerz Pisanelli, kiedy w 1865 r. oświadczył: »Sumienie człowieka pomiędzy kontraktem sprzedaży a małżeństwem widziało zawsze różnicę istotną i widzieć ją będzie«.

Raz na zawsze zapamiętaj dobrze to słowo Pańskie, które wskutek głębokiego przeświadczenia narodów katolickich przemieniło się w przysłowie: Co Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozłącza (Mat. 19. 6).

* * *

Pan Bóg złączył, a rozwód rozwodzi, rozdziela, rozłącza. Rozwód psuje dzieło Najwyższego, zabierając się do jego naprawy: stąd jest świętokradztwem — stąd państwo, które nań pozwala, co więcej, które go uprawnia, bierze w tem świętokradztwie udział czynny i grzeszny.

Wobec tego prawo o rozwodach jest bezbożnością, namiętnościom ludzkim na oścież otwierającą drogę, — źródłem nieszczęścia dla dzieci, których rodzice się rozwodzą — klęską dla niezliczonych rodzin, podnietą i okazyą do zdrady, oszukaństwa i rozpusty. Gdzie rozwody są dozwolone, małżeństwa zawierają się bez namysłu, z sercem lekkiem.

Co tu mówić o wzajemnem przywiązaniu i ufności, kiedy ciężar wspólnego jarzma podaje małżonkom co chwila nową sposobność do pokus, aby go ze siebie zrzucić, a wyciągnąć rękę do innego, wydającego się zdaleka lżejszem i ponętniejszem.

Mnożą się tedy skargi i nienawiści, naraża się przyszłość dzieci, zaniedbuje ich wychowanie, rzuca się nasienie niezgody na całe pokolenia, używa się świadomie środków, aby potomstwa więcej nie przybywało i wreszcie kobietę z wysokości, na którą ją prawo Chrystusowe wyniosło, strąca się znowu coraz niżej w głąb poniżenia, w jakiem była i jest poza światem chrześcijańskim.

Kobieta, ta towarzyszka dozgonna, ta przyjaciółka i powierniczka męża — przez rozwód dojść może do tego, że się stanie narzędziem, przeznaczonem wyłącznie do zaspakajania niższych instynktów mężczyzny, dobrem dopóki do tego służy, a wzgardzonem, zdeptanem, odepchniętem, bez oparcia i współczucia, bez czci i zrozumienia, kiedy wiek lub choroba ją do tego uczynią niezdatną.

Kobieta opuszczona i samotna, nie będąca ni panną, ni żoną, ni wdową, ni matkę — oto los, jaki w tysiącach wypadków rozwód gotuje tej co jest słabszą.

I wobec tego pomyśleć, że feministki i emancypantki wzdychają za rozwodem, co więcej, za miłością wolną!!

Brrr! obrzydliwość!

Tak! rozwód jest rzeczą niemoralną, a jako taki, nie może być pożytecznym dla państwa. Nigdy.

* * *

Do tego samego wniosku, choć z innego założenia, dochodzą mężowie całkiem nie klerykalni, będący jednak pierwszorzędnemi powagami w dziedzinie nauk społecznych i politycznych.

»Z punktu widzenia socyologicznego — powiada Fogazarro — dozwolony i uprawniony rozwód jest cofnięciem się wstecz; bo ewolucya społeczna prowadzi ludzkość najwidoczniej od wielożeństwa do monogamii. A nie łudźmy się, prawo rozwodowe jest powrotem zamaskowanym do wielożeństwa, — reakcyą, pokutujących w ludzkości instynktów poligamicznych«.

Przed nim już utrzymywał prof. Morselli, że »rozwód jest instytucyą złą, zabytkiem z czasów kultury niższej, którego każde społeczeństwo, rozwijające się umysłowo i moralnie według zasad ewolucyi wolnomyślnej — powinno się pozbyć«.

To samo powiedział Cavaliere Federici, prezydent trybunału apelacyjnego w swej książce o rozwodach.

»Kiedy w dziejach ludzkości — pisze on, damy początek i rozwój prawa rozwodowego, musimy stwierdzić, że w krajach chrześcijańskich był on zawsze towarzyszem rozluźnienia obyczajów, — występował i panoszył się, gdzie upadała wiara, ginęły tradycye chrześcijańskie. Ostatniemi czasy począł się szerzyć w skutek sceptycyzmu i niemoralności, coraz szersze zakreślającej koła. Stąd jest rzeczą pewną, że, w ogóle biorąc, mnożące się rozwody

idą zawsze w parze z upadkiem państw i narodów«[1]).

* * *

I cóż na to wszystko powiadają nasi zwolennicy rozwodów?

Powiadają, że nie chodzi tu o Sakrament, tylko o śluby cywilne.

Jakto nie chodzi o Sakrament! Gdybyśmy mówili o rozwodach dla Zulusów, Kafrów, Hotentotów, Turków, Żydów i Budystów, taka odpowiedź mogłaby mieć znaczenie. Ale nam chodzi o Polaków, a Polacy, dzięki Bogu, liczą się jeszcze do narodów chrześcijańskich, a dla chrześcijan w tym względzie ślubu cywilnego niema, jest tylko ślub w kościele, t. j. ślub oparty na Sakramencie. Ten tylko ślub może być podstawą prawdziwego i prawnego małżeństwa, a nie jakaś tam ceremonia cywilna.

»Projektowane rozwody mają kontrakt małżeński rozwiązać, a nie targnąć się na Sakrament!« — Tak rozumują socyaliści, ale nie lud polski. Dla niego małżeństwo albo jest Sakramentem, albo go niema; a jeżeli jest Sakramentem, to żadne rozwody socyalistyczne nie potrafią go obalić. Mogą one świętokradzką ręką je zbezcześcić, ale zniszczyć, usunąć — nigdy.

Dobrze tedy rzekł kiedyś w parlamencie włoskim Senator Canonico: »Mówcie, panowie, co chcecie, to jest jednak rzeczą pewną, że

---

1) »Divorzio e Socialismo«, Venezia p. 173.

w przekonaniu ogromnej większości ludu katolickiego, bez aktu w kościele o małżeństwie prawdziwem i prawnem nie może być mowy, a jeżeli lud ten spełnia pewne ceremonie przed urzędem świeckim, to tylko dlatego, że chce sobie zapewnić skutki prawne w obec władzy państwowej«.

Przekonanie takie jest faktem: więc w razie przeprowadzenia u nas socyalistycznych i postępowych projektów o cywilnych ślubach, rozwodach i t. p. — wiesz coby w tysiącznych wypadkach miało miejsce? Oto w razie rozwodu, udzielonego na żądanie jednej, o Kościół i jego prawa nie troszczącej się strony, druga wierząca, zazwyczaj żona, znalazłaby się w położeniu fatalnem. Wyjść za kogo innego zabraniałoby jej sumienie, boby się czuła związaną małżeństwem pierwszem; a jednak praw do niego nie miałaby żadnych, bo ją pozbawiło ich państwo. Co ma począć?

Powiedzą: »Niech w samotności opłakuje swe nieszczęście, dochowując wiary wiarołomcy, a on pod opieką prawa niech sobie nowe zakłada ognisko!!!«

Prawda, panów socyalistów i żydów co może obchodzić nieszczęście wierzących osób, byleby sekciarskim ich zapędom stało się zadość!

Takie to już braterstwo tej »uświadomionej« czerwonej braci!!

* * *

»Ale rozwód miałby zastósowanie tylko w wypadkach nielicznych«.

Niechby na razie tak było. Ale co będzie potem?

Raz stanąwszy na pochyłości i począwszy się staczać, zatrzymać się trudno. Dziś dla tej, jutro dla tamtej przyczyny, pojutrze znowu dla innej będzie rozwód dozwolony. I powoli wyłom, zrobiony w zasadzie, stanie się coraz szerszym[1]) tak, że coraz prędszym krokiem zdążać będziemy nie naprzód, ale w tył... do wielożeństwa.

Możeby lepiej od razu pójść w ślady Mormonów i z przesłanki, jaką stawiają ci panowie, wyciągnąć ostateczny wniosek. To pewno, że socyaliści, wykształceni na książce Bebla »O kobiecie«, nie będą w tym względzie robili przeszkód. Ale socyaliści, to jeszcze dzięki Bogu, nie naród polski.

* * *

Zdarza się i to, że zwolennicy rozwodów powodują się na zwyczaj, rzekomo powszechny w cywilizowanym świecie dzisiejszym.

---

[1]) Doświadczenie poucza czego innego. Te wypadki z początku są nieliczne, ale z biegiem czasu mnożą się niepomiernie.

We Francyi ilość rozwodów wynosiła:

w roku	1904	7,157
„	1905	10,019
„	1906	10,573
„	1907	10,938

przyczem niemniej ich było w departamentach Pas de Calais, Finistire, Nord, Marbihau, Corsica i t. d., t. j. czysto katolickich. Tam też jedynie ludności nie ubywa, ale przybywa.

Zwyczaj? jaki? gdzie? Otóż nieprawdą jest, żeby się rozwody przyjęły wszędzie. Faktem jest np., że ich nie ma jeszcze w Austryi (przynajmniej u katolików), — w Hiszpanii, Portugalii, Król. Polskiem pod berłem rosyjskiem, w Kanadzie, Peru, Brazylii, Chili, Meksyku, Argentynie, Uraguaju. A jeżeli rozwody są przyjęte i prawem sankcyonowane w cesarstwie niemieckiem, Anglii i Stanach Zjednoczonych, północnej Ameryki, to nie trzeba zapominać, że tam wszędzie przeważa ludność protestancka.

Co zaś się tyczy cesarstwa rosyjskiego, ciekawą jest okoliczność, że kiedy prawo państwowe zna rozwody wyznawców wszystkich wyznań, nie wyłączając religii panującej, — nie pozwala na nie, gdy chodzi o małżeństwa katolików.

Mamy tedy wszystkiego tylko trzy państwa katolickie, w których zaprowadzono rozwody: Francyę, Belgię i Węgry.

Wiadomo, kto do tego dał powód. Oto masonerya i żydowstwo rozpanoszone, a w swych krogulczych szponach dławiące te biedne kraje. Jeśli w Belgii ich pochód zwycięski musiał się zatrzymać i rozwody nie wiele wyrządzają szkody, to tylko dzięki reakcyi katolickiej, która zlokalizowała wpływ tego pasożytu.

Profesor Morselli, podawszy dane statystyczne co do skutków, jakie prawo o rozwodach za sobą pociąga, konkluduje tak:

»Z tego widzimy, że pomiędzy rozwodem, a wszelkim, najgorszym nawet

objawem ludzkiego egoizmu, istnieje związek, bo przyczyną lub skutkiem rozwodów jest zbrodnia, samobójstwo, utrata rozumu i... prostytucya«[1]).

* * *

»Ależ nawet Papieże pozwalali niekiedy na rozwody.«

Na rozwody? t. j. że rozwiązywali małżeństwo, pomiędzy chrześcijanami prawnie zawarte i w czyn wprowadzone? — nigdy.

Na pozór mogłoby się to zdawać, i ludzie z tą sprawą nie dość obeznani, mogą o rozwodzie mówić, ale we wszystkich wypadkach, które masz na myśli, rozwodu nie było, dlatego że nie było w nich małżeństwa.

Małżeństwo jest, jak powiedziałem, nie tylko Sakramentem, ale i kontraktem. Otóż kontrakt małżeński dla tej lub owej przyczyny, może być nieważny. Ta zaś przyczyna może być tajną: mogą o niej nawet obie strony interesowane nie wiedzieć, może zachodzić co do takiej przyczyny wątpliwość...

Otóż w takich razach Kościół sprawę daną rozjaśnia z urzędu. Tak samo jak państwo w danym wypadku decyduje, czy kupno, kontrakt najmu, testament jest ważny lub nie. I taka decyzya niema za przedmiot samego kontraktu, tylko fakt jego istnienia. Jeżeli kontrakt jest nieważny, to go i przed tą decyzyą

[1]) Rivista Ligariga. Febr. 1902.

nie było, choć strony zainteresowane do tej urzędowej decyzyi zachowywały się tak, jak gdyby rzeczywiście istniał.

A że to, co mówię, jest prawdą, dowodzą znowu inne pierwszorzędnej doniosłości fakta historyczne, w których, kiedy po sumiennem zbadaniu całej sprawy, pokazało się, że dane małżeństwo zawarte ważnie było przez wspólne pożycie dokończonem (ratum et consummatum), — żadne prośby i groźby nie mogły skłonić Papieży, owych nieomylnych przedstawicieli Kościoła, do jego rozwiązania.

Weź znane zajście Klemensa VII. z Henrykiem VIII., królem angielskim. Ten ostatni domagał się uporczywie, aby dano mu rozwód z królową Katarzyną, z którą żył długie lata i miał kilkoro dzieci. Papież ustanowił osobną komisyę dla zbadania sprawy, a kiedy się pokazało, że żadnej przeszkody unieważniającej przy zawarciu małżeństwa nie było, oparł się stanowczo żądaniom rozpustnego i okrutnego tyrana, chociaż przewidywał, jak strasznem nieszczęściem grozi to Kościołowi.

Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza.

* * *

Na teraz na ten temat dosyć. Poruszyłem go dla Twej łatwiejszej oryentacyi, a potem, abyś, kiedy czas przyjdzie, wiedział, z jaką starannością i z jakiem zastanowieniem do wyboru dozgonnej towarzyszki życia zabierać Ci się wypadnie.

Teraz narzeczoną Twoją powinna być książka. Ale kiedy nauki pokończysz, stanowisko sobie zapewnisz i do wyboru żony będziesz się zabierał, pamiętaj, patrz nie tyle na twarz i kieszeń, jak na serce. Jeśli w jej sercu znajdziesz pobożność, pracowitość, zamiłowanie porządku, bierz ją śmiało, inaczej miej się na ostrożności.

List VII.

O małżeństwach mieszanych.

Małżeństwa mieszane są raną piekącą nie tylko Kościoła, ale i narodu polskiego. — Kilka uwag o małżeństwie mieszanem w ogólności. — Kiedy małżeństwo jest mieszane? — Co Kościół o tych małżeństwach sądzi? — »Przeszkody małżeństwa są zaporą do zjednoczenia ludzkości.« — Różne zarzuty.

Główną przyczyną[1]), dla której młodzież katolicka tak łatwo się wikła w małżeństwa mieszane, jest niewiadomość, lekkomyślność, a najczęściej brak zastanowienia nad strasznymi skutkami dla Kościoła i narodu, które z nich wynikać zwykły. Obok szkody bowiem, którą ponieść może na duszy strona katolicka, a przynajmniej dzieci z takiego małżeństwa, wynika z nich u nas jeszcze inna. U nas chodzi nie tylko o wyznanie, ale i o narodowość dzieci, a przez to i o przejście ziemi z rąk polskich w ręce niepolskie, często wprost nam wrogie. Prawosławie w Rosyi jest tak

[1]) Czerpałem z ks. Weredyka: »Wielka rana narodu polskiego« i Szillus'a: »Eine verbotene Frucht«.

ściśle związane z narodowością i państwowością rosyjską, że prawosławny i rosyanin znaczy jedno i to samo.

Mieszane małżeństwa powoli, ale stale kopią pod nami grób... Jeżeli tak długo potrwa, jak dotychczas, to z pewnością zniszczą nas całkiem, bo i to trzeba dodać, że dzieci z takich małżeństw z małymi wyjątkami są bardziej fanatyczne i większą ku nam pałają nienawiścią, niż rodowici Rosyanie...

Małżeństwo mieszane, — to woda, która do łodzi Kościoła katolickiego w Polsce, miotanej tylu przeciwnościami, ze wszystkich stron się wciska, grożąc jej zatopieniem przez schyzmę i protestantyzm. Otóż, żeby się przed tem niebezpieczeństwem ochronić, »trzeba je czuć, trzeba je widzieć, trzeba je rozumieć«[1]).

* * *

Najpierw kilka uwag.

Małżeństwo chrześcijańskie różni się od innych sakramentów tem, że w niem ta sama osoba przyjmuje równocześnie łaskę sakramentalną i udziela jej innej, czyli, że szafarzem tego sakramentu nie jest kapłan, jak wielu mylnie sądzi, ale państwo młodzi, tak, że łaska poświęcająca wraz z węzłem sakramentalnym i łaską właściwą temu sakramentowi przelewa się do panny młodej przez ręce

[1]) »Wielka rana narodu polskiego« Wstęp.

pana młodego, a do pana młodego przez ręce panny młodej.

Proboszcz miejscowy z dwoma innymi jest tylko świadkiem przy dokonaniu ważnego dla Kościoła i porządku społecznego aktu, — świadkiem z urzędu tak koniecznie potrzebnym, że według postanowienia Soboru Trydenckiego, bez jego obecności aktu tego ważnie dokonać nie można, ale jest tylko świadkiem.

Stąd kiedy kapłan błogosławi nowożeńców po dokonanym akcie ślubnym, wyposaża ich tylko w pomoc dodatkową ze względu na zasługi i modlitwy Chrystusowego Kościoła, ale co do istoty samego związku i samego sakramentu nie dodaje nic.

Stąd, gdzie wskutek prześladowania Kościoła, jak np. w czasie Wielkiej Rewolucyi Francuskiej, albo do niedawna na Podlasiu u Unitów, — o uprawnionego kapłana jest trudno, tam do ważności sakramentu wystarcza obecność dwóch świadków świeckich.

Owszem po orzeczeniu uroczystem Benedykta XIV. jest rzeczą pewną, że z woli Kościoła nawet małżeństwa protestantów są ważne, choć oczywiście bez żadnego kapłana zostają zawierane. Jeśli zaś są ważne, to muszą być także sakramentem, ile razy chodzi o chrześcijan ochrzconych ważnie.

* * *

Ponieważ małżeństwo jest przytem kontraktem, więc jedynie władza publiczna kom-

petentna, jak widzieliśmy, może decydować o jego ważności.

Otóż, gdy chodzi o sakramenta, ta władza znajduje się w Kościele. Stąd Kościół jedynie ma prawo stanowić przepisy, których zachowanie decyduje o ważności małżeńskiego kontraktu i sakramentu.

Tej władzy zaś Kościół użył, wydając co do małżeństwa dwa rodzaje przepisów czyli przeszkód: z których jedne, czynią związek nieważnym: — inne zaś tylko pod grzechem zabronionym. A w jednym i drugim wypadku, może on daną przeszkodę usunąć, stanowiąc wyjątek, czyli dając dyspensę.

Pierwsze przeszkody zowiemy rozrywającemi (impedimenta dirimentia), jak pokrewieństwo, powinowactwo itd. — drugie zabraniającemi (impedimenta impedientia), jak np. czasy zakazane, nieogłoszenie zapowiedzi itd.

Przytem zwracam Twą uwagę jeszcze na dwie kategorye przeszkód pierwszego rodzaju: mianowicie przeszkody unieważniające małżeństwo z natury rzeczy, lub z postanowienia Bożego, jak np. gdy chodzi o związek krwi w pierwszym stopniu, o inny związek małżeński jeszcze przez śmierć nie rozerwany... itd. i co do tych dyspensy być nie może; — i przeszkody, postanowione przez Kościół jak np. gdy chodzi o powinowactwo, pokrewieństwo duchowe, obecność proboszcza itd.

Wkońcu pamiętaj, że pod uroczystością ślubną, nie trzeba rozumieć, jak pospolicie sądzą rzęsistego oświetlenia, bogatego ubrania kościoła i innych tego rodzaju objawów czysto świeckiej natury, ale jedynie i tylko ślub w czasie Mszy św. z osobnem błogosławieństwem dla panny młodej.

* * *

Przejdźmy do małżeństw mieszanych. Co pod niemi rozumie Kościół?

Otóż pod małżeństwem mieszanem rozumie Kościół tylko takie, w którem jedna strona należy do Kościoła katolickiego, a druga do innej religii.

Żadna inna różnica: charakteru, narodowości, stanowiska, pochodzenia i wykształcenia, istoty tu nie zmienia.

Przyczyna jest jasna. Ponieważ małżeństwo ma za cel główny wzajemną pomoc małżonków w osiągnięciu szczęśliwości wiecznej i wychowaniu potomstwa: więc oczywiście powinni się oni dobrać, aby się stać nie tylko jednem ciałem, ale i jedną duszą. — Otóż do takiej jedności jest bezwarunkowo potrzebną jedność w poglądach na cel ostateczny człowieka i na drogi, które do niego prowadzą — czyli innemi słowy jedność religijnych przekonań. Jeśli tej jedności niema, musi prędzej czy później nastąpić między nimi zamieszanie, zapanować dysharmonia.

Za to wszystkie inne różnice dadzą się usunąć przez pracę nad sobą, cierpliwość i wyrozumiałość.

To też jedynie przy różnicy wyznania małżonkowie nie są dobrani wobec P. Boga i ich małżeństwo z natury rzeczy jest mieszane.

Oczywiście, dysproporcya jest większa, gdy strona niekatolicka nie jest nawet ochrzcona, niż gdy należy do wyznawców schyzmy albo protestantyzmu, ale w każdym razie jest.

Kiedy mówię o wierze różnej, nie mam bynajmniej na myśli obrządków różnych. Stąd małżeństwo między łacinnikiem a unitą w myśli Kościoła nie jest małżeństwem mieszanem, choć z punktu religijnego ma także swoje poważne trudności i do mieszanego najbardziej się zbliża.

* * *

A teraz co o prawdziwie mieszanych małżeństwach sądzi Kościół katolicki?

Otóż choć dla uniknięcia zła większego pod pewnymi warunkami na nie czasami pozwala, uważa je zawsze za coś złego i szkodliwego.

I tak np. Pius VII pisze do niemieckich biskupów: »Jeżeli papieże na te małżeństwa udzielali niekiedy pozwolenia i w postanowieniach Kościoła, zakazujących takie związki, robili wyjątek — czynili to zawsze z przyczyn

ważnych i bardzo niechętnie.« »Wiemy powiada Urban VII, że małżeństw katolików z innowiercami trzeba koniecznie unikać, bo Kościół zawsze je potępia i zakazuje.«

Stąd Leon XIII wyciągając wniosek, orzekł, że »jest rzeczą jasną, jak bardzo tego rodzaju małżeństw trzeba unikać«[1]).

To też z tego punktu widzenia wychodząc, w krajach chrześcijańskich zakazuje Kościół bezwzględnie zawieranie małżeństw z niewiernymi.

Wprawdzie dawniej pozwalał na nie (jak i dziś między świeżo nawróconymi) ale zawsze niechętnie i to tylko ze względu na smutne warunki, w których nieliczni jeszcze chrześcijanie, rozrzuceni wśród pogan, wtedy się znajdowali.

Zawsze jednak odwodził od nich wiernych, idąc za św. Pawłem, który pisał do Koryntyan: Nie ciągnijcie jarzma z niewiernymi, albowiem co za uczestnictwo sprawiedliwości z nieprawością?... z niewiernymi? (II. 6. 14.)

To też niejedna chrześcijanka wolała umrzeć, niż od tej rady odstąpić; bo skoro, jak wiadomo, według praw rzymskich o losie panny decydowała wola ojca, nieraz dla niej nie było innego wyjścia, jak zostać żoną poganina albo umrzeć.

Święta Cecylia, Barbara, Agata, Katarzyna, i t. p. wolały wybrać to ostatnie raczej, niż ciągnąć jarzmo z niewiernym, choćby z cesarzem.

---

[1]) Encyklika o Małżeństwie z 10-go lutego 1880.

Ale nie wszystkie. Wiele innych szło za mąż za pogan. P. Bóg obracał to na Swą chwałę, kiedy przez św. Helenę np. nawrócił Konstantyna, przez św. Klotyldę — Klodowika i Franków, św. Bertę — króla Kanterburyjskiego i Anglików, przez naszą Dąbrówkę — Mieczysława polskiego i Polskę, przez Gizelę — św. Stefana i Węgrów. W tych wyjątkowych wypadkach, te niewiasty pokorne, cnotliwe i święte, przeznaczone były do tego, aby łagodnością, uległością, pobożnością i innemi cnotami, zjednać dla Boga najpierw swych mężów a potem ich poddanych.

Dziś jednak stosunki zmieniły się na tyle, że podobne małżeństwa żadnej korzyści by nie przyniosły, a wiele by szkody zrobiły: stąd Kościół bez względu na praktykę władz świeckich w Europie i w Ameryce, nigdy i pod żadnym warunkiem nie pozwala, aby n. p. katolik żenił się z żydówką lub poganką.

Stąd choćby oni sto ślubów zawarli w urzędzie stanu cywilnego, związek ich będzie nietylko grzesznym, ale i nieważnym — żyć będą w cudzołóstwie, a dzieci ich będą nieprawe.

* * *

Mniej surową jest praktyka Kościoła, gdy chodzi o innowierców ochrzconych. Tu w razie potrzeby udziela on dyspensy i swój zakaz w danym wypadku cofa.

Ale czyni to niechętnie, bo go zawsze razi dysharmonia, dysonans takiego związku, a od-

strasza niebezpieczeństwo, które dla strony katolickiej ono za sobą pociąga, t. j. niebezpieczeństwo utraty wiary, uwikłania się w błędy heretyckie, a przynajmniej zobojętnienia religijnego.

Prawda, Kościół żąda pewnych gwarancyi i bez tych na takie małżeństwo nie pozwala nigdy, ale te gwarancye jakże mało znaczą!

Kiedy Karol I angielski, jako następca tronu, żenił się z księżniczką francuską Henryettą, udzielił mu Papież dyspensy pod warunkiem: że »Królowa i jej otoczenie będzie miała zapewnione swobodne wyznawanie swej religii, król (Jakób I) pod przysięgą obiecał nie namawiać do odstępstwa ani królowej, ani jej dzieci, — służba będzie katolicką, a wszystkie dzieci do 15-go roku życia pozostaną wyłącznie pod opieką matki, — że przytem wszyscy księża i ludzie świeccy, więzieni podówczas za wiarę, będą wypuszczeni na wolność. —

I co się stało? Oto ślub zawarto, obietnicę uczyniono, ale żaden z warunków wymienionych nie został dochowany.

Nie zawsze tak jest z obietnicą, uczynioną przed ślubem, ale niestety! bardzo często tak bywa, stąd Kościół na takie małżeństwa patrzy niechętnie nawet wtedy, gdy wszystkie stawiane przezeń przy zawarciu warunki są zachowane[1]).

* * *

[1]) »Wskutek upadku wiary wśród polskiej inteligencyi i klas zamożnych tak się rozpowszechniło zepsucie obyczajów, że ci, co żenić się mogą, bez obawy niedostatku

»Jakkolwiekbądź, ta praktyka Kościoła — to zabytek średniowiecznej ciemnoty i barbarzyństwa, bo na podstawie religii dzieli ludzkość na wrogie sobie obozy, przeszkadzając zjednoczeniu w jedną rodzinę«.

»Zabytek średniowieczny, ciemnota, barbarzyństwo, ludzkość, wrogie obozy!!...« ile tu frazesów, ile materyału dla wywołania efektu! Jednak tu nie o efekt chodzi, ale o rzecz.

Od upadku Adama, ludzkość jest podzielona na różne stany, narody, państwa i społeczeństwa religijne. Z tem prawodawstwo Kościoła nie ma nic wspólnego i, gdyby nawet zakazu małżeństw mieszanych nie było i w tym względzie pozostawiono wszelką swobodę, — podział ten istnieć będzie dalej.

To też prawodawstwo o małżeństwach ma co innego na oku. Ponieważ w małżeństwie chrześcijańskiem chodzi przedewszystkiem o pożycie zgodne małżonków, harmonię związku rodzinnego, — więc do zapewnienia jednego

---

ani dla siebie, ani dla swych rodzin, — wolą wieść życie hulaszcze, skazywać swe rodziny na wymarcie, a majątek na prędsze przejście w ręce Rosyan, Niemców lub Żydów... Bywa, że się żenią, ale po 50, 60 latach kawalerstwa. Z takich małżeństw ani kraj obywateli, ani P. Bóg chwały niema« (str. 25).

Wskutek tego wiele panien niema sposobności wyjścia za mąż.

W pojedyńczych wypadkach zaś Kościół to ułatwia w ten sposób, że daje dyspensę na małżeństwo z innowiercą w razie, gdy przepisane warunki są zachowane.

i drugiego dąży Kościół i jego prawodawstwo. A że ta zgoda i harmonia w pożyciu wymaga, jak powiedziałem, jedności w poglądach co do kwestyi najważniejszej, tyczącej się pochodzenia, przeznaczenia i powołania człowieka na ziemi; więc cóż dziwnego, że Kościół o zapewnienie jej się stara?

Mąż i żona mają sobie nawzajem pomagać, a nie przeszkadzać, — mają nieść wspólnie swe jarzmo. Tymczasem w małżeństwie mieszanem jeden zdąża do lasa, a drugi do Sasa. A dzieci?

Dzieci pójdą za jednym, lub drugim: stąd powstaną w rodzinie dwa obozy.

Wprawdzie na zewnątrz będzie tam jedna rodzina, ale wewnątrz dzielić się będzie na dwie.

Temu Kościół pragnie zapobiedz. Czyż mu to mamy mieć za złe?

Celem i zadaniem małżeństwa jest nie tylko wzajemna pomoc, opieka, obrona i pociecha w życiu doczesnem — nie tylko godziwe zaspokojenie przyrodzonych popędów ludzkiej natury, ale przedewszystkiem wspólna służba P. Boga, oparta na wzajemnem pomaganiu sobie w spełnianiu włożonych przez P. Boga obowiązków i wychowywanie potomstwa na wiernych członków Kościoła i dziedziców nieba.

Stąd wynika potrzeba wyznawania przez małżonków tej samej prawdziwej religii, bo tylko ona może być dla ich serca ową spójnią świętą, która, łącząc ich z P. Bogiem, złączy pomiędzy sobą nietylko na pierwsze miesiące, ale aż do deski grobowej.

Jedynie religia może ich natchnąć miłością, wyrozumiałością, cierpliwością, poświęceniem, zaparciem się siebie takiem, jakiego wymaga wspólne a nierozerwalne pożycie.

* * *

»Stawianie trudności w kojarzeniu się małżeństw szkodzi prawidłowemu rozwojowi ludzkości pod względem fizycznym, bo przeszkadza swobodnemu doborowi małżonków i krzyżowaniu ras.«

No, tego tylko brakowało. — Więc ludzie to niby stado bydląt, które na ziemi innego celu nie mają, jak tylko żyć i fizycznie się doskonalić!

Znany to zarzut, postępowej medycyny. Nie tu miejsce go zwalczać.

Tu tylko tyle powiem, że ta sama postępowa (?) medycyna, która Kościołowi ma za złe przeszkody stawiane małżeństwu, ze swej strony żąda, aby ludziom pewnej kategoryi: suchotnikom, nałogowym neurastenikom i blizkim krewnym i t. d. i t. d. — ze względów hygienicznych, pod surowemi karami zabroniono zawierania związków małżeńskich.

Więc oczywiście, zdaniem tychże panów, pewne ograniczenia w krzyżowaniu ludzi są konieczne, ze względów czysto zdrowotnych.

Otóż przed nimi o tem pamiętał Kościół, zakazując także małżeństwa.

A że przytem ustanowił on także ograniczenia inne, mając na celu nie tylko zdrowie

i czerstwość ciała, ale dobro dusz, któż mu to może mieć za złe?

* * *

»Kościół podzielił ludzkość na wrogie sobie obozy?«

Doskonale.

A jakże było przed nim?

Homo homini lupus, »Człowiek dla człowieka — wilkiem«, mawiali Rzymianie. A jeżeli teraz, dzięki Bogu, po 20-tu wiekach chrześcijaństwa jest inaczej, to komuż mamy to do zawdzięczenia, jak nie Kościołowi?

Nie, nie Kościół katolicki rozdzielił ludzkość na wrogie sobie obozy, ale grzech i skutki grzechu. Kościół przeciwnie, spełniając rozkaz Pański i nawracając świat do Ewangelii, z innymi skutkami grzechu pierworodnego, starał się usunąć także i podział ludzkości na wrogów i przyjaciół, łącząc ją na nowo w jedno przez wiarę św. i łaskę.

Gdy Piotr św. ochrzcił Korneliusza i przyłączył do widomej społeczności wiernych, rozpoczął się powrót ludzkości do jedności.

Odtąd w Kościele »niema poganina i żyda, obrzezania i odrzezka, barbarzyńca i tatarzyna, niewolnika i wolnego, ale wszystko i we wszystkich Chrystus« (Król. III. 11).

Niech tylko świat stanie się katolickim, wierzącym i praktykującym, a ludzkość się zjednoczy znowu w jedną rodzinę, w jedną owczar-

nię Chrystusową, która cieszyć się będzie pokojem i względnem szczęściem doczesnem.

* * *

»Dobre to wszystko w zasadzie. Przyznajemy, że Kościół ma prawo a nawet obowiązek ustanawiania pewnych przeszkód małżeństwa. Po co tylko te wszystkie zobowiązania przedślubne, podpisy, obietnice, cyrografy?

»Warunki[1]), których Kościół od strony innowierczej się domaga, trącą nietolerancyą; bo proszę: katolikom do zboru lub cerkwi iść nie wolno, a innowierca do kościoła iść musi; katolikom nie wolno swych dzieci wychowywać w innej wierze, a innowiercy zgodzić się muszą na wychowanie ich po katolicku. Czyż to sprawiedliwość? Gdzie tu tolerancya?«

Nie wchodząc w to, o ile zarzut nietolerancyi jest tu uzasadniony, to tylko stwierdzam, że o przymusie nie może być mowy. Chcesz

---

[1]) Warunki te są następujące: 1) Ślub ma się odbyć wyłącznie w kościele przed proboszczem katolickim i to bez błogosławieństwa kapłańskiego, chyba, że na to osobna będzie dyspensa. 2) Strona niekatolicka ma dać na piśmie poręczenie, podpisane przez świadków, że wszystkie dzieci będą chowane po katolicku. 3) Ma także przyrzec, że stronie katolickiej w spełnianiu religijnych obowiązków stawiać nie będzie żadnej przeszkody. 4) Strona katolicka ma się starać dobrym przykładem, łagodnością, miłością, cierpliwością, dobrocią, pozyskać sobie małżonka i zwolna a roztropnie pociągać go do Pana Boga i Kościoła.

się zgodzić na warunki Kościoła, dobrze; nie chcesz, to twoja rzecz. Swoboda musi być zarówno z jednej jak i z drugiej strony.

Kościół daje ci łaskę, gdy ci ją w imieniu Chrystusa P. szafuje, a za to ty oddajesz mu swą swobodę, gdy rezygnujesz z błogosławieństwa pastora i pozostawiasz swe dzieci Kościołowi katolickiemu. To przecie nie przymus, ale układ i zobopólne zobowiązanie.

Protestant, czy schyzmatyk wiąże się sam dobrowolnie. Świat przed nim jest otwarty. Między innowierkami może znaleźć żon ile zechce, nawet nie jedna katoliczka w swej wierze zobojętniała, gotowa będzie stanąć z nim przed pastorem i dzieci w jego wychowywać wierze. Jeżeli zaś się uweźmie do takiej, która o swe sumienie dba i po katolicku żyć pragnie, to któż mu winien, że dla dopięcia swych zamiarów zgodzić się musi na warunki Kościoła?

Gdzie tu krzywda jego sumienia?

Zresztą albo jest on innowiercą z przekonania, albo nie. Jeśli w gruncie rzeczy dla przekonań religijnych jest on obojętny, jak to u innowierców, szczególnie inteligentnych, na 100 wypadków 99 ma miejsce, — to jest mu wszystko jedno, gdzie ślub się odbędzie i w jakiej religii będą wychowywane dzieci. Sumienie nic mu nie będzie wyrzucało.

Co innego, gdy chodzi o katolika, wierzącego i praktykującego. Jego sumienie tylko wtedy może być spokojne, jeśli te warunki będą zachowane. Gdyby je pominięto, stanie się

gwałt jego sumieniu i krzywda prawdziwa.

Przecież to rzecz jasna: Jeśli z narzeczonych jedno ma koniecznie gwałt cierpieć na sumieniu: katolik lub innowierca, to obowiązkiem Kościoła jest się starać, aby nie cierpiał katolik.

»Po co podpisy, cyrografy?« Po co? A po to, żeby mieć jakąś rękojmię, że obietnice będą dochowane. —

Ileż to razy, mimo świadków, słowo honoru, przysięgę, cyrografy, zaraz po ślubie całkowicie się o nich zapomina! Cóżby było, gdyby Kościół i tego nie wymagał?

* * *

Mówcie, co chcecie, ale w pewnych wypadkach przymus moralny jest. Warunki stawiane przez Kościół, gwałt zadany miłości chrześcijańskiej — to szkoda, wyrządzona religiom innowierczym, bo przecież i one mają prawo do bytu. — Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło!«

»Przymus jest«... A zresztą choćby w danym wypadku i był? Czyż przez to samo jest gwałtem i niesprawiedliwością? Czyż przymus moralny nie jest niekiedy całkiem sprawiedliwym i uzasadnionym?

Weźmy rodziców, którzy pod grozą kary zmuszają swe dzieci do posłuszeństwa? weźmy każdą władzę prawowitą, która ostatecznie na sankcyi, czyli na moralnym przymusie się opiera.

»Przymus tam jest«, — ale, że ten przymus pochodzi od władzy prawowitej, więc jest słuszny, uzasadniony i sprawiedliwy.

Tego samego rodzaju jest przymus, który Kościół katolicki wywiera przy małżeństwach mieszanych. Widziałeś, że ma do tego prawo...

A więc dajmy pokój pięknym frazesom o gwałcie, niesprawiedliwości itd. Dziwić się tylko można, że niektórzy katolicy uzasadniają ten zarzut »szkodą« (?) wyrządzaną wyznaniom niekatolickim«.

Jakim? Czy może protestantom? a przecież 1) jest faktem, jak to w swem dziele konstatuje statystyk niemiecki Klose, że w przeciągu XIX. wieku w Niemczech na korzyść protestantyzmu utracił Kościół katolicki przez małżeństwa mieszane co najmniej milion dusz; przyczem wychodził z zasady, że połowa dzieci w nich się rodzących, należeć powinna do Kościoła, a druga do innowierców, — 2) jest faktem, że obecnie na 321,275 małżeństw mieszanych w Prusach — 56,5 % dzieci wychowuje się po protestancku: więc nadwyżka 13 % — 3) jest faktem, że w samym Berlinie traci w ten sposób Kościół 6000 dzieci rocznie, więc więcej niż w tymże czasie w całych Prusach zyskuje na protestantyźmie.

I tu mówić o szkodzie innowierczych wyznań! Doprawdy przypomina się bajka o wilku, któremu owca zamąca wodę.

»Innowiercy mają prawo do bytu?« Że mają prawo żyć i do wiary prawdziwej nikomu

nawracać ich nie wolno przemocą, — tego zawsze Kościół katolicki nauczał.

Ale żeby wszelki fałsz, kłamstwo, na którem każda sekta, każda herezya, mniej lub więcej się opiera, miała prawo do bytu — to nie; bo wtedy i każda zaraza, choroba, — wszelkie zło, miało by prawo do bytu? Można je, dla uniknięcia zła większego tolerować, — można, gdy chodzi o zło moralne, w występku uszanować wolną wolę człowieka, ale jak to czyni Pan Bóg, który do niego dopuszcza i pozwala na nadużycie tej woli, — ale nie można nigdy powiedzieć, że zło i występek mają d o b y t u p r a w o. —

Inaczej byłby niesprawiedliwym ten, ktoby środkami godziwymi zło zwalczał i je ograniczał. A przecież nie co innego czyni Kościół, kiedy stara się ograniczyć skutki złych małżeństw mieszanych. Skoro nie może ze świata herezyi i błędu usunąć, więc się stara przynajmniej wpływ ich na ludzi, o ile możności, ograniczyć. Czyniąc to, jest w swem prawie, owszem, spełnia swój obowiązek.

* * *

»Czemuż przynajmniej nie wolno, aby synowie szli za ojcem, a córki za matką.«

»Czemu nie wolno? Bo to jest zbrodnią. Religia w ostatecznej swej analizie — to kwestya prawdy i dobra z jednej, a fałszu i zła z drugiej strony. Religia prawdziwa a prawda, cnota, dobro i szczęście — to jedno; religia fałszywa

a kłamstwo, zło i nieszczęście — to znowu jedno. Życie w religii prawdziwej doprowadza człowieka do wiecznego szczęścia, a wyznawanie wiary błędnej kończy się wykolejeniem wiecznem.

Katolik wierzący wie o tem doskonale, że posiada prawdę całkowitą, bez żadnej przymieszki fałszu: więc wie, co mu trzymać wypada o innowiercach, więc nad nimi się lituje, ubolewa, a, dlatego z miłości ku nim, uważa za ich największe nieszczęście, że nie należą do prawdziwego czyli katolickiego Kościoła.

A że przytem wstępując w związek małżeński, powinien on wiedzieć, jak ciężkie obowiązki bierze na siebie względem potomstwa, którem go Pan Bóg obdarzy: stąd, jeżeli nie jest potworem, troskę o szczęście dziecka będzie uważać za jeden z najświętszych swych obowiązków. Pod tym względem różnicy płci niema. Dusza syna i córki wobec Pana Boga tyle samo warta, do tegoż samego szczęścia przeznaczona.

Otóż, zgadzając się na wychowanie synów lub córek w wyznaniu sobie obcem, staje on w sprzeczności ze sobą samym, zadaje gwałt swemu sumieniu, a, narażając dzieci na największe nieszczęście, popełnia zbrodnię.

Narażać bowiem dzieci świadomie i dobrowolnie na śmierć wieczną, na nieszczęście wieczne, to zbrodnia równa, owszem daleko większa od tej, jakąby popełnił, dobrowolnie je narażając na śmierć doczesną. A w danym wypadku rodzice katoliccy to właśnie czynią.

Za to rodzice protestanccy są w położeniu o wiele wygodniejszem. — Protestant sobie konsekwentny, dochodzi dziś do konkluzyi, że i katolik może się zbawić, choć nie tak wygodnie, jak on.

Stąd podpisując warunki, które stawia Kościół katolicki, nie naraża zbawienia swych dzieci na szwank, a więc nie popełnia wobec sumienia tej zbrodni, jaką popełnia katolik.

I to ma być niesprawiedliwością?

* * *

»W tem wszystkiem jest trochę prawdy, ale i dużo przesady, bo ostatecznie, kiedy chodzi o niebezpieczeństwo utraty wiary lub zobojętnienie ku niej to w równem położeniu znajdują się obaj małżonkowie: katolik i innowierca.«

Nie przeczę, że tu i ówdzie i dziś jeszcze małżeństwo mieszane stać się może punktem wyjścia nawrócenia niejednego innowiercy i polem prawdziwej, apostolskiej działalności dla tego lub owego męża lub żony. Ale wypadki to rzadkie. Najczęściej wpływ strony innowierczej w krótkim czasie okazuje swe zgubne skutki na przekonaniach, zapatrywaniach i przyzwyczajeniach katolickiego małżonka. — Często kończy się na apostazyi formalnej, a jeżeli tak daleko nie zajdzie, to przynajmniej dochodzi się do indyferentyzmu i obojętności, wobec której wszelkie życie religijne redukuje się do kilku praktyk zewnętrznych, a nieraz do samego tylko imienia.

A zresztą, gdyby nawet tak było, — gdyby niebezpieczeństwo dla obu stron było jednakie, to już sam fakt istnienia tego niebezpieczeństwa dostatecznie uzasadnia obawy Kościoła, jego zastrzeżenia, wymaganie gwarancyi, odradzanie małżeństw mieszanych.

W rzeczywistości jednak rzeczy się mają całkiem inaczej. Kiedy, w ogóle biorąc, niebezpieczeństwo, grożące stronie innowierczej jest tak dobrze jak żadne, dla katolika jest ono wielkiem, ustawicznem, wymagającem zazwyczaj rzadkiej energii, hartu duszy, gorliwości religijnej i pomocy, aby nie stało się groźnem.

* * *

Wystarczy zaglądnąć do Starego i Nowego Testamentu i poradzić doświadczenia codziennego, aby się przekonać, że nie są to obawy urojone, ani przesada, ale smutna rzeczywistość.

Widzimy bowiem, że z bardzo nielicznymi wyjątkami małżeństwa mieszane ani Panu Bogu chwały, ani Kościołowi pomnożenia, ani samym rodzicom katolickim wielkiej nie przynosiły pociechy.

I tak czytamy w księdze Rodzaju, że kiedy ród ludzki rozpadł się na dwa odłamy, potomkowie bratobójcy Kaina byli, jak ich protoplasta, ludźmi złymi i zepsutymi i zwano ich s y n a m i l u d z k i m i; a drudzy potomkowie cnotliwego Seta, byli pobożnymi i cnotliwymi; to też Pismo św. nazywa ich s y n a m i B o ż y m i.

Trwało to tak długo, jak długo pomiędzy jednymi i drugimi nie przyszło do małżeństw mieszanych. »Widząc synowie boży córki ludzkie, iż były piękne, wzięli sobie za żony«. (Gen. VI, 2.)

Na pozór zdawały się szanse równe, że synowie Boży tj. cnotliwi, będą mieć przewagę nad swemi żonami i, wpływ dodatni na nie wywierając, do cnoty, pobożności — jednem słowem do Pana Boga je nakłonią. Stało się jednak inaczej. Potomstwo tych właśnie małżeństw wydało ludzi najbezbożniejszych i najbardziej zepsutych, tak, że »wszelkie ciało zepsowało drogę swą na ziemi« i »żal było P. Bogu, że uczynił człowieka«. Doszło wreszcie do tego, że jeden już tylko pozostał na świecie mąż bogobojny i sprawiedliwy, a nim był Noe i trzej jego synowie.

I cóż dziwnego, że P. Bóg zakazał Żydom zawierania małżeństw z mieszkańcami krainy, do której miał ich wprowadzić tj. z poganami. »Ani się małżeństwy z nimi złączać będziesz. (Ex. XXXIV, 16). Córki twej nie dasz synowi jego, ani córki jego weźmiesz synowi twemu, bo zwiedzie syna twego, że nie pójdzie za mną, ale raczej, aby służył cudzym bogom.« (Deut. VII. 2, 3, 4). I co się stało? Oto:

Ile razy nie pomni na zakaz Boski, próbowali oni zawierać małżeństwa mieszane z córkami sąsiednich narodów, tyle razy sami popadali w bałwochwalstwo.

Najwybitniejszym, a zarazem najsmutniejszym tego przykładem był najmędrszy z ich królów, Salomon, o którym Pismo św. mówi: »I rozmiłował się Salomon niewiast cudzego rodu, z narodów, o których rzekł Pan: »Nie wnijdziecie do nich, ani z nich nie wnijdą do waszych, bo pewnie odwrócą serca wasze, że pójdziecie za ich bogami«. I odwróciły niewiasty serce jego, a gdy już był stary, skażone jest serce jego przez niewiasty, że się puścił za bogi cudzemi. (III Reg. XI.)

Jeżeli mieszane małżeństwa wywierały wpływ tak zgubny na naród wybrany w Zakonie Starym, to i w Nowym nie stały się mniej szkodliwemi. Stąd św. Paweł gorąco upomina wiernych, aby związków nie zawierali z niewiernymi, »albowiem co za uczestnictwo wiernemu z niewiernym?«

* * *

Przyczyna tego tkwi w naturze rzeczy, mianowicie w tem, że wyuzdanie obyczajów, przesądy, rozpusta i okrucieństwo narodów pogańskich, w sercach Żydów, — że herezya, dzisiaj w sercu katolika lub katoliczki mają sprzymierzeńca wiernego, stałego i gwałtownego w grzechu pierworodnym, którego skutki: namiętność, przyćmienie umysłu, osłabienie woli i rozumu ciągną go do tego, co jest złączone z fałszem, kłamstwem, buntem względem P. Boga.

To też aby zrozumieć niebezpieczeństwo, w jakiem wiara strony katolickiej się znajduje,

pamiętaj, że 1) natura ludzka przez grzech pierworodny skażona, chętniej lgnie do złego, niż do dobrego, — że więc jest łatwiej dobrego człowieka zepsuć, niż złego poprawić;

2) że jedynie religia katolicka nakłada wędzidło na wszystkie bez wyjątku złe skłonności i żądze; że ona jedyna z nieubłaganą logiką, w najdrobniejszych szczegółach, potępia to wszystko, czego czart, świat i ciało wbrew przykazaniom Boskim doradzają pragnąć, kochać i cenić;

3) że jedynie religia katolicka wymaga od człowieka walki wewnętrznej ze sobą samym — ofiary z tego, co zmysłom, pysze, próżności i miłości własnej pochlebia: tak że żyjący wedle przepisów swojej religii katolik musi sobie odmówić nieraz tego, czego chce, do czego zepsuta natura go ciągnie — a czynić to, przed czem ona się wzdryga, np. przebaczyć nieprzyjaciołom, wyrzec się zmysłowej rozkoszy itd.

Stądto, kto chce na katolika wywrzeć wpływ ujemny, w nim samym znajdzie potężnego i skutecznego sprzymierzeńca!

Jakże inaczej n. p. u protestantów, którzy odrzucają potrzebę zasługi własnej, — potrzebę dobrych uczynków, postów, umartwień, spowiedzi itp.! Cóż tedy dziwnego, że życie ich wygląda wygodnie, ponętnie, ale do rozpasania moralnego, a przez to do piekła im otwiera bramę na oścież.

Wobec tego wszystkiego zrozumieć łatwo, jak wielką pokusą stać się może dla katolika,

który w religii jest mało ugruntowany, a na sumieniu ma grzechy ciężkie i z nich się spowiadać wstydzi albo nie chce poprawić — żeby tak wygodną religię uznać za dobrą dla siebie. Z tego widzisz w jak odmiennych i wcale nierównych warunkach zostaje pod tym względem w małżeństwach mieszanych strona katolicka od innowierczej.

Nie, niebezpieczeństwo nie jest dla obu stron równe.

* * *

»Ale je łatwo ominąć można, powie niejedna. Przecież on mnie tak kocha... On taki dobry... On się łatwo nawróci«...

Czy tak? Przypuśćmy, że panią kocha tak, jak się wydaje, — że pani się nie myli, że on pani nie oszukuje. Kto pani może zaręczyć, że długo tak będzie i po miesiącach miodowych? Wiadomo jak wiele warte zazwyczaj oświadczyny i zaręczenia... przed ślubem.

Rzeczywistość uczy czego innego, szczególnie wtedy, kiedy miłość jest oparta wyłącznie na ciele i krwi, a nie na poczuciu obowiązku i harmonii ducha, jaką dać może wiara żywa, wyznawana i praktykowana zarówno przez męża jak i przez żonę...

Gdzie ta harmonia jest, tam rozczarowania obawiać się nie trzeba... Ale u was jej nie niema i być nie może, bo o P. Bogu, o Niebie, o drodze do niego inaczej myśli pani, a inaczej narzeczony.

»On taki dobry«... Ale na jak długo? Dziś może pazury swe ukrywa jak kot, który się przyczaja. Poczekaj pani, niech poczuje panią w swem ręku, a pokaże się, kto z dwojga silniejszy.

»Pani go nawróci?« Ale czy pani wie, że nawrócenie to dzieło wszechmocy Bożej! Pan Bóg może do tego użyć człowieka, nawet panią. Czy jednak użyje, skoro pani lekkomyślnie naraża swą duszę i przyszłość swych dzieci na straszne niebezpieczeństwo i kusi Go, wymagając, aby użył właśnie panią do oświecenia małżonka, wtedy gdy pani sama jest może mało w rzeczach wiary oświecona i ugruntowana — wymagając, aby panią wziął w swoją obronę, kiedy otoczenie pani usadzi się na to, aby wiarę w jej sercu osłabić, zachwiać, podkopać, — kiedy miotać będzie na nią szyderstwa i obelgi, albo co gorsza, podsuwać wątpliwości, którym pani sama rady dać nie potrafi?

A kto P. Boga świadomie kusi, ten grzeszy ciężko.

* * *

Żeby u innowiercy zwyciężyć uprzedzenia i nienawiść do katolicyzmu wpojoną od dziecka, — żeby go nauczyć czcić, szanować i kochać to, co dotąd bluźnił i czego nienawidził, trzeba przed nim rozwinąć i okazać w całym blasku piękność, szczytność i świętość naszej świętej wiary. Tego zaś nie dokona się słowami, ani

dysputą, ale przykładem życia — życia wykwitającego z wiary, bo s p r a w i e d l i w y z w i a r y żyje. (Rom. I, 17.)

Jakże wielkiej, jak wytrwałej potrzeba cnoty, zaparcia się, poświęcenia, łagodności i cierpliwości, żeby w końcu zwyciężyć, przełamać wszystkie przeszkody, które w umyśle i sercu innowiercy nagromadziły błędne wychowanie, szatan, a najbardziej własne nałogi i skłonności! Dlatego to mąż pani, aby panią pociągnąć za sobą, nie natrafi ani na setną część trudności, — nie będzie potrzebował ponosić tych ofiar, co pani, jeśli będzie się starała pociągnąć go za sobą!

* * *

Z tego wszystkiego, co Ci powiedziałem wynika, że małżeństwa mieszanego trzeba unikać jak ognia. To ostateczność.

A kiedy inaczej być nie może i może się zdarzyć, że prawosławny lub protestant daje wszelkie rękojmie, jakich wymaga Kościół, to państwo młodzi, a najbardziej ich rodzice, zanim powezmą ostateczne postanowienie, pamiętać powinni, że na ogół biorąc a) dziś w Rosyi po ukazie tolerancyjnym, łatwiej można zezwolić na małżeństwo z prawosławnym niż z protestantem, b) łatwiej na małżeństwo z lutrem niż z kalwinem, bo doświadczenie uczy, że ci ostatni bywają zawziętsi, fanatyczniejsi i niebezpieczniejsi niż tamci; c) łatwiej, kiedy innowierca łączy się z katoliczką, niż przeciwnie, gdy

katolik żeni się z niekatoliczką; d) potem łatwiej można pozwolić na ślub, gdy protestant mieszka daleko od swoich albo, gdy jest przynajmniej nadzieja, że w okolicy katolickiej będzie stale mieszkał, bo mu tam łatwiej i samemu się nawrócić i dzieci po katolicku wychowywać; a przeciwnie, z największą trudnością, albo wcale nie należy pozwalać na małżeństwo mieszane, kiedy małżonkowie mieszkać mają wśród innowierców.

Wogóle, im liczniej gdzieś zamieszkują innowiercy, im bliżej jest kircha i pastor, im dalej kościół i proboszcz — tem niebezpieczniejsze jest dla katolika małżeństwo mieszane.

* * *

P. S. Na zakończenie pozwól mi, że Ci podam krótko zebrane środki, przez które tę wielką ranę polskiego narodu można zmniejszyć a w części nawet uleczyć. Najpierw tedy:

Jeżeli musisz z innowiercami obcować i chcesz się ustrzedz niebezpieczeństwa, którem Ci grozi mieszane małżeństwo:

Pamiętaj, abyś nadewszystko kochał i cenił swą świętą wiarę, bo bez tej wiary Ty, jako katolik, zbawić się nie możesz: A kto nie wierzy, będzie potępion (Mar. 16, 16).

Módl się często o łaskę wytrwania w Kościele św.

Szanuj i kochaj Kościół św. i chowaj jego przykazania. (Święcenie Niedzieli — Posty.)

Pamiętaj, że Pan Bóg daje rodzicom dzieci, aby je wychowywali dla Nieba, — że drogą, po której zajść do niego można, jest jedynie Kościół katolicki, i — że kto poza Kościołem swe dzieci wychowuje, ten im drogę do Nieba zagradza. Dzieciom swym nie odbieraj na ziemi — Matki; a na Niebie — Ojca. — »Kto niema Kościoła za Matkę, ten Boga niema za Ojca.« (Św. Aug.)

Pod żadnym warunkiem się nie zgadzaj, aby Twe dzieci lekkomyślnie zawierały małżeństwo mieszane.

Szanuj Sakrament małżeństwa i strzeż czystości serca.

Nie łudź się, mówiąc: »Mieszane małżeństwo — to nie grzech« albo »My wszyscy wierzymy w tego samego Boga«.

Strzeż swego serca i patrz pilnie, jakie uczucia do niego się dostają.

Nie patrz na to, czego ludzie chcą, ale czego Pan Bóg od Ciebie żąda.

Nie szukaj ziemskiego dobra i ziemskiego blasku, ale szukaj dobra wiecznego i wiecznej chwały.

* * *

Potem, jeśli chcesz się żenić:

Żyj pobożnie, jak na katolika przystoi.

Proś Pana Boga, aby Ci wskazał, kogo przeznacza tobie na dożywotnego towarzysza

lub towarzyszkę. »Śmierć i żona od Boga przeznaczona.«

Dopóki nie możesz się jeszcze żenić, z nikim poufale się nie wdawaj.

Zanim się z kim w bliższą wdasz znajomość, wypytaj poprzednio co on lub co ona za jedna? Jakie było jego zachowanie? wychowanie i t. d.

Z rozwiedzionym lub z rozwódką nigdy bliżej się nie wdawaj.

Kiedy myślisz się żenić, albo wyjść za mąż, unikaj zbliżenia do osoby innej wiary, albo takiej, która z imienia tylko należy do Kościoła katolickiego. — Mężczyzna bezbożny, rozpustny, — pijak nałogowy nie nadaje się na męża; tak jak kobieta wolno-myślna, lekka lub wyuzdana nie nadaje się na żonę.

Strzeż się pochlebców, którzy wszystko gotowi w Tobie podziwiać.

Daj rękę tylko takiemu, o którym wiesz, że jest dobrym katolikiem; podobnież szukaj żony takiej, która jest niewiastą pobożną, sumienną i pracowitą.

Dobierz sobie osobę, należącą do tego samego stanu, co Ty.

Zanim do kroków stanowczych się zabierzesz, poradź się rodziców i spowiednika.

Bez namysłu i dłuższego zastanowienia ich nie rozpoczynaj.

Jeśli się raz zdecydowałeś, staraj się o żonę otwarcie, bez niepotrzebnych tajemnic.

Będąc narzeczonym lub narzeczoną, strzeż się wszelkiego grzechu, grzechy bowiem przed-

ślubne oddalają błogosławieństwo Boże od przyszłego małżeństwa.

Wobec swej przyszłej lub przyszłego bądź szczery.

Uważaj, czy druga strona nie szuka więcej Twych pieniędzy, niż Ciebie.

Jeśli przewidujesz, że wasze pożycie będzie nieszczęśliwe, dopóki czas, odstąp od małżeństwa.

Za męża wybierz sobie raczej człowieka ubogiego, lecz pracowitego, — niż bogatego próżniaka; prostaczka ale dobrych obyczajów — niż wykształconego rozpustnika; raczej uczciwego mężczyznę — niż eleganckiego goga; oszczędnego — niż rozrzutnego; skromnego a pracowitego urzędnika — niż bezbożnego pana; raczej człowieka spokojnego, który mało mówi, a wiele robi — niż blagiera i fanfarona; znajomego ziomka — niż nieznajomego cudzoziemca.

»Posłuchaj mię, synu — rzekł Archanioł Gabryel do Tobiasza — pokażę ci, którzy są, nad którymi czart przemóc może. Ci bowiem, którzy w małżeństwo tak wstępują, że Boga od siebie i od serca swego wyrzucają, a swej lubości tak dosyć czynią, jako koń i muł, którzy rozumu nie mają: nad tymi czart ma moc.« (Tob. 6, 16, 17.)

List VIII.

Oświata w wiekach średnich.

Co to jest obskurantyzm? — Papieże i oświata. — Szkolnictwo kościelne w pierwszych trzech wiekach. — Julian Apostata. — Dobytek duchowy starożytności i Kościół. — Podział szkół w wiekach średnich. — Oświata ludowa w pierwszej ich połowie, — w drugiej. — Misye katolickie. — Kościół i uniwersytety. — O potędze inteligencyi średnich wieków jakościowej i ilościowej. — Ogólna charakterystyka wieków średnich. — Kościół i oświata.

Z tego, co Ci powiedziałem w jednym z poprzedzających listów[1]) mogłeś, przypuszczam, utwierdzić się w przekonaniu, że pomiędzy wiarą a rozumem żadnej sprzeczności niema..., owszem przeciwnie, że rozum, opierając się na wierze, nabiera siły, życia, energii, którejby nie posiadał bez niej. Dowodem tego jest fakt, że społeczeństwo katolickie, wiarą przesiąkłe, wydało bez żadnego porównania więcej wielkich wynalazców i więcej koryfeuszów wiedzy, niż jakiekolwiek inne społeczeństwo niekatolickie.

---

1) Serya 2-ga, list XII.

ślubne oddalają błogosławieństwo Boże od przyszłego małżeństwa.

Wobec swej przyszłej lub przyszłego bądź szczery.

Uważaj, czy druga strona nie szuka więcej Twych pieniędzy, niż Ciebie.

Jeśli przewidujesz, że wasze pożycie będzie nieszczęśliwe, dopóki czas, odstąp od małżeństwa.

Za męża wybierz sobie raczej człowieka ubogiego, lecz pracowitego, — niż bogatego próżniaka; prostaczka ale dobrych obyczajów — niż wykształconego rozpustnika; raczej uczciwego mężczyznę — niż eleganckiego goga; oszczędnego — niż rozrzutnego; skromnego a pracowitego urzędnika — niż bezbożnego pana; raczej człowieka spokojnego, który mało mówi, a wiele robi — niż blagiera i fanfarona; znajomego ziomka — niż nieznajomego cudzoziemca.

»Posłuchaj mię, synu — rzekł Archanioł Gabryel do Tobiasza — pokażę ci, którzy są, nad którymi czart przemóc może. Ci bowiem, którzy w małżeństwo tak wstępują, że Boga od siebie i od serca swego wyrzucają, a swej lubości tak dosyć czynią, jako koń i muł, którzy rozumu nie mają: nad tymi czart ma moc.« (Tob. 6, 16, 17.)

drugą połowę aż do wieku XV, czyli epoki »Odrodzenia«, 4) epokę »Odrodzenia« i 5) wreszcie czasy po niej najnowsze aż do wieku XIX.

I co widzimy?

* * *

Otóż najpierw we wszystkich tych pięciu epokach Kościół nasz święty, katolicki, cenił sobie wysoko wiedzę, naukę, wykształcenie, bo je cenili urzędowi jego przedstawiciele: Papieże, którzy przy każdej danej sposobności to światu całemu ogłaszali.

Weźmy kilku na chybił trafił:

Oto n. p. Eugeniusz II w r. 817 pisze do biskupów:

»Dowiadujemy się, że w wielu miejscach brak nauczycieli, wskutek czego zaniedbuje się nauczanie. Żeby temu zapobiedz, rozkazujemy wszystkim biskupom i zależnym od nich proboszczom, aby się wszędzie mieć starali nauczycieli, którzyby dzieci pilnie uczyli czytania nauk wyzwolonych i prawd wiary św.«

W XV w. Pius II, Eneasz Silwiusz Piccolomini, znany humanista, jeden z najbardziej oświeconych umysłów swojego czasu, będąc już Papieżem, w buli erekcyjnej uniwersytetu bazylejskiego nazywa wiedzę »perłą — szczęściem, jakie człowiek śmiertelny za łaską Bożą znaleźć może jeszcze na ziemi..., które go robi podobnym do P. Boga i ułatwia poznanie tajemnic świata, — które urodzonych nizko podnosi do rzędu najwyższych«; stąd niczego tak gorąco

nie pragnie, »jak żeby w Bazylei otwartem zostało źródło wiedzy, z któregoby każdy mógł korzystać, co pragnie być wtajemniczony w prawdy zawarte w uczonych księgach«.

A wreszcie współczesny nam Leon XIII. w r. 1897, z powodu uroczystości kanizyańskich, pisząc do duchowieństwa całego świata, powiada między innymi: »Uważam za rzecz pierwszorzędnej doniosłości, aby ci z pomiędzy was (biskupów, kapłanów), których na to stać.... z całym zapałem oddawali się nauce, przyswajając sobie wszystko, co z dniem każdym przynosi postęp zarówno na polu wiedzy jak i sztuki«.

Papieże nie lekceważyli sobie ani wiedzy ani nauki — to fakt, a jeżeli oni nie lekceważyli, to nie lekceważył ich Kościół.

* * *

Przytem i Papieżom i Kościołowi chodziło o to, aby szczególnie w hierarchii kościelnej było jak najwięcej ludzi wykształconych i światłych.

Protestant Hurter powiada, że »przyczyną, dla której Papieżom w wiekach średnich zarzuca się wrogie usposobienie względem oświaty i popieranie obskurantyzmu, jest albo powierzchowność, lekceważąca sobie materyałem historycznym, zawartym w kronikach i dokumentach, — albo zaślepienie, pochodzące z przesądu o rzekomej wyższości kulturalnej naszych czasów, — albo wreszcie niena-

wiść, przyjmująca świadectwa a bez podstawy odrzucająca ich treść[1]).

Wiedza ludzka w wiekach średnich wyglądała wprawdzie inaczej niż dzisiejsza i inne miała zastosowanie, wskutek czego nie mogła się stać własnością szerokich warstw, jak wiedza naszych czasów... Ale czyż życie umysłowe miałoby wtedy dlatego nie istnieć, że rozwój jego szedł innemi niż dzisiaj drogami?

»Kto Kościołowi katolickiemu zarzuca obskurantyzm, ten zapoznaje jego istotę. Kościół katolicki z całym swym ustrojem, hierarchią, zwyczajami, wewnętrznem życiem opiera się na słowach Chrystusa, wysyłającego Apostołów w świat: »Idźcie i nauczajcie wszystkie narody.... i chrzcijcie«. Te słowa wyjaśniają wszystko, co Kościół robił, robi i robić będzie do końca świata, — to wielki kodeks dyplomatyczny Kościoła katolickiego — to alfa i omega jego polityki.

»Nauczanie i uświęcanie.« — Nauczanie na pierwszem miejscu oczywiście prawd wiary świętej, t. j. »tego co On rozkazał«; — ale przytem nauczanie także wszystkiego, czego człowiek uczyć się może i co mu jest potrzebne. Stąd słusznie powiedział pewien uczony historyk: »Nauczanie młodzieży i jej kształcenie jest uzupełnieniem koniecznem misyi kaznodziejskiej Kościoła. Jak kaznodziejstwo jest głównym środkiem rozszerzenia i zachowania

[1]) Dzieje Innocentego III. II. 674.

wiary chrześcijańskiej i wprowadzania jej zasad w zwyczaje i życie ludów — tak posłannictwem Kościoła pozostanie zawsze nauczanie t. j. oświecanie«[1]).

No, Kościół o wiedzę dbał. Ale szkoły czy zakładał?

* * *

Kiedy św. Paweł w oświeconej Grecyi, a św. Piotr w światowładnym Rzymie zatknęli zwycięski sztandar krzyża, mieli do czynienia nie tylko z niewolnikami, ale i z klasą wykształconą, do której należeli ludzie o umyśle wyrobionym, smaku wytrawnym, daleko posuniętym sądzie krytycznym, — krótko mówiąc ludzie prawdziwie i wysoce inteligentni.

Otóż wtedy, tak samo jak i dzisiaj, inteligencya w obyczajach swoich zepsuta a w zarozumiałości swej nadęta, dla nowej nauki nie łatwo była przystępna. Ale mimo to, jak świadczą dzieje pierwszych czasów chrześcijaństwa, między nawróconymi znajdowali się także przedstawiciele ówczesnej inteligencyi, i to stosunkowe dość liczni. Zaraz w swem zaraniu posiadał Kościół św. Łukasza, światłego i wykształconego lekarza, patrycyusza rzymskiego Clemensa, senatora Pudensa, Dyonizego Areopagitę, Justyna filozofa i innych.

---

[1]) Ber. Kaiser, protestant. Geschichte des Volksschulwesen in Würtemberg, 36.

Co się zaś tyczy szkół własnych, to na razie wskutek strasznego prześladowania Kościół zdobyć się nie mógł.

Dowodem jednak, jak dalece dbał już wtedy o oświatę, jest znany fakt, że gdzie tylko prześladowanie poczęło trochę słabnąć, tam zaraz zakładał Kościół szkoły osobne dla chrześcijan. I tak już w II-gim wieku mamy szkoły katechetyczne w Aleksandryi, Antyochii, Edesie, nawet Rzymie i Medyolanie.

Oczywiście, gdy po trzech wiekach prześladowanie ustało i Kościół z katakumb wyszedł na światło dzienne, takie szkoły rozmnożyły się wszędzie, tembardziej, że niebawem wiele szkół publicznych, dotychczas pogańskich, poczęło powoli duchem chrześcijańskim się przejmować i przechodzić pod kierownictwo Kościoła.

Więc w IV. wieku szkół w Kościele było dosyć, dosyć i inteligencyi.

* * *

Faktem jest, że kiedy Julian Apostata pochwycił w ręce ster rządów ogromnego państwa rzymskiego i chciał Kościół zniszczyć, zaczął od tego, że ze szkół publicznych powydalał profesorów chrześcijańskich, zastępując ich pogańskimi (jota w jotę jak dzisiejsi kulturtregerzy w walce z Kościołem) [1]), a potem zakazał

[1]) Ofiarą tego tyrańskiego dekretu padł pomiędzy innymi sławny retor rzymski Victorinus i ateński Prohaeresius, zwany królem »krasomówstwa«.

młodzieży chrześcijańskiej uczęszczania do szkół, gdzie wykładano klasyków greckich, bez których znajomości w ówczesnych pojęciach nie można było należeć do inteligencyi.

Gdyby Kościół o oświatę nie dbał, byłby te rozporządzenia przyjął obojętnie, tymczasem on je uważał za wyrządzoną sobie zniewagę i wielką szkodę, której starał się zapobiedz przez zakładanie szkół własnych z podręcznikami, ułożonymi na podstawie Pisma św.[1]).

Jeśliby pomiędzy wiedzą i wiarą istniała sprzeczność, mój drogi, jak chcą nasi wrogowie, to Julian Apostata powinienby był przeciwnie uczęszczanie do szkół uczynić dla chrześcijan obowiązkowem. Ale on czuł dobrze, że prawdziwa nauka zamiast od wiary oddalać, jest środkiem najlepszym, aby w niej ludzi umacniać.

Nic tedy dziwnego, że już podówczas na czele Kościoła stał szereg ludzi nie tylko inteligentnych, ale nawet wielkich uczonych, prawdziwych potentatów myśli. — Dość przytoczyć Klemensa, założyciela wspomnianej wyżej szkoły Aleksandryjskiej, Cypryana, Orygenesa, Miltiadesa, Minucyusza, Feliksa, Laktancyusza, Augustyna, Ambrożego, Hieronima: byli to

---

[1]) Te podręcznikl ułożył Apolinary młodszy, arcybiskup Laodycejski. Nie nadawały się one do wyrabiania literackiego smaku, to też zaraz po śmierci Juliana zostały zarzucone. Wrócono do klasyków pogańskich.

wszystko ludzie światli, wykształceni, a w dodatku prawdziwe olbrzymy myśli ludzkiej, nieraz nawet ludzie genialni, o których poziomie umysłowym przekonać się może każdy, kto dzieła ich weźmie do ręki.

»Przedstawiciele wiary św., czyli kapłani, w pierwszych wiekach chrześcijaństwa byli prawdziwą tych czasów encyklopedyą« — mawiał La Forine.

* * *

A teraz te okrzyczane, zacofane, ciemne wieki średnie.

Na myśl samą o tych czasach obskurantyzmu i zacofania przechodzi mrowie po skórze ślepych wielbicieli dzisiejszej światłości, wiedzy, nauki... postępu....

Wtedy, mówią, to była dzicz!...

No! W pierwszej połowie wieków średnich było wiele stron ciemnych, wiele, bo był to czas fermentu, w którym barbarzyńskie, ale świeże, pełne życia ludy germańsko-słowiańskie, zalawszy ówczesną cywilizowaną Europę, niszczyły pogańską kulturę, przeżytą już i strupieszałą — i niwelowały grunt pod budowę nowej, chrześcijańskiej.

W tych czasach było nieraz bardzo ciemno, ale żeby już w nich żadnej wiedzy nie było, żadnej inteligencyi, to znowu nie. Nie było jej poza Kościołem — to tak. Ale w Kościele była i przed wiekiem X. i właśnie w Kościele, nie gdzieindziej, się przechowała.

W czasie wędrówki narodów przez następujące po sobie najazdy Hunów, Gotów, Wandalów, a wreszcie Turków, wszystko co przypominało dawną kulturę grecko-łacińską, zniszczonem zostało do szczętu.

Kto zna stosunki w Rumunii i wie jak tam nic nie pozostało z kultury rzymskiej, ten przyzna łatwo, że niczegobyśmy po niej nie byli odziedziczyli i na zachodzie Europy, gdyby nie Kościół. Tu zasługi jego wobec ludzkości są ogromne.

Bo doprawdy, cobyśmy to też wiedzieli o zdobyczach rozumu ludzkiego w starożytności, literaturze klasycznej, na której wszystkie europejskie języki się wykształciły, na których wszyscy dziś pośrednio lub bezpośrednio się kształcą? — cobyśmy wiedzieli o odkryciach w naukach ścisłych i przyrodniczych, dokonanych przez Pytagorasa, Archimedesa, Euklidesa, Aristotelesa, Hipokratesa i tylu innych? — cobyśmy wiedzieli o dziejach greckich i rzymskich, gdyby nie duchowieństwo katolickie, nie Biskupi, Papieże, a przedewszystkiem klasztory?

O tych pokoleniach księży i zakonników, którzy w przerwach pomiędzy modlitwą, z religijną sumiennością przepisywali zabytki literatury greckiej i rzymskiej, dawno zapomniano; a jednak, gdyby nie oni, my w naszym XX. w. nie bylibyśmy tem, czem jesteśmy.

Gdyby nie oni, musielibyśmy gmach duchowego dorobku ludzkości zaczynać od funda-

mentów, a tymczasem, dzięki ich staraniom, zastaliśmy go na poziomie, do jakiej duch twórczy Greków i Rzymian go doprowadził, tak że można było budować dalej aż do wysokości na której dziś wiedza nasza się znajduje.

* * *

Niech tedy przyjdzie którykolwiek współczesny uczony: matematyk, astronom, fizyk, chemik lub przyrodnik i z ręką na sercu niech powie, czy temu, co zdobyła praca Greków i Rzymian w starożytności, nie zawdzięcza nic?...

Mimo wszystko wiedza nowoczesna myślicielom greckim i rzymskim zawdzięcza wiele. Kapitał jej byłby daleko szczuplejszy, gdyby pierwsze oszczędności, zebrane skrzętną ręką tych pracowników, dla pożytku przyszłych pokoleń nie zostały nam przekazane. Dlatego im się należy uznanie i wdzięczność.

A jeżeli tak jest, to dla tej samej przyczyny należy się wdzięczność także mnichom średniowiecznym, którzy tych oszczędności strzegli i znacznie je powiększyli. Taki tedy Darwin, Haeckel, Dubois-Reymond, Virchow, Wundt, Berthels, Huxley, Tyndall i inni im podobni nie byliby tem czem są, gdyby nie okrzyczani przez nich katoliccy mnisi, gdyby nie znienawidzony przez nich katolicki Kościół, gdyby nie ośmieszona przez nich katolicka wiara.

»N a u k a stała się (w tych czasach) c h r z e ś c i j a ń s k ą, — pisze wyżej przytoczony pro-

testant Hurter — to znaczy, 1) że na pierwszem miejscu zajmowała się tem, co w jakikolwiek sposób odnosiło się do wiary i z nią harmonizowało, 2) że ją pielęgnowano w zakładach, stworzonych i założonych przez Kościół, 3) że w niej odznaczali się przeważnie ci, co na czele tegoż Kościoła stali....

»Przedstawicielami nauki byli podówczas duchowni....

»W ten sposób na zachodzie, wiedza i wykształcenie wróciło tam, gdzie kiedyś znajdowało się na wschodzie, mianowicie do kapłanów, t. j. do tych, którzy się zajmowali nauką najwyższą (teologią)....

»Że przytem nauka świecka[1]) zaniedbaną

---

[1]) Podówczas znano dwa rodzaje szkół, mianowicie: szkoły niższe, w których uczono tylko czytania i katechizmu, i szkoły wyższe. W tych ostatnich były dwa stopnie: Pierwszy odpowiadał dzisiejszym szkołom średnim, a drugi szkołom wyższym i obejmował to, co stanowiło zasób ówczesnej wiedzy filozoficznej i teologii.

O tych szkołach wyższych (zewnętrznych) tak pisze wspomniany dopiero co Hurter: »Na pierwszem miejscu wykładano w nich Księgi święte... potem historyę powszechną i poetów łacińskich. Szkoły te były przystępne dla wszystkich a więc nie tylko dla kandydatów stanu duchownego, albo przyszłych zakonników. Stan duchowny obierali sobie tylko ci, którzy tego chcieli, odpowiednio do postępu w naukach, powołania i skłonności....

»Kurs cały dzielono na klasy zewnętrzne i wewnętrzne, niższe i wyższe, stosownie do wykładanych w nich przedmiotów. Po kolei szedł tedy najpierw oddział klas niższych: gramatyka, retoryka i dyalektyka, potem klas

nie była, to zawdzięczać trzeba staraniom tej społeczności, którą zowiemy Kościołem«[1]).

* * *

A o ś w i a t a l u d o w a w początkach średniowiecza, czy była zaniedbana?

Daleko od tego.

Na szóstym soborze powszechnym w Konstantynopolu w r. 680 postanowiono, aby »każdy kapłan, tam, gdzie wykonuje swe duszpasterstwo: w k a ż d e j w s i i o s a d z i e otwierał szkołę, dla nauczania dzieci mu powierzonych«.

W tej samej myśli Papież Eugeniusz II w r. 826 postanowił, że »przy każdej rezydencyi biskupiej powinna być szkoła (niższa i średnia)« — a biskup bazylijski Arbyton († 821) wydał do kleru rozporządzenie, w którem powiada: »W każdej wsi i osadzie mają kapłani utrzymywać szkoły; a jeżeliby kto z wiernych im powierzył swe dzieci dla nauki, m a j ą j e p r z y j m o w a ć z n a j w i ę k s z ą m i ł o ś c i ą, u c z y ć i n i c z a t o n i e b r a ć«.

Więc w tych ciemnych czasach były w wielu miejscach szkoły n o r m a l n e, jak do dziś dnia

---

w y ż s z y c h: arytmetyka, geometrya, muzyka i astronomia. Do oddziału wyższego przyjmowano wyłącznie uczniów, którzy z dobrym postępem ukończyli oddział niższy. — Poza tymi oddziałami, jako k u r s o s o b n y w e w n ę t r z n y, był kurs przeznaczony dla kandydatów do kapłaństwa lub stanu zakonnego: tam uczono teologii«.... (Innocenty III, 547.

[1]) Innocenty III, 541.

jeszcze się mówi: szkoły parafialne, przystępne dla wszystkich, wolne od opłaty; i to wszystko za wyłącznem staraniem przedstawicieli Kościoła katolickiego....

No wtedy, Kościół katolicki nie był wrogiem oświaty, ludowej.

Może stał się nim później?

* * *

1179 r. na synodzie prowincyonalnym rzymskim, za Papieża Aleksandra III, wydano między innemi edykt następujący, który się rozciągał oczywiście tylko na prowincyę kościelną rzymską.

»Ponieważ Kościół św., jak na dobrą matkę przystoi, troszczy się, nietylko o duchowe ale i doczesne potrzeby swych dzieci, dlatego przy każdej katedrze ma być ustanowiony nauczyciel, dla nauczania dzieci szczególnie rodziców ubogich, czyli nie mogących liczyć na pomoc z ich strony. W ten sposób nauczą się one czytać i nabędą potrzebnych im potem wiadomości.«

Podobny edykt, ale już dla całego Kościoła zatwierdza Innocenty III na czwartym Lateraneńskim soborze w 1215 r., przyczem obowiązek zakładania szkół rozciąga nie tylko na rezydencye biskupie, ale wogóle na wszystkie parafie.

Oczywiście wskutek nieustających wojen, najazdów, różnorodnych zamieszek, te rozporzą-

dzenia nie dały się wszędzie całkowicie przeprowadzić, to jednak pewno, że w wielu miejscach zostały przeprowadzone; a ponieważ jest faktem, że oprócz tego przy każdym klasztorze istniały podobneż szkoły, więc rzecz oczywista, że mimo wszystko suma światła, która się podówczas na lud prosty w świecie kotolickim zlewała, była imponującą.

Owszem, kto rzeczy bada bezstronnie, musi przyznać, że z oświatą miejscami było wtedy nawet lepiej, niż dzisiaj.

»Posiadamy księgi rachunkowe wielu miast z owych czasów — pisze protestant Kriegh. W ich annexach znajdujemy rachunki, spisane własnoręcznie przez ślusarzy, szklarzy, stolarzy i t. d. Podobnież posiadamy prośby rzemieślników z XV w., spisane także własnoręcznie. Najciekawszym jednak w tym względzie zabytkiem są księgi, zawierające imiona czeladników ślusarzy, którzy między 1417 i 1524 rokiem przeszli przez Frankfurt. Otóż tych kilkaset nazwisk mamy zapisanych własnoręcznie przez ludzi pochodzących ze wszystkich stron Niemiec: dowód oczywisty, że umieli pisać i czytać, czyli że uczęszczali do szkół.«[1])

Porównaj to z faktem następującym, który cytuje Jansen, że »wszyscy urzędnicy wyżsi i niżsi oraz cała czeladź dóbr Gutshofskich, należących

---

[1]) Deutsches Bürgertum im Mittelalter. 651.

do arcybiskupa mogunckiego — aż do do ostatniego parobka: umieli czytać i pisać«[1]);

albo z rozporządzeniem śląskiego miasta Jaworza powziętem mniejwięcej około 1500 r.: że »kto nie umie czytać i pisać, ten niema być dopuszczonym do praw miejskiego obywatelstwa«: —

i mów o obskurantyzmie wieków średnich o zacofaniu Kościoła katolickiego!...

* * *

A dziś czy jest inaczej? Zaglądnij, tylko do roczników »Misyi Katolickich«, a łatwo się przekonasz, że, gdzie tylko misyonarz katolicki zatknie znak krzyża św., tam otwierają się szkoły, rozwijać się poczynają rzemiosła, udoskonala uprawa roli, podnosi dobrobyt i prawdziwa kultura. — I to znowu, zdaniem n. p. bezstronnych urzędników kolonialnych angielskich, nawet Prusaka protestanta, majora v. Wissmanna i innych — jest specyalnością misyi katolickich, bo tylko w nich stwierdzić można »rezultaty kultury trwałej i oświaty prawdziwej«..

* * *

Co do szkół średnich i wyższych w średnich wiekach rzeczy są znane zanadto, aby wchodzić w szczegóły.

Dość, że w zachodniej Europie staraniem Kościoła katolickiego, powstało w tych cza-

[1]) I. 346.

sach więcej uniwersytetów, niż we wszystkich późniejszych razem wziętych. Przed rozpoczęciem Reformacyi było ich bowiem w krajach katolickich około siedmdziesiąt. W samych Niemczech w przeciągu lat 50 (od 1456 do 1506) — powstało ich dziewięć, które do dziś dnia należą do najsławniejszych i najbardziej wpływowych.

Ciekawą jest geneza tych szkół wyższych. Niektóre z nich, jak n. p. uniwersytet w Cambridge, Paryżu, i t. d. rozwijały się powoli ze zwykłej szkoły klasztornej; inne zakładane były od razu jako uczelnie wszechstronne, z wielkim rozmachem i to głównie przez Biskupów, a przedewszystkiem przez Papieży; a wszystkie bez różnicy cieszyły się zawsze opieką najtroskliwszą Stolicy Apostolskiej.

»Papieże[1]) byli najgorliwszymi obrońcami i dobrodziejami tych zakładów... oni przy każdym uniwersytecie wyznaczali konserwatorów, którzy zobowiązani byli bronić nadane im przywileje. A były to przywileje wielkie i prawa niezwykłe, skoro wynosiły uniwersytety do wysokości państw prawdziwych, niezależnych od władz miejscowych, a rządzących się formą republikańską« [2])

* * *

1) Hergenröther. Kirchen Geschichte 947.

2) »Pod koniec wieku XI-go sześciu nauczycieli, pochodzących ze szkoły klasztornej w St. Wram we Francyi osiedlili się we wsi Cotemham, skąd codziennie chodzili do poblizkiego Cambridge, i miewali wykłady.

Oczywiście utrzymanie uniwersytetów wymagało, jak dziś, dużo pieniędzy.

I w tym względzie spieszył im Kościół z pomocą. Widzimy bowiem, jak Papieże dobra posiadane przez duchowieństwo, t. zw. »beneficya« przeznaczają na dotacyę uniwersytetów. »Środków materyalnych do utrzymania uniwersytetów, pisze Jansen — dostarczało w przeważnej części duchowieństwo; szczególnie Papieże w najrozmaitszy sposób wyposażali je dochodami, przeznaczając na ich utrzymanie dobra kościelne, i czyniąc przez to ich egzystencyę możliwą i zapewnioną[1])«.

Cóż tedy dziwnego, że Wimpheling w swem dziele de arte impressoria mógł w roku 1507 napisać, że »uniwersytety — są córkami Kościoła, najbardziej uprzywilejowanemi i najstaranniej pielęgnowanemi, które w zamian wier-

---

Już w drugim roku trzeba było wynająć obszerne gumno, aby pomieścić wszystkich słuchaczów.

Porządek wykładów był następujący: Wczesnym rankiem nauczał jeden z 5 mnichów dziatwę najmłodszą gramatyki według Prisciusa; a równocześnie jego kolega wykładał starszym logikę według Arystotelesa; — gdy te lekcye się skończyły, poczynano wykłady retoryki, według Quintiljusza i Cicerona, — a wreszcie wykładano Pismo św. kapłanom, którzy tamte nauki już pokończyli.

Początki te tak pomyślny uwieńczył skutek, ilość profesorów i uczniów wzrastała tak prędko, że już przed końcem 12 w. szkoła Cambridzka dostarczała magistrów i bakałarzy na całą Anglię«. — Hurter. Innocenty III. IV. 558.

[1]) Geschichte des deutschen Volkes 104.

nością i przywiązaniem do matki okazują jej swą wdzięczność«.

O tym długu, niestety! zanadto często się dziś zapomina.

Iluż to jest tych współczesnych profesorów i studentów, którzy się do niego poczuwają? A jednak, gdyby nie Kościół katolicki, któremu zarzucają ciemnotę i zacofanie; gdyby nie Papieże, z których szydzą; gdyby nie kler katolicki, który szkalują: — nie mogliby ani ci profesorowie panoszyć się i rozpierać na swych katedrach, ani studenci czerpać u nich wiedzę, otwierając sobie drogę do chleba, honoru i sławy.

Niewdzięczni! — A niewdzięczność, to rzecz brzydka, nieszlachetna. — Dlatego też, ile razy na myśl Ci przyjdzie świadomość Twej intelektualnej wyższości nad pospolitym, nieoświeconym gminem — wspomnij na rękę dobroczynną, która do tego była Ci pomocną i w sercu przejętem wdzięcznością, dziękuj Panu Bogu, że przodkom Twoim pozwolił należeć do świętego, rzymskiego Kościoła, i między innymi dobrodziejstwami obdarzył Cię przezeń wszechnicą, na której obecnie rozszerzasz horyzont swej wiedzy i wiadomości.

* * *

Czy może przesadzam?

Przecież przed pokoleniem dzisiejszej inteligencyi, z tych samych murów uniwersyteckich wyszły całe szeregi pokoleń innych, z których pierwsze sięgało wieków średnich.

Co do wiadomości miały ich one mniej od naszego: ale co do wyrobienia i siły rozumu, stały nieraz wyżej od następujących po sobie, a może i od naszego?

Czy tak jest, osądzi przyszłość. W każdym razie mężów uczonych, myślących, inteligentnych, którzy przed Tobą temu lat 500 w tychże samych murach się zbierali, było wielu i bardzo wielu.

»Zdumienie nas przejmuje — woła protestant Hurter — kiedy pomyślimy, ilu ludzi znakomitych wydały uniwersytety (w wiekach średnich)! ilu z nich wyszło Arcybiskupów, Biskupów, mistrzów we wszystkich gałęziach wiedzy! To też słusznie jednego z nich nazywano »pochodnią«, jaśniejącą światłem wszechnauk duchowych i świeckich, innego — »niewyczerpaną skarbnicą wszelkich wiadomości«, innego jak n. p. św. Bernarda z Chartres — »obfitem źródłem« wszelkiej wiedzy i t. d.«[1]).

»Potrzeba kształcenia się była w późnem średniowieczu bez żadnej wątpliwości daleko większa, niż zwykle sądzimy[2]), »bo wszędzie, o ile weźmiemy całe Niemcy, panowało podówczas życie umysłowe nadzwyczaj ruchliwe, pełne młodzieńczej świeżości — wszędzie odczuwano potrzebę kształcenia się, oświaty«[3]).

* * *

[1]) Innocenty III, 544.

[2]) Schrauf na 43. zebraniu niemieckich nauczycieli filologów 1895 r.

[3]) Jansen I, 108.

Wobec tego wszystkiego przyznać musisz słuszność protestantowi, który powiada, że »byłby głupcem ostatnim, ktoby utrzymywał, że w wiekach średnich panowało wyłącznie barbarzyństwo i ciemnota... Ciemnota? A te tak liczne, tak głębokie, tak wspaniałe pisma Ojców Kościoła, czemże są, jak nie podziwu godnem staraniem rozwiązania najgłębszych zagadnień, zaprzątających umysł ludzki?

»Kto się ośmieli takiemu Kassiodorowi, Grzegorzowi W., — takiemu wszechstronnemu geniuszowi, jak Rhabanus Maurus, zarzucić ciemnotę, barbarzyństwo i zacofanie? Czyż rycerstwo średniowieczne, sztuka i nawet scholastyka, to nie nowość życia, nie rozwój, nie postęp?«[1])

»Były to piękne, szczęśliwe czasy, w których Europa stanowiła jedną wielką, chrześcijańską rodzinę. Jedna i ta sama wiara ją ożywiała, łączyła w jedno, i jednym potężnym, wspaniałym duchem przenikała najodleglejsze jej części. Na czele stał panujący, silny nie potęgą władzy doczesnej, ale potęgą ducha. On nią kierował, w nim się schodziły wszystkie polityczne siły«.

»Jak taki ustrój wpływał dobroczynnie na kształtowanie się społeczeństwa, — jak rządy tego rodzaju odpowiadały naturze człowieka, dowodem ewolucya niebywała wszystkich sił

[1]) Nerrlich. Das Dogma vom classischen Mittelalter, 48.

w nim ukrytych, — dowodem harmonijny rozwój jego zdolności, — dowodem niesłychane wyżyny, do której się wznosiły pojedyńcze, uzdolnione jednostki we wszystkich gałęziach twórczości ludzkiej, ludzkiej wiedzy, życia i sztuki, — dowodem, wszędzie kwitnący handel, sięgający od ostatnich kończyn Europy, aż do dalekich wybrzeży Indyi Wschodnich«[1]).

* * *

Mój drogi, Kościół katolicki to — prawda, światło, postęp, życie; to szczęście nawet doczesne człowieka. — Kto tego nie uznaje, ten najoczywistszym faktom zadaje kłam. »Na każdej stronnicy historyi świata w ostatnich wiekach 19, — na każdym pomniku potężnej chrześcijańskiej przeszłości, widzimy wypisaną wielkiemi zgłoskami prawdę, że Kościół katolicki w biegu wieków znosił bez przerwy kamienie do budowy pod gmach prawdziwej wiedzy i prawdziwej kultury.

»Pomyśleć, ile dla oświaty i uszlachetnienia obyczajów, dla sztuki i rzemiosła, wychowania i wiedzy zdziałał sam tylko zakon św. Benedykta? Ile światła spłynęło na ludzkość ze szkół przezeń utrzymywanych! Dzięki im, dzięki ich naukowej pracy pochodnia wiedzy nie zgasła w czasach straszliwych, które nastąpiły po wędrówce narodów. A jeżeli w epoce odrodzenia

---

[1]) Baron von Hardenberg, protestant, poeta (pod pseudonimem Novalis).

odurzano się blaskiem wiedzy starożytnej, i rozkoszowano utworami rzymskich i greckich klasyków — to zawdzięczano znowu jedynie zmudnej, ukrytej, wytrwałej i rozumnej pracy mnichów, którzy, klasyczne zabytki starożytności skrzętnie odpisując, rozmnażali je, zarówno dla użytku własnego, jak i dla użytku szkół któremi kierowali«[1]).

* * *

Wybacz mi, że ten list zanadto może się przeciągnął. Chciałem Cię przekonać i dlatego tak się rozpisałem. Bo widzisz: Zarzuty czerpane z historyi, zbić można jedynie dowodami zaczerpniętymi znowu z tejże historyi czyli cytatami:

Contra factum nullum argumentum.

A facta, które Ci przytoczyłem, zdają się mówić dosyć.

Sądzę przeto, że jeżeli je jeszcze raz uprzytomnisz w umyśle i trochę się przyłożysz, aby na ich podstawie odtworzyć sobie ogólny obraz kulturalnego stanu Europy w średniowieczu — z łatwością zdasz sobie jasno sprawę, dlaczego właśnie ludy chrześcijańskiej Europy dziś jeszcze pod każdym względem na świecie pierwsze zajmują miejsce? dlaczego stoją o całe niebo wyżej od innych? dlaczego zdolności jednostek w niej żyjących mogą całkowicie się rozwijać? i dlaczego nowe życie wstępuje do stęchłej,

[1]) Augsburger Post-Zeitung 18. Dez. 1897. Nr. 72.

strupieszałej, zastarzałej atmosfery innych narodów naszej planety, ile razy powietrze Europy zachodniej pocznie do nich się wdzierać przez szpary, jak do Indyi, lub przez drzwi na oścież otwarte, jak do Japonii?

Japonia, Indye, Chiny... Persya — o tyle zaczynają się ruszać, postępować, rozwijać, cywilizować, o ile poczynają korzystać z dóbr, stanowiących dotychczas wyłączną własność ludów Europy Zachodniej.

A te dobra, o ile stanowią dobytek starożytności, przechował, a przytem znakomicie powiększył nie kto inny, tylko Kościół katolicki tak, że jeżeli dziś jest jeszcze dobra tego duchowego bardzo wiele u ludów protestanckich i schyzmatyckich, to znowu jedynie dzięki temu, co zabrali ze sobą, kiedy się odrywali od niego, albo co później jeszcze przez zetknięcie się z nim na polu wiedzy i sztuki od członków jego sobie przyswoili.

List IX.

Kościół i odrodzenie.

Reformacya i obskurantyzm. — Kościół i odrodzenie. — Szkoły średnie katolickie. — Zasługi Jezuitów. — Początek przesądu, że wiara z wiedzą się nie zgadza. — Encyklopedyści. — Bankructwo nowoczesnej nauki. — Gdzie szukać trzeba obskurantyzmu? — Björnstjerne Björnson.

Z mego ostatniego listu wyrobiłeś sobie zdanie o stosunku wzajemnym wiedzy do Kościoła w wiekach średnich.

O jakimkolwiek antagoniźmie między nimi nie tylko, że wtedy nie było mowy, ale przeciwnie panowała harmonia tak wielka, że wiedzę uważano za część Kościoła integralną, — za jego »przedsionek« — za »bramę«, która do niego prowadzi. — Podówczas najwybitniejsi uczeni i wynalazcy byli katolickimi księżmi lub zakonnikami; a nawet przez całe wieki poza stanem duchownym nie było wogóle uczonych.

W dodatku Kościół starał się o oświatę na wszystkich jej szczeblach z taką gorliwością, systematycznością i wytrwałością, jak żadna instytucya ani przedtem, ani potem.

Dość powiedzieć, że uniwersytety ze swym majątkiem ruchomym i całym personałem, były wyjęte z pod jurysdykcyi władz świeckich i poddane władzy duchownej, jako zakłady w sposób szczególny poświęcone Panu Bogu.

Zostaje mi tedy do powiedzenia parę słów o »Odrodzeniu«, z którem się łączy »Reformacya« i silny ferment nawet w krajach pozostałych katolickimi.

* * *

»Szkoły wyższe — pisze Luter — (uniwersytety), zasługują tylko na wysadzenie w powietrze. Od początku świata nie było nigdy i nie będzie, nic bardziej jak one, piekielnego i dyabelskiego.«[1])

»Molochem, któremu dzieci swoje dajemy na pożarcie — powiada on gdzieindziej, — są szkoły wyższe. W nich to największa i najliczniejsza część naszej młodzieży bywa składana jakby w ofierze całopalenia, aby stać się uczoną i niewierną.«[2])

No nie dziw tedy, że z zasad takich dla krajów zarażonych Reformą dojrzewać poczęły wkrótce odpowiednie owoce, to też w tym samym czasie, gdy uniwersytety katolickie pod opieką Kościoła, rozwijały się dalej, jak w wiekach średnich, — uniwersytety protestanckie szybkim krokiem zbliżały się do upadku.

---

[1]) Kirchenpostille, Walch XII. 45.

[2]) Przeciw nadużyciu Mszy św. — Tenże Walch. XIX. 1450.

»Niemieckie szkoły wyższe — pisze protestancki teolog Rudolf Walthen już w 1568 r. — znajdują się obecnie w stanie opłakanym. W nich oprócz zarozumiałości i niedbalstwa profesorów a cynicznej rozpusty studentów nie znajdziesz poprostu nic, coby zasługiwało na uwagę.«

* * *

I jakże mogło być inaczej?

Wiadomo, że najdłużej i najuporczywiej nowinkom reformatorskim wywłoków klasztornych i żądnych władzy książąt niemieckich, opierały się uniwersytety.

Stąd gniew i gromy Lutra.

Luter i inni reformatorzy, mój drogi, światła się bali i byli typowymi obskurantami. Uniwersytety im zawadzały, a że znieść ich nie mogli; więc postanowili je zdeprawować, poniżyć.

Osiągnęli to w krótkim czasie, czyniąc profesorów zależnymi od kaprysu miejscowych despotów, którzy przy obsadzaniu katedr już nie patrzeli jak przedtem, na ich wartość, zdolność i rzeczywiste zasługi, tylko na względy polityczne i religijne niezliczonych partyi i partyjek protestanckich, które wspólnemi siłami walczyły z Kościołem katolickim, a poza tem niemiłosiernie nawzajem się szarpały.

»Upaństwowienie uniwersytetów — pisze protestant Paulsen — możnaby nazwać z l o k a l i z o w a n i e m (Territorialisirung) naukowości, wiedzy i wogóle umysłowego życia.

»W XV. wieku i na początku XVI. stanowiły Niemcy jeden wielki uniwersytecki i szkolny okręg. Na myśl nie przychodziło nikomu pytać się uczonych, skąd pochodzą? gdzie się uczyli? pytano ich tylko co umieją?... Tytuł magistra, zdobyty na jakimkolwiek uniwersytecie (francuskim, włoskim, polskim lub niemieckim) dawał prawo nauczania wszędzie: hic et ubique terrarum.

»Odkąd jednak utworzono kościoły miejscowe, już mowy nie było o wolnem przesiedlaniu się uczonych z jednego uniwersytetu na drugi, bo najpierw wykluczać poczęły uniwersytety katolickie uczonych protestanckich, a protestanckie — katolickich; potem zaś przy wciąż postępującym (oczywiście w krajach protestanckich) różniczkowaniu teologematów, jedne protestanckie wykluczały uczonych innych zakładów protestanckich.«[1])

»Stąd uniwersytety (protestanckie) przestały być przybytkiem, w którym jak dawniej za czasów katolickich życie naukowe swobodnie rozwijało się i kwitło, ale stało się miejscem, gdzie dzięki reformacyi spędzano czas na kłótniach i na rozbieraniu spornych kwestyi teologicznych. —

»Prawowierni zapaleńcy w rzeczach wiary trzymali się spazmatycznie odziedziczonej w spuściźnie po przodkach nauki, prześladując i tłu-

---

[1]) Geschichte des gelehrten Unterrichts vom Ausgange des Mittelalters.

miąc na polu wiedzy wszelki krok swobodny i wszelką innowacyę.«[1])

* * *

W dodatku większa część dóbr służących za czasów katolickich do opędzania kosztów utrzymania uniwersytetów, zniknęła niepostrzeżenie w kieszeni rozzuchwalonych rabusiów kościelnego dobra.

Tak n. p. kwitnący niegdyś uniwersytet w Rostocku, już w r. 1554 uskarżał się, że »został ograbiony z dóbr, które przy fundacyi przydzielonemi doń zostały, że budynki akademickie się rozpadają, że po części już w cudze dostały się ręce i t. d.«[2])

Bezpośrednim skutkiem tego smutnego stanu była nędza profesorów, którzy z fundacyi uniwersyteckich nie mając zapewnionego utrzymania, musieli go szukać gdzieindziej. Dochodziło też nieraz do tego, że zajmowali się oni wszystkiem, tylko nie wykładami i nauczaniem; bo przecież żyć musieli....

Oczywiście takie zaniedbanie z ich strony odbijało się na studyach i studentach.

»Upadek wszelkiej karności i porządku w szkołach wyższych — wołał 1564 r. z ambony pewien teolog protestancki — pochodzi głównie z upadku kolegiów, w których za czasów pa-

---

[1]) Gerhardt. Geschichte der Mathematik in Deutschland 74.

[2]) Alte und neue, Mecklenburg 9, 225.

piestwa (jak to wielu jeszcze dobrze pamięta) starano się o karność i zachęcano do pracy i pilności.«

»Dziś — żalił się Sarceryusz (1500—1554) — rozpowszechniło się pomiędzy studentami mniemanie, że każdy student musi być rozpustnikiem.«[1])

* * *

Wreszcie frekwencya protestanckich uniwersytetów zmniejszać się poczęła w sposób zastraszający i to właśnie od czasu Reformacyi.

»Jest to zjawiskiem literalnie powszechnem — pisze protestant Luchin v. Ebengreuth — że na niemieckich uniwersytetach w trzecim dziesiątku XVI. w. — frekwencya poczęła się nagle zmniejszać. I tak n. p. w 1521 roku w Rostocku było studentów 123, w Lipsku 340, w Wirtembergii 245, a już w kilkanaście lat później w Rostocku było ich tylko 35, w Lipsku — 100, w Wirtembergii — 174.

Na uniwersytetach protestanckich podobny stan trwał mniej więcej do wieku XVIII.

Dziś oczywiście jest tam inaczej, ale niezależnie od Reformy Lutra.

Dziś protestanckie uniwersytety niemieckie oddają ogromne zasługi nauce, rok rocznie wypuszczają ze swych murów tysiące ludzi prawdziwie wykształconych; ale to nie przeszkadza, że właśnie te uniwersytety od czasów

---

[1]) Döllinger. Die Reformation 508.

Lutra chorują na raka, któremu także rok rocznie tysiące innej młodzieży składa w ofierze swe zdrowie, życie — całą swą przyszłość. Nigdzie bowiem tak, jak na tych uniwersytetach nie kwitnie między studentami próżniactwo, pijatyka, zawadyactwo i rozpusta. To ich specyalność. —

Prawda, dziś i po uniwersytetach w innych krajach katolickich, (uważ: nie mówię wszechnicach katolickich), nie zawsze jest lepiej bo i w nich wszechwładnie rządzi państwo, naciąga wiedzę do swych interesów, czyni z niej narzędzie swej polityki, popuszczając łańcucha jedynie, gdy chodzi o walkę mniej lub więcej otwartą z wiarą i Kościołem.

Otóż skoro ta gospodarka państwowa w XVI w. przyprowadziła protestanckie uniwersytety do upadku — cóż dziwnego, że i dziś nie ciekawe daje rezultaty i w krajach katolickich tam, gdzie się ją zaprowadza. —

* * *

Smutny tedy był stan oświaty w krajach, które przez reformę Lutra dały się bezpośrednio owładnąć.

A teraz, zobaczymy co w tymże czasie działo się w krajach katolickich.

Tam obok reformy prawdziwej na polu religijnem, prowadzonej przez Kościół, a wyrażonej w uchwałach Soboru Trydenckiego, — szła równolegle na całej linii reforma w dziedzinie wiedzy i sztuki. Ruch, który w tym

kierunku właśnie podówczas zapanował w życiu ówczesnej Europy katolickiej, nazwano »Odrodzeniem« (Renesansem).

Odrodziły się nauki, sztuka, odrodziło szkolnictwo.

I to znowu za czyją inicyatywą? zachętą? — przy czyjej pomocy i pod czyją opieką?

Otóż znowu za inicyatywą, zachętą, pomocą i opieką na pierwszem, decydującem miejscu, tychże samych co dawniej przedstawicieli Kościoła katolickiego, a przedewszystkiem Papieży.

Właśnie wtedy literatura włoska święciła wiek swój złoty, a nauki i sztuki w katolickich Włoszech i Hiszpanii doszły do niebywałej i dotychczas nieprześcignionej wysokości. — A z tym wiekiem złotym, z tym rozkwitem sztuk i nauk najściślejszym węzłem związane są imiona Mikołaja II., Piusa II., Juliusza II., a przedewszystkiem Leona X. Około Watykanu gromadzili się ludzie tej miary, co: Bembi, Guidicioni, Casa, Sadoleti, Raphael Sanzio, Michał Anioł Buonarotti itd. itd.

Na czele ruchu literackiego i umysłowego w XVI w. stał Rzym do tego stopnia, że jeżeli można zarzucić coś ówczesnym Papieżom, to chyba tylko to, że, kosztem innych, ważniejszych swoich obowiązków, zajmowali się nim za wiele.

* * *

W dodatku i wtedy jak w wiekach średnich, nie brakło pomiędzy duchowieństwem katolickiem uczonych pierwszorzędnych.

O samych Jezuitach pisze historyk protestancki Hurter, że »nie było żadnej gałęzi wiedzy, któraby im czegoś nie miała do zawdzięczenia«.[1])

I inne zakony miały swych uczonych. Weź np. Benedyktynów, szczególnie francuskich z kongregacyi św. Maura, — Pijarów, Filipinów itd.

Uczonymi myślicielami w całem tego słowa znaczeniu byli Kardynałowie Toledo, Pallaviccini,

---

[1]) »Wielostronne wykształcenie Jezuitów uderzyć musi każdego szczególnie, gdy się ich porówna z pastorami, którzy prawie wyłącznie zajmowali się sporami teologicznymi.

»Niema żadnej niemal gałęzi wiedzy, którychby Jezuici nie uprawiali. Im zawdzięczamy cenne prace historyczne, naukowe, astronomiczne, a przedewszystkiem geograficzne. W czasie, kiedy jak dziś, myśl ludzka od względów partyjnych jest zależna, o zasługach Jezuitów na polu wiedzy mało kto mówi, a jeszcze mniej jest takich, co należycie ich ocenia.

»Oni odczytują napisy łacińskie, śledzą drogi trabantów Jupitera, wydają najróżnorodniejsze książki, odbywają dalekie podróże. Widzimy ich jako mandarynów, kierujących pekińskiem obserwatoryum, jako pionierów kultury, przykładających w Paragwaju rękę do pługa i nauczających dzikie plemiona uprawy roli; — widzimy ich, jak plemiona idyjskie północnej Ameryki, łączą w osady i gminy, uczą pracować. I to wszystko się przemilcza, lekceważy!...« (Hellwald Kulturgeschichte II, 57.)

Tolomei, Bellarmin, biskupi Bossuet, Fénelon, a w najnowszych czasach ks. Jakób Balmes, któremu w Hiszpanii i poza Hiszpanią nie tak prędko potrafi kto dorównać. Wszyscy ci mężowie, wierzący, praktykujący, owszem kwiat duchowieństwa katolickiego, są równocześnie także dobrodziejami ludzkości, którzy pracą swego umysłu do skarbu wspólnego wiedzy ludzkiej przysporzyli wiele nowych zdobyczy.

Ileż to dla historyoznawstwa zrobił Baroniusz i Bollandyści, dla filologii — kardynał Mai, dla językoznawstwa — kardynał Mezzofanti, człowiek nie tylko rzadki, ale w swoim rodzaju jedyny, o którym Byron powiedział, że w nim, jak w wieży Babel, wszystkie narzecza odbiły się głośnem echem (znał ich bowiem blizko 114); — ile dla astronomii zrobił kanonik Kopernik, dla fizyki Jezuita Kircher.

Otóż ciekawym, kto tym klerykałom najczystszej wody, kapłanom, biskupom, kardynałom, ośmieli się zarzucić ciemnotę i obskurantyzm?...

* * *

A jeśli się znajdzie na tej podstawie, że w całej prostocie swego serca byli to ludzie wierzący, — to pójść powinien dalej i Dantego, Skekspere'a, Cervantesa, Kartezyusza, Paskala, Voltę, Ampére'a, Pasteura, także nazwać obskurantami, ciasnemi głowami, zacofanemi — pod-

ludźmi... bo i oni wierzyli i oni tę swą wiarę praktykowali.

Obskurant, bo wierzący...

Mój drogi! Jest to fakt znany, który stwierdzić możesz w pierwszym lepszym »domu zdrowia dla chorych nerwowo«, że kto cierpi na rozmiękczenie mózgu, siebie ma za człowieka rozsądnego, a innych za waryatów. —

No! biedny maniak — i tyle. — Otóż ja powiadam, że takimi maniakami są i ci pionierzy nowoczesnej kultury, w których mózgach ustaliło się przekonanie, że każdy katolik wierzący i praktykujący, chociażby zresztą swej genialności dawał codzienne dowody, jak wyżej wspomniani uczeni, — jednak «ma głowę ciasną«, nie jest »umysłem silnym«...

Głowę ciasną, a przynajmniej serce ciasne — ktoś ma...

Ale kto?

Czy ten co do wiary katolickiej z Dantem, Kartezyuszem itd. śmiało się przyznaje? lub też ten, co do jej przeciwników należy?...

* * *

Oczywiście i w epoce Odrodzenia troszczył się Kościół o o ś w i a t ę.

Owszem pod jego opieką wyrobił się w tym czasie t y p n o w y szkół t. zw. ś r e d n i c h.

Klasycznym ich okazem były szkoły Jezuickie, tj. t. zw. K o l l e g i a.

Wiele się im zarzuca. Ale mało kto się pyta, co też były one warte, jako szkoły, tj. jako zakłady naukowe i wy,chowawcze. Czy w tym względzie ustępują szkołom dzisiejszym? o ile? dlaczego i w czem?

Zastanawiał się nad tem protestant Paulsen, profesor berlińskiego uniwersytetu, i w rezultacie swych badań utrzymywał, że »nie państwo, ale Towarzystwo Jezusowe stworzyło zakłady wychowawcze katolickie, dlatego pochwała i uznanie należy się mu nawet ze strony protestantów. Kto Jezuitów potępia jako kłamców i zbrodniarzy, ten albo do nich jest uprzedzony, albo im zazdrości.

»Kłamstwo i przewrotność nie da się pogodzić z dokonanem przez nich dziełem, — przez nich Jezuitów, którym połowa świata ówczesnego powierzała swe dzieci na wychowanie. Suma pracy produktywnej, włożonej w to dzieło, jest czemś niesłychanem«.

Jeszcze dobitniej wyraża to samo inny protestant, współczesny nam, Franciszek Pfalz. Wynosząc zasługi Jezuitów na polu pedagogii, a więc i na polu oświaty, powiada on tak:

»Jakaż tedy jest wartość wewnętrzna normy, kierującej jezuickiem wychowaniem młodzieży, — normy, zawartej w sławnem Ratio Studiorum? Pytanie to nasuwa się mimowoli każdemu, kto, nie będąc Jezuitą, czyta to dzieło, tembardziej, że w niem jakby w zwierciadle na każdej stronnicy odnajduje on główne

zarysy dzisiejszej organizacyi i dyscypliny szkolnej. To też mimowoli jest się zdumionym, widząc powagę, sumienność i roztropność, z jaką Jezuici od samego początku zapatrują się na wychowanie i oświatę.

»Czytając ich zasady wychowawcze, zaczynamy rozumieć, dlaczego to szkoły państwowe i miejskie w XVI. i XVII. w. z ich szkołami współzawodniczyć nie mogły? i dlaczego w XVIII. wieku, a jeszcze bardziej w XIX. państwo, koncentrując w swem ręku całe wychowanie publiczne, starało się zbliżyć do wzoru, który zostawili mu Jezuici. Zdaniem Francuzów ich dzisiejsze licea — to tylko trochę zmienione kolegia Jezuickie.

»A ja powiem więcej. Rozkład nauki i egzaminów w gimnazyach protestanckich, jaki w państwie pruskiem się wyrobił pomiędzy 1817 i 1840 rokiem podczas ministeryum Altensteina — jest także naśladownictwem Ratio Studiorum.

»I któż może nam mieć za złe, że przywłaszczamy sobie, co w niem jest dobrego? że z tego korzystamy?«

Oczywiście, że nikt; ale też nikt nie ma prawa sobie lekceważyć, nazywać obskurnem, zacofanem, nie postępowem wychowanie, które swym dzieciom dawał i daje Kościół katolicki.

Dlatego, mój drogi, nie masz się czego wstydzić, że w jednym z tych nielicznych zakładów pobierałeś wychowanie, które dziś jeszcze

ci sami prowadzą Jezuici i według tych samych zasad.

Ze szkołą nowoczesną robiono wiele doświadczeń, wprowadzono wiele mniej lub więcej potrzebnych zmian, próbowano nawet samą pedagogikę oprzeć na nowych zasadach, — jednak nie potrafiono wynaleźć lepszej niż była Jezuicka, bo ją jej twórcy oparli na naturze człowieka, która wszędzie i zawsze była, jest i będzie ta sama. —

Na to niema rady.

* * *

»Ale skąd się bierze ów przesąd o rzekomem przeciwieństwie rozumu i wiary?«

Swego czasu wystąpił z nim Julian Apostata i zrobił wielkie fiasko!

To też półtora tysiąca lat trzeba było czekać, aż się znowu znaleźli ludzie, którzy, w ślady jego idąc, do tej samej, co on, niewdzięcznej zabrali się roboty.

Pychą zaślepieni, postanowili zniszczyć wiarę chrześcijańską, wykazując naukowo (?), że opiera się na fałszu, jest niegodną ludzi oświeconych, inteligentnych.

Owocem ich wysiłku było dzieło wielotomowe, nazwane szumnie encyklopedyą.

W gruncie rzeczy pod pozorem uczoności nagromadzili tam oni ogrom bezczelnego oszukaństwa i zuchwałego kłamstwa tak wielki, że aż społeczeństwo zachwiało się w posadach, ale

wiara pozostała niewzruszoną; owszem, poczęła jaśnieć żywiej i promienieć dalej.

A wiedza co na tem zyskała? Czy ten wysiłek ludzi skądinąd zdolnych i uczonych, ale przewrotnych przydał jej się na coś?

Na nic. Ona wprawdzie się nie cofnęła, ale i nie posunęła naprzód. Za to z jej nikczemnego nadużycia powstała niewiara z pokrewnym sobie indyferentyzmem, która adeptów swych we Francyi pchać poczęła tak prędko w przepaść głupstwa i zezwierzęcenia, że się nie zatrzymali, aż dopiero, gdy motłoch paryski w osobie nierządnicy, jako bożkowi Rozumu, począł oddawać cześć i w imię równości, braterstwa i wolności, składać hekatomby niewinnej krwi ludzkiej.

Człowiek stał się nietylko zwierzęciem, ale gorszym od zwierzęcia. Taki Marat, Robespierre, Mirabeau, Foukuier-Tinville: toż to nie tylko szakale i tygrysy w postaci ludzkiej — ale prawdziwe szatany. —

Przyszedł wreszcie Napoleon, bicz Boży, upuścił krwi wiele, zrobił porządek i atmosferę oczyścił.

I skończyło się, że wiara święta katolicka niewzruszona, majestatyczna, piękna, z tej strasznej zawieruchy wyszła tryumfująco, aby goić rany i życie w nowe wlewać pokolenie; przyczem się pokazało, że, im sumienniej poczęto prowadzić naukowe badania, tem wyraźniejszą stawała się prawda, że wiara i wiedza nie stoją ze sobą w sprzeczności żadnej.

Słusznie powiedział Bakon, że »wiedza powierzchowna oddala od Pana Boga, gruntowna zaś Doń prowadzi«.

* * *

Sprawdziło się to samo znowu w czasach najnowszych, kiedy wielu ludzi uczonych ale niewierzących, wytężyło siły, aby odkryć, wynaleźć coś, coby choć zdaleka świadczyć mogło przeciw wierze. Idąc dalej, oni usiłowali bez pomocy wiary, samym tylko rozumem rozwiązać wszystkie kwestye, nawet religijną, tyczącą się Boga, człowieka, świata i wszechrzeczy.

I z jakim rezultatem?

Co nam ta nauka, a raczej pseudo-nauka, potrafiła wytłomaczyć?

Nic a nic zgoła. To, mój drogi, przyznają jej właśni przedstawiciele, o ile chcą być szczerzy.

»Wiedza z b a n k r u t o w a ł a!«, wołał niedawno jeszcze Brunetière[1]), nim się nawrócił.

---

[1]) Rozmowa Leona XIII. z Brunetière'em.

»Faktem jest, że nauka wasza — rzekł Ojciec św. — nie dotrzymała swych obietnic, — że zawiodła was na bezdroże.

— Przyznaję, — odparł B. — że nie postępujemy, ale cofamy się wstecz.

— Cofacie się wstecz, — powiadasz. A ja postępuję naprzód, tam hen! aż do najdalszych krańców świata spieszą moi wysłańcy do Australii, Azyi, Japonii, Ameryki, w głębie puszcz afrykańskich, i zatknąwszy krzyż w ziemi głoszą moją wiarę.

I świat naukowy nie mógł mu zaprzeczyć. Milczeniem przyznano mu słuszność.

Oczywiście Brunetière nie chciał przez to powiedzieć, że wiedza nowoczesna nic nie wytłómaczyła, nie zrobiła nic...

Gdyby tak powiedział, byłby się z prawdą rozminął, i zbłądził, jak ci, którzy wiarę odrzucają.

Nie... on przyznawał, że nauka prawdziwa zrobiła dużo, odkryła dużo, zasłużyła się dużo wobec ludzkości — ale nie ta nauka, która od niej, nauki prawdziwej, pożycza pozorów, w rzeczywistości będąc tylko utworem chorobliwej wyobraźni, spekulacyi albo złej woli.

Nauka, nie przekraczająca granic, z natury rzeczy sobie zakreślonych, zasługuje na uznanie

---

— A w Europie czy jest inaczej? Nawróceń w Anglii liczymy na tysiące; w Niemczech centrum katolickie stawia szczęśliwie czoło Kulturkampfowi; w Szwajcaryi rozwija się katolicyzm pomyślnie. Idee nie ustają w swym pochodzie. Włochy są w części maruderami, ale i na nie czas przyjdzie«...

Tu zatrzymał się Ojciec św., poczem dodał z westchnieniem: »Francya też przebudzić się musi...

— Powiadasz, że się cofacie, a ja wciąż idę naprzód, posłuszny memu Mistrzowi, który powiedział: »Idźcie, nauczajcie«.

— Napisz pan w swym przeglądzie, że na schyłku dziewiętnastego wieku widziałeś pan niewierzących jak błądzą w ciemnościach, a Kościół pod kierownictwem ośmdziesiątletniego starca, płynący przez oceany dwóch światów, opromieniony słońcem nadziei, wierny swej wierze i pewny, że, przetrwawszy wszelką przeciwność, zawsze tym samym pozostanie«.

i wszelki szacunek — i ta wierze się nie sprzeciwia. Ale kiedy w osobie swych przedstawicieli pocznie poza te granice wychodzić, wtedy już nie postępuje w swem własnem, — ale w ich imieniu, w imieniu ich przesądów, ich pychy, ich wiary złej, — wtedy nie mamy do czynienia z rzeczywistością, ale pustą grą słów, z sofistyczną akrobatyką myśli; — wtedy przemawia nie nauka prawdziwa, ale samozwańcza, która szat swoich od tamtej pożycza, aby mamić i oszukiwać.

* * *

To ona — to ten falsyfikat wiedzy, występuje z zasadą, nieznaną wiedzy prawdziwej, że rozum powinien odrzucić wszystko, czego wysiłkiem swym nie może dosięgnąć, — czego nie może zrozumieć, co należy do dziedziny tajemnic, — ona to puszcza się na awanturnicze spekulacye i na giełdzie myśli niezależnej gra z zapałem dziecka i naiwnością prostaka...

Cóż dziwnego, że bankrutuje...

Za to wiedza prawdziwa w to się nie bawi; nie wdaje się w karkołomne awantury, chętnie odstępuje wierze jej należne miejsce i dlatego choć powoli posuwa się naprzód, a posuwa z wiarą równolegle.

Ta wiedza nie zbankrutowała i nie zbankrutuje. Ona tylko ubolewa nad swymi synami, — tymi wprawdzie w całem znaczeniu tego słowa, albo choćby na pół uczonymi, którzy, wiary św. się wyrzekając, w osobistych widokach nauki

nadużywają, aby na niej jako na piedestale zbudować sobie posąg!...

Im wszystko jedno, czy szaty swej mądrości wezmą z zakładu waryatów? czy ze składu starzyzny filozoficznej. Im wszystko jedno, czy one są już znane, znoszone, wytarte?... byleby w danej chwili były oryginalnemi i nastrojowemi.

Czy dotrwają jutra?...

Któż się o to w czasach tandety troszczy?

Tym arlekinom wiedzy się zdaje, że byleby przez chwilę zajaśnieli więcej, zakrzyczeli głośniej od swych współczesnych — już się stali nieśmiertelnymi. Dlatego ich dążeniem wyłącznem jesł o r y g i n a l n o ś ć. Chcą wpaść innym w oczy.

Mnożą się tedy systemy, hasła. Filozofia postępowa z dniem każdym nowe przybiera szaty, stosownie do mody i panującego gustu, jak kokietka.

Byleby zwrócić uwagę.

* * *

A teraz wszystko, co Ci w obu ostatnich listach powiedziałem, zbierz znowu razem. I co zobaczysz?

Oto, że wiedza, właśnie wtedy, gdy jaśnieje n a j w i ę c e j, i d z i e w p a r z e z w i a r ą;

Że w chwilach wielkich społecznych przewrotów wiedza pod opiekę wiary się chroni, że blask jej rośnie lub słabnie, stosownie do tego, czy bliżej lub dalej od niej się znajduje;

Że u stóp Ołtarza żyją prawdziwi koryfeusze wiedzy, że Kościół otwiera szkoły, zakłada uniwersytety, popiera nauki i sztuki.

Wobec tego, wobec tej działalności Kościoła katolickiego przez wieków dziewiętnaście czyż możesz z czystem sumieniem powiedzieć, że wiara katolicka a obskurantyzm, zacofanie — to jedno?

Nie! To byłoby śmiesznością, głupstwem, niewdzięcznością... zbrodnią.

Niech tedy myślą tak i mówią umysły puste, które z lekkiem sercem wyzbywają się skarbów najświętszych, ale nie my.

My wiemy, że zanim się odrzuci to, co tylu mężów znakomitych ceniło sobie nadewszystko, trzeba doprawdy lepiej i więcej się zastanowić, niż ludzie niewierzący zwykli dziś czynić....

Sławny Laharpe, z początku niedowiarek, a potem katolik wierzący, razu pewnego powiedział do swych przyjaciół: »Uwierzyłem, dlatego, że się zastanowiłem«.

W słowach tego światłego człowieka znajdziesz dobrą radę dla niejednego z Twoich kolegów.

Mów im śmiało przy każdej sposobności: »Przyjacielu kochany, badaj, zastanów się, rozważ, a wtedy, jak ja uwierzysz«.

* * *

P. S. Kończyłem właśnie ten list, gdy mi wpadł w ręce artykuł o pewnym literacie norwegskim, mogący służyć za wzór typowy, do

czego prowadzi oświata, jeśli się nie opiera na wierze — jeśli nie zna bojaźni Bożej, etyki, opartej na zasadach niezłomnych.

Taka oświata — to oświata z czasów Cezarów rzymskich, oświata pozorna, a w gruncie rzeczy — barbarzyństwo.

Posłuchaj.

»Björnstjerne-Björnson, czytamy w »Kuryerze Litewskim«, jest wcieleniem najniesympatyczniejszych objawów współczesnego czasu ducha. Porywów szlachetnych »gentlemana« on nie ma, ale wiele praktycznego zmysłu, zamiłowania krzykliwej i bałamutnej reklamy. Pycha przytem szalona i buta wobec tych, od których żadnej spodziewać się nie może korzyści, wraz z nieumiarkowanem ubóstwianiem siły brutalnej i płaszczeniem się przed potęgą chwili. Zresztą zupełna anarchia moralna, nie uznająca żadnych więzów etycznych, gdy chodzi o osiągnięcie pożądanego celu. Zdrada, kłamstwo, oszczerstwo — oto broń ulubiona tego rodzaju człowieka.

»Aby nie myślano, że przesadzam, oto kilka charakterystycznych szczegółów z życia publicznego Björnsona.

»Björnson znanym jest ze swej fanatycznej nienawiści narodu szwedzkiego. Niema potwarzy tak czarnej, którejby nań nie rzucał, ile razy sposobność mu się nadarzała. Ale kiedy potrzebował pieniędzy nie wahał się jeździć po Szwecyi, miewać odczyty, prawić komplementa »szlachetnemu narodowi szwedzkiemu«, — i brać korony szwedzkie.

»Był nieprzejednanym wrogiem unii Szwecyi z Norwegią i, aby ją podkopać, denuncyował »w Rosyi« Szwecyę, że potajemnie się gotuje do zdradziedzkiego napadu — zalecał przymierze zaczepne Norwegii z Rosyą i żądał oddania Rosyi część Norwegii północnej, ale... gdy mu akademia szwedzka w ciężkiej chwili przyznała nagrodę literacką Nobla, tak nagle zmienił swe zdanie o unii, że nawet właśni rodacy ze wzgardą się od niego odwrócili.

»Miał od lat dziecinnych serdecznego przyjaciela w Richterze, ministrze norwegskim przy dworze Sztokholmskim. Jednak kiedy się zdarzyła sposobność, że powierzoną sobie przez Richtera tajemnicę mógł wyzyskać, nie zawahał się ani chwili, z d r a d z i ł j ą, a Richter strzelił sobie w łeb.

»To jednak nie zamąciło jego spokoju, bo jako tragedyę życiową, całe przejście przeniósł na scenę!

»Gdy sprawa Dreyfusa poruszyła Europę i żydzi całego świata, w podziwu godnej solidarności usiłowali dla niej pozyskać opinię Europy, Björnson wystąpił za Dreyfusem. A nie dość mu przytem było powoływać się na prawo i sprawiedliwość. On pozował na sędziego nieubłaganego, nawołując świat do zgniecenia »zdegenerowanej rasy francuskiej, będącej hańbą narodów itp«.

»Mimo to, kilka lat potem, jako dobry aferzysta, udał się do Francyi, aby przez swą obecność w Paryżu przyczynić się do reklamy

wystawianych tam po raz pierwszy swych dzieł scenicznych. Obsypano go kwiatami, napełniono kieszenie pieniędzmi. A on? on wyjechał do Berlina i zaledwie wysiadł z wagonu, począł znowu lżyć Francyę i naród francuski, jako barbarzyński, zacofany.

»Później dłuższy czas było około niego milczenie.

»Nastała rewolucya w Rosyi, rzezie, sądy polowe... on siedział cicho.

»Zapomnianoby o nim, gdyby nie nowa reklama. Tu nawinął mu się naród polski...

»Polakożercze Niemcy, protegujące wszystkich wrogów narodu polskiego, są przecież potężne, bogate, a od Polaków niczego się obawiać nie potrzeba: więc hejże na nich!

»Europa zna już Björnsona i jego wyrachowaną bezczelność. To też sądzę, że Sienkiewicz zanadto wielki uczynił mu zaszczyt, kiedy odpowiedział na jego paszkwil, bo przez to tylko dopomógł mu w osięgnięciu swego celu.«

List X.

Lew Tołstoj.

Adres lekarzy polskich petersburskich do Tołstoja. — Włodzimierz Sołowjew. — Geneza »Nowej Ewangelii« Tołstoja. — Część jej negatywna. — Część pozytywna. — Czemu Tołstoj prawdy nie znalazł? — Wniosek. — Emil Zola.

Sześć lat temu obchodził Lew Tołstoj 80-tą rocznicę swych urodzin.

Oczywiście przejść ona nie mogła niepostrzeżenie. Postać sędziwego Jubilata zajęła zanadto wybitne stanowisko w świecie literackim, aby uczucia, które wzbudzić potrafił, przy takiej sposobności nie dały sobie upustu na zewnątrz. —

Posypały się tedy telegramy, adresy, deputacye do Jasnej Polany... oczywiście głównie, przeważnie z Rosyi.

Nie zabrakło i głosów polskich. — Oto między innymi i Związek petersburski Lekarzy i Przyrodników wysłał do Jasnej Polany adres charakteryzujący ich i wogóle znaczną część inteligencyi naszej, będącej zanadto może pod wpływem kultury nam obcej, — to też polskiej tylko z imienia. —

W oczach tych panów Lew Tołstoj jako filozof, założyciel nowej religii i ideał człowieka okazał się »świecznikiem ludzkości, najwyższej czci i uwielbienia godnym, w którym cały świat cywilizowany widzi jednego z swych proroków, nieskruszoną tarczę bezwzględnej życiowej i dziejowej prawdy, obrońcę uciśnionych, ucieczkę gnębionych i pokrzywdzonych, wyrzutem sumienia dla najzakamienialszego grzesznika, największym ze współczesnych humanistów, mężem ze spiżu i kryształu...«

To piszą Polacy.

Wtedy gdy ogromna większość własnych rodaków Tołstoja, choć uznaje w nim literacką swą chwałę, przed filozofią jego jednak się zastrzega i wzdryga, pojmując cały ogrom jej przewrotowego niebezpieczeństwa do tego stopnia, że nawet (jak to publicznie jeden z nich w Dumie powiedział) wita wyklęcie jego przez cerkiew z radością, bo uważa go »za zbrodniarza«.

* * *

Skąd myśl do takiego adresu?

W danym wypadku zapewne stąd, że Tołstoj otwarcie, radykalnie zrywa z chrystyanizmem: a więc ma za sobą całą armię pozytywistów, postępowców, materyalistów, monistów etc. etc. ludzi o »mózgach silnych« a raczej »niedoformowanych« — jak kto chce.

Może i stąd, że Tołstoj, występując w chwili przełomowej walk absolutyzmu z dobijającem

się swobód społeczeństwem, całą siłą najkrańcowniejszych swych wymagań staje po stronie społeczeństwa: a więc ma za sobą wszystkich skrajnych i umiarkowanych zwolenników, większych lub mniejszych swobód politycznych.

Już nie mówię o tem, że przy swym wielkim talencie literackim jest on od nóg do głowy oryginałem, pociągającym świeżością, prostotą, dziewiczością swego życia i swych poglądów, — że jest człowiekiem idei, śmiesznej nieraz, niekonsekwentnej, szkodliwej, ale zawsze jednej, a to przy zanikaniu coraz większem prawdziwych charakterów w świecie do niego pociąga wszystkich, co szlachetniej myślą i czują, że wreszcie jest poważnym, majestatycznym starcem, władającym w całej pełni swym rozumem, pamięcią i siłą.

Jednego pociąga to, drugiego tamto — ale żeby już dlatego Polacy mieli go nazywać »świecznikiem ludzkości, najwyższej czci i uwielbienia godnym prorokiem cywilizowanego świata, tarczą bezwzględnej prawdy życiowej, obrońcą uciśnionych, ucieczką gnębionych i pokrzywdzonych...« No, to już za wiele.

Panowie lekarze i przyrodnicy petersburscy, jako ludzie postępowi, zapewnie o litaniach nie wiele co wiedzą. Otóż szkoda, że nikt uwagi ich nie zwrócił na to, że wdali się w plagiat.

Toć to przecie oni Tołstoja czczą, uważają za świętego i do niego się modlą.

Dodać tylko do wyliczonej litanii »módl się za nami« albo »zmiłuj się nad nami« — i będzie.

Będzie nowa religia nowych ludzi, gardzących tłumem łatwowiernym.

O! oni łatwowiernymi nie są. Wierzą tylko w proroka Tołstoja...

* * *

»Rosya, zwłaszcza młoda Rosya, dobrze tym panom odpowiada ks. Czeczot, chlubi się pisarzem, przez którego literatura rosyjska zdobyła sobie prawo obywatelstwa na Parnasie europejskim, że wysila się na okazanie mu swego hołdu, ale że tej hypnozie uległo całe grono polskich lekarzy i przyrodników, którzy z powołania są przyzwyczajeni trzeźwiej na rzeczy patrzeć, nie dawać się łudzić pozorom, ale za pomocą mikroskopu, retorty i skalpela do wnętrza rzeczy sięgać, i z wszelką manią, obłędem i suggestyą walczyć: to nas dziwi.

»Czy powaga ich, jako mężów nauki, na tem nie ucierpi, — gdy dym kadzideł się rozwieje, trąba głośna famy i mody zamilknie, a trzeźwiejsza krytyka sprowadzi ubóstwianego dziś pisarza do zwykłej śmiertelnikom miary?

»W każdym razie nam co do tego? Przecież o Polskę nie wiele Tołstoj dbał, choć parę razy sympatycznie za nami przemówił; za to naszą kulturę, naszą cywilizacyę ignorował, a czasem nawet pogardzał.

»Nietylko jako kapłan i Polak, ale jako na cywilizacyi chrześcijańskiej wykształcona jednostka, jak najenergiczniej muszę zaprotestować przeciw tym przesadzonym hołdom i jestem pewny, że do mego protestu przyłączy się zastęp Polaków bez porównania liczniejszy, niż choćby wszyscy nawet polscy lekarze i przyrodnicy petersburscy.

»A protestuję przedewszystkiem przeciwko nazywaniu Tołstoja prorokiem całego cywilizowanego świata, bo prawdziwa cywilizacya europejska i amerykańska — powstała i rozwinęła się na zasadach chrystyanizmu, którego Tołstoj nie uznaje, Chrystusa odzierając z aureoli Bóstwa, a Ewangelię dowolnie tłomacząc, nie troszcząc się ani o prawdę, ani o krytykę historyczną.

* * *

»Prorokiem nawet w przenośnem, nieścisłem znaczeniu — jest człowiek, który otworzył nowe drogi, wskazał nowe prawdy. — Otóż tego w Tołstoju dopatrzeć się nie można.

»Jest to wielki artysta słowa, ale zbyt często używa go na bronienie nie tyle prawdy, ile świetnych paradoksów; oryginalny myśliciel, ale obok tego — doktryner i maniak.

»Jako beletrysta korzystnie się odróżnia od współczesnych kolegów po piórze tem, że nie oddaje go na usługi otwartej albo zamaskowanej pornografii, że sztukę pojmuje jako propagandę dobra dla uszczęśliwienia ludzkości, że lubi poruszać i popularyzować wielkie idee

miłości bliźniego, pracy, sprawiedliwości, ekspiacyi, ale nie jest on w tym kierunku ani pierwszym, ani jedynym pisarzem.

»Ale skąd on przychodzi do tego, aby być »tarczą dziejowej prawdy«, t. j. historyi, skoro historykiem nie był, a w »Wojnie i pokoju« — swej jedynej powieści historycznej, hołduje fatalizmowi, chwaląc w Kutuzowie to, że nic nie robi, pozostawiając losy wojny naturalnemu biegowi rzeczy.

»Skąd jest »obrońcą uciśnionych, ucieczką gnębionych«? czy może dlatego, że razem ze socyalistami najskrajniejszymi uważa własność ziemską za grzech i o tych swych teoryach poucza lud w osobnej broszurze, rozrzucanej w czasie anarchii i wiejskich rozruchów?

»Panowie lekarze zwą go mężem ze »spiżu i kryształu«. Dlaczego? Czy może dlatego, że nawołując, aby ludzie wrócili do prostoty życia tym razem popiera swą teoryę własnym przykładem? Ale współczesny mu ks. Kneipp bez porównania więcej zrobił w tym kierunku i więcej korzyści ludzkości przyniósł, choć w czasie jego jubileuszu żaden ze Związków Lekarzy i przyrodników nie wystąpił z adresem, czego wymagało poczucie koleżeństwa i wdzięczność za wynalazek nowego sposobu leczenia.

»Jeszcze raz pytam, jakie nowe i wielkie hasła dał Tołstoj ludzkości, któreby go na proroka i mistrza pasować mogły wobec nas Polaków i katolików?

»Czy pozostanie po nim w jego własnej ojczyźnie coś, prócz chaotycznego fermentu, w którym zdrowe ziarna Chrystusowej nauki pomieszał z kąkolem mrzonek niepospolitego, ale niezrównoważonego umysłu.«

To wielkie pytanie!

* * *

Był w Rosyi inny mąż, Tołstojowi współczesny, pisarz jemu równy, poeta, umysł głęboki.

Nie był oryginałem, ale za to był wielkim myślicielem, filozofem. Drew nie rąbał, ziemi nie orał, ale w społeczeństwo swoje rzucił hasła nowe, jasne, wyraźne, podniosłe.

Jego do proroka porównaćby można było! On nas Polaków cenił, kochał: serce jego nas rozumiało.

Tym mężem był Włodzimierz Sołowjew.

Prawda,, namiętności on nie rozbudzał, na wielkiego człowieka nie pozował, dziwakiem nie był i z chrystyanizmem nie zrywał.

Ale myślał...

Czemuż to on adresów od polskich petersburskich lekarzy i przyrodników się nie doczekał?

Czyż może dlatego, że był chrześcijaninem?

A był ich więcej wart.

»Niedawno temu — pisze w dalszym ciągu swego artykułu ks. Czeczot — zmarł w Moskwie człowiek, który bez porównania bliżej stanął

ideału »mistrza narodów« i »pochodni ludzkości« — jeśli wogóle te epitety do śmiertelników stosować mamy prawo. Nietylko 80-ciu, ale nawet 50-ciu lat nie dożył, pozostawił jednak w dziewięciu tomach owoc pracy swego potężnego umysłu na polu filozofii, krytyki, publicystyki, etyki, historyozofii i religii. Szukał prawdy absolutnej, do tej prawdy życie swoje dostrajał, tę prawdę głosił ze szczerością przekonania, która czarowała każdego, kto miał szczęście do niego się zbliżyć.

Mężem tym prawdziwie jak spiż jednolitym a przezroczystem jak kryształ był Włodzimierz Sołowjew.

»Z niedowiarka, drogą ścisłego a szczerego filozoficznego myślenia, stał się nietylko wierzącym chrześcijaninem, ale wznosząc się ponad sferę narodowych i religijnych uprzedzeń, on, wnuk prawosławnego kapłana, doszedł do jawnego wyznawania katolicyzmu. Szerząc idee istotnego, po chrześcijańsku pojętego liberalizmu, kładł on podwaliny wielkiego dzieła pojednania narodów na gruncie bezwzględnej sprawiedliwości w polityce a bezwzględnej prawdy w religii.

»Z tego płynęła jego szczera sympatya dla nas Polaków, której dał wyraz w odczycie mianym w Paryżu »L'idée Russe« — gdzie otwarcie i śmiało nawołuje rodaków swych do »naprawienia krzywdy, wyrządzonej pobratymczemu narodowi«, przepowiada najpierw bankructwo polityki rosyjskiej za Bałkanami, wskutek sprze-

czności, zachodzącej pomiędzy wywieszonym przez nią sztandarem wyzwolenia Słowian, a prześladowaniem najliczniejszego i najpoważniejszego dziejowo ich szczepu — potem najazd rasy żółtej jako karę Bożą, na kilka lat przed wojną japońską.

»O Sołowjewie tedy z daleko większą słusznością powiedzieć można, że dał narodowi swemu »nowe wytyczne drogowskazy i że był prorokiem«.

A prorokiem tembardziej, że był głosem wołającego na puszczy! Nietylko świat cywilizowany, bawiący się paradoksami Tołstoja, nie zna Sołowjewa, ale i w jego własnej ojczyźnie szczupłe grono wielbicieli umie go cenić.

A jednak myśl jego, będąca zastosowaniem braterstwa ludów, opartego na miłości Chrystusowej, nie zginie. »Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą« (św. Marek XIII, 31), choć może wiele wody upłynie, zanim Rosya doniosłość ich zrozumie.

W poszukiwaniu prawdy i szczęścia rzuca się ona za każdym błędnym ognikiem, ale kiedyś, zmęczona bezowocną pogonią, wróci do Chrystusa i oceniwszy, jak należy, prace Sołowjewa, przejęta wdzięcznością, wystawi mu pomnik chwały.

»Wówczas, ale tylko wówczas, i my Polacy, jeśli, jak się spodziewam, nie zaprzemy się haseł chrześcijańskiej cywilizacyi, przyjdziemy przed tym pomnikiem uchylić czoła — bo ten pomnik

będzie wyobrazicielem naszych własnych ideałów społecznych, narodowych i ludzkościowych.«

Tym zaś pomnikiem nie może być pomnik Tołstoja.

Nigdy!

* * *

Przypatrzmy się jemu bliżej.

Tołstoj jest ze wszech miar godnym towarzyszem takich myślicieli jak Anglik Carlyle i Niemiec Nietzsche, o których mówiłem Ci poprzednio.

Przez to nie chcę bynajmniej stawiać na jednym stopniu ich umysłu, zdolności i wpływu, który wywierają, ani też ich nauki podciągnąć pod jeden mianownik. Konstatuję fakt, że opinia dzisiejsza każdego z nich wyśrubowała na człowieka wielkiego, genialnego myśliciela, otoczyła aureolą, zapisała o każdym stosy papieru, wychwalając w nich wszystko bez wyjątku, bez różnicy, bez krytyki i nie troszcząc się o to, czy przedmiotem tych pochwał było złoto i drogie kamienie, lub też śmieci, tandeta na urząd podrabiana i fałszowana?

* * *

U Tołstoja trzeba przedewszystkiem zaznaczyć, że jego religia, jak jego filozofia, jest własnego chowu, wyrobu domowego, tak jak nie jeden gospodarz się szczyci, że ma domowe piwo, domowe sukno, powóz własnego wyrobu i t. d.

Otóż był on właśnie w tem oryginalny, że w ten sposób chciał sfabrykować sobie religię. Owocem tego wysiłku jest książeczka o poważnym i pretensyonalnym tytule: »Krótki wykład Ewangelii«. Oczywiście metoda, której się w niej trzyma, jest wyrobu własnego. Wszelkie badania krytyczne, oparte na źródłach historycznych, i zmudne dochodzenia prawdy przechodzą jego siły. Więc się bez nich obchodzi.

Inni się biedzą, uczą latami, studyują języki wschodnie, rujnują zdrowie na szperaniu po bibliotekach i książkach. I po co? Pan hrabia Tołstoj bez wszelkich studyów przygotowawczych, wśród innych swych zajęć, odkrył, ma się rozumieć, prawdę, bo jakżeby mogło być inaczej?

»Co do mnie — powiada na wstępie swego wykładu Ewangelii — jest rzeczą obojętną, czy Chrystus był Bogiem lub nie? Nie widzę potrzeby takiego pytania, ani konieczności dania nań odpowiedzi, jak nie widzę żadnej konieczności ani potrzeby skonstatowania, kto i kiedy napisał Ewangelię? albo kto i kiedy wypowiedział przypowieści w nich zawarte? Czy wogóle nawet był to Chrystus lub inny jaki odpowiadający mu człowiek?«

A dalej:

»1800 lat mija, jak jakiś żebrak się pojawił (w Palestynie) i pewne rzeczy powiedział. Ubiczowano go potem, osądzono i stracono; poczem zapomniano o nim i jego nauce.

»Przez lat dwieście świat o nim nie słyszał nic; aż przypadkiem gdzieś, ktoś sobie przypomniał to, co on powiedział, powtórzył to drugiemu i trzeciemu.... Opowiadanie to poczęło się szerzyć, aż wreszcie niezliczone miliony ludzi mądrych i głupich, uczonych i prostaczków zgodziły się na to, że on był Bogiem.«

Jak na początek, świetne, co?

Ot tak: Bez wielkich ceremonii dochodzi hr. Tołstoj krótką drogą do rezultatów bez żadnego porównania radykalniejszych, niż Strauss, Renan, Haekel i im podobni. Tamci biorą się do swej przewrotnej roboty, fałszując historyę, archeologię, przekręcając lub naciągając odkrycia geologii, paleontologii, etnografii itd., wymyślając nowe zasady krytyki i uczonego badania: przynajmniej mozolą się, trudzą. Tołstoj jeden, bez namysłu odrzuciwszy wszelką krytykę, wszelkie badanie, historyę, wszelką nawet logikę, pozuje na badacza, myśliciela, wynalazcę, proroka, założyciela nowej religii.

Iście po rosyjsku. Już jak sobie pozwalać — to porządnie, jak przeczyć, to przeczyć wszystkiemu, jak robić na przekór — to wszystkim.

Niech żyje nihilizm!

* * *

Po takiem założeniu łatwo się domyślisz, jak hrabia z Jasnej Polany zabiera się do wykładu Ewangelii, jak swoją prawdę od rzekomego odróżnia fałszu?

I tu znowu idzie mu wszystko gładko, jak z płatka, bo on trudności nie zna.

U niego o prawdziwości treści ewangelicznej nie decyduje jakaś tam przestarzała zasada autentyczności historycznej, ani Boskie posłannictwo Chrystusa stwierdzone cudami i proroctwami, — ani wreszcie świadectwo kościołów chrześcijańskich, z urzędu przechowujących naukę Chrystusa i podających ją światu.

Nie! To wszystko balast zbyteczny dla męża tego zakroju, jak Lew Tołstoj...; bo to tylko, co się hr. Lwowi Tołstojowi podoba, jest prawdą; co mu się nie podoba, jest fałszem.

»Ja nie uważam chrystyanizmu ani za bezwzględne objawienie się Pana Boga, ani za fakt historyczny: dla mnie jest to tylko nauka, która życiu daje znaczenie.«

W czterech tedy ewangeliach jest coś, co daje znaczenie życiu. Ale czy tylko to?

Tołstoj sądzi, że nietylko to, bo jest tam jeszcze coś więcej, ale że to w jego oczach życiu znaczenia nie daje, więc nie jest potrzebne; to też bez ceremonii przekreśla to wszystko inne i wyrzuca. Wprawdzie innym ludziom to samo może będzie wydawać się złączonem z pewnem znaczeniem dla ich życia; ale co oni mogą rozumieć?

Lew Tołstoj jest innego zdania, więc mają milczeć....

Dlatego też, jeżeli on n. p. zadecyduje, że wiara w osobowego Boga, Stwórcę nieba i ziemi,

daje znaczenie życiu, to Chrystyanizm i Ewangelia będą na tej wierze polegać, a jeżeli przeciwnie osądzi (co w istocie ma miejsce), że ta wiara tego znaczenia nie daje — to Chrystyanizm polegać będzie na ateizmie.

Tak samo jeżeli mistrz z Polany zadecyduje, że metampsychoza buddyjska, polygamia turecka, poświęcenie się platoniczne dla bliźnich bez oczekiwania nagrody po śmierci itd., — są niezbędne dla nadania znaczenia życiu, to prawdziwym chrześcijaninem będzie jedynie buddysta, mahometanin, muzyk w krasnej koszuli i długich, dziegciem posmarowanych butach, mason pozujący na filantropa itd....

Oto do czego się dochodzi, kiedy się ma religię własnego wyrobu i domowego chowu. —

* * *

Na podstawie takiego krytycyzmu, cóż dziwnego, że nauka ewangeliczna stała się w rękach Tołstoja dziwolągiem nie do poznania. —

Tołstoj rozróżnia w niej część przeczącą — negatywną i twierdzącą — pozytywną.

Przeczącą czyli negatywną nazywa Stary Testament i wszystko co naucza św. Paweł.

Tu należy nauka o Duchu św., różnych chrześcijańskich kościołach, soborach powszechnych.

A ta część negatywna — to według niego kurz i błoto, które z biegiem wieków przyczepiło się do Chrystyanizmu i prawdziwej Ewangelii.

Na nią pan hrabia nie łaskaw; więc ją odrzuca....

Mógłby kto się spytać: Dlaczego tak jest? Myślisz, że on dłużnym zostanie odpowiedzi? On, prorok! No nie, on ją ma na pogotowiu zawsze; »Tak jest, bo tak się jemu, Lwu Tołstojowi podoba. Koniec«.

Tak samo kurzem, błotem, z którego ewangelię oczyścić trzeba, jest pojęcie o Bogu, Królestwie niebieskiem, żywocie wiecznym, czci oddawanej P. Bogu, modlitwie, cudach, Jezusie Chrystusie....

»Teraz początku wszechrzeczy nie trzeba już szukać w Bogu, poza światem, jak dotąd ludzie szukali, ale w znajomości życia. Ta znajomość zajmuje miejsce tego, co ludzie nazywają Bogiem«.

Zrozumiałeś? Jeżeli nie, to pociesz się tem, że nie chodzi o zrozumienie, tylko o to, byś wierzył hrabiemu bezwzględnie, ślepo, pod groźbą, że w oczach panów petersburskich lekarzy zostaniesz zacofańcem, wstecznikiem.

Kto dziś chce w mózgu swoim zapalić światło wiedzy ten powinien Tołstojowi wierzyć....

A Tołstoj, ten wielki myśliciel, zdobędzie się na myśli jeszcze głębsze i jeszcze oryginalniejsze.

»Boga, który jest poza nami, nikt nie widział, nikt poznać nie może: stąd służenie Bogu istniejącemu poza nami nie może kierować naszem życiem«.

Wiesz co, jeżeli wielbiciele rosyjskiego oryginału wychwalają jego znakomity talent pisarski. jego zmysł obserwacyjny, jego styl porywający i inne literackie zalety, to nie tylko, że im się sprzeciwiać nie będę, ale najchętniej do nich się przyłączę, bo Tołstoj jest rzeczywiście pisarzem wielkim. Ale żeby wychwalać jego myślicielstwo, jego filozofię, jego religijność — tego za wiele.

Przecież jest jasne jak na dłoni, że Ewangelista z Jasnej Polany nie przyznaje osobowego Boga, — Boga istniejącego za światem jak Haeckel i jego monistyczna szkoła, że tem samem obala wszelką religię, — i on ma być religijnym, ma być głęboko myślącym?!

Oczywiście nie jest on człowiekiem zwykłym: tylko nadczłowiekiem à la Nietzsche, więc jemu wolno urabiać sobie własne bóstwo, tak jak dawnymi czasy w Europie a dziś w innych częściach świata poganie z kamienia i drzewa urabiają sobie bożków, ale żeby w tem było co wielkiego? żeby to wymagało wyjątkowego natężenia umysłu — to znowu nie.

* * *

Poprostu wstrętnym jest sposób, w jaki maniak z Jasnej Polany wyrażać się ośmiela o osobie Chrystusa. Na to się zdobyć nie mógł, czy nie miał odwagi nawet Strauss, nawet Renan.

Można Chrystusa z Faryzeuszami nienawidzieć, ale nie można lekceważyć, o ile się ma pretensye do pewnej dojrzałości umysłu. —

Dziecku oczywiście w swej naiwności i głupocie pleść wolno koszałki opałki... i to mu ujdzie — ale nie hr. Tołstojowi.

On Pana naszego... lekceważy, mieniąc człowiekiem nieznanym, jakimś tam sobie żebrakiem....

I tamci przeczyli Bóstwu Chrystusa Pana, ale, wobec oczywistości faktów, musieli uznać, że między ludźmi wielkimi, Chrystus był największym.

Tołstoj sam jeden temu zaprzecza, wielkości Mu odmawia. A dlaczego? Bo »nauka człowieka wielkiego nie może dać powodu do różnych sekt, nie może być pojmowaną różnie, a tak jest z nauką Chrystusa«.

Myśliciel zadecydował i tak naturalnie być musi.

Więc Sokrates, Plato, Arystoteles, św. Tomasz, Dante, — nie byli wielkimi ludźmi, bo ich nauka była także różnie przez różnych wykładaną!

* * *

Krótko mówiąc pod siekierą Dalaj Lamy z Jasnej Polany teren nauki ewangelicznej z chwastów(?) i ziela tak gruntownie został oczyszczony, że po usunięciu wszystkiego, co część jej negatywną stanowi, nie zostało nic. Na niebie i ziemi stało się spustoszenie wielkie, wrócił pierwotny chaos. Zginęła historya, zginęło życie wieczne, — niema Boga, niema Chrystusa Pana, niema modlitwy, świątyni i ofiary. —

Szczęściem, że to wszystko stało się tylko na papierze, pod piórem rozmachanego marzyciela-pesymisty.

Nie mniej jednak słusznie nazwać go można nihilistą najczystszej wody, nie czynu, tego typu co Bakunin, ale teoryi, który z wielu względów przypomina fatalistów indyjskich.

Wobec tego niema się co dziwić, że przedstawiciele cerkwi prawosławnej, ocknąwszy się z wiekowego letargu, zdobyli się na wyklęcie Tołstoja. A musieli to uczynić w swej własnej obronie, bo Tołstoj za daleko się już zapędził.

Dziwić się tylko trzeba, że mimo to wszystko posiada Tołstoj, jako myśliciel (?)... teolog (!) tak wielu jeszcze wielbicieli nie tylko w samej Rosyi, ale i poza jej granicami.

Tu mimowoli przychodzą na myśl słowa Pisma św.: »Stultorum infinitus est numerus«.

* * *

Ciekawyś zapewnie, co też w oczach Tołstoja ma być w Ewangelii częścią pozytywną, twierdzącą....

No! nie wiele co....

W ogóle o ile co do części negatywnej okazał się on nihilistą, co do pozytywnej jest kwietystą bez energii i życia.

Tu wyjątkowo jest Tołstoj przynajmniej zgodnym ze sobą i konsekwentnym. Jak Ci wyżej powiedziałem, za jedyne kryteryum prawdy

uznał on właściwość d a w a n i a (w oczach jego) z n a c z e n i a ż y c i u.

Otóż trzymając się tego, sprowadza on normy pozytywne Ewangelii do następnych pięciu:

1. Nie czyń źle nikomu a działaj tak, aby nikogo nie obrażać. 2. Nie wdawaj się w miłostki z kobietami, ani porzucaj tej, z którą żyjesz. 3. Nie przysięgaj. 4. Nie sprzeciwiaj się złemu, znoś niesprawiedliwość, owszem rób więcej niż ludzie od ciebie żądają. Sądów i trybunałów nie uznawaj. 5. Nie rób różnicy między swymi a cudzoziemcami.

Na tych pięciu zasadach polega prawdziwa Ewangelia, prawdziwy Chrystyanizm Tołstoja.

Widzisz stąd, że cała jego nauka, to jakiś nieubłagany stoicyzm, jakaś religia bez Boga, bez prawodawcy, bez nagrody i zwycięstwa sprawiedliwości na świecie, — jakiś turecki czy indyjski fatalizm.

I taka to nauka ma n a d a ć z n a c z e n i e życiu i stać się źródłem wszystkiego, co piękne, dobre i szlachetne!...

Myślałbyś, że Tołstoj sobie z ludzi żartuje: ale on to mówi na seryo.

Tak bardzo zbłądzić może umysł bogato wyposażony od Pana Boga, kiedy się zaślepi pychą i zejdzie z drogi prawdziwej.

* * *

»Ale czemu z niej zeszedł? Czemu prawdy nie znalazł? Przecież on ją na seryo szukał.«

Czemu?

Podobne zapytanie postawił ks. Majewskiemu ktoś z jego znajomych, wręczając mu wydaną w polskim przekładzie »Spowiedź hr. L. Tołstoja[1]).

»Na to najlepszą, jak sądzę, odpowiedzią — pisał czcigodny ks. kanonik w »Myśli Katolickiej« — są słowa Pana Jezusa: »Zaprawdę mówię wam, ktobykolwiek nie przyjął Królestwa Bożego jako dzieciątko — nie wnijdzie do niego« (Marek X. 15).

»Królestwo Boże to objawiona przez Chrystusa nauka i ustanowiony przez Niego Kościół. Ten tylko wejdzie do tego Kościoła i przyjmie podawaną w nim naukę — kto ją przyjmie jak dziecię, t. j. z dziecięcą prostotą i pokorą bez żadnych pysznych, z góry stawianych zastrzeżeń i warunków. Bo:

»Bóg pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaskę dawa (Jakób 4. 6)«. »Wyznawam Tobie Ojcze, Panie nieba i ziemi, żeś te rzeczy zakrył

---

[1]) »Spowiedź Tołstoja« pod względem moralnym nierównie jest przyzwoitszą od takiejże spowiedzi Jana Wolskiego w wysławianej powieści Kosiakiewicza p. t. »Z powrotem«.

»Tołstoj, niech mu to P. Bóg na zasługę policzy — nie lubuje się w rozmazywaniu brudów moralnych, a swoje i cudze grzechy piętnuje i potępia w słowach energicznych, ale przyzwoitych. Dałby Bóg, żeby nasi zwolennicy błędów Tołstoja naśladowali go pod tym względem! — (»Myśl Katol.« nr. 21, 1909, str. 105.)

przed mądrymi i roztropnymi tego świata, a objawiłeś je maluczkim. Tak, Ojcze, iż się tak upodobało przed Tobą« (Mat. 11. 25—26).

»Wiara prawdziwa, wzięta przedmiotowo, jest objawieniem P. Boga, a wzięta subjektywnie, jest darem Bożym, ponieważ człowiek sam, za pomocą jedynie przyrodzonego światła rozumu i przyrodzonych swych sił, nie może jej znaleźć ani nabyć.

»Jeżeli więc kto z góry poweźmie postanowienie Objawienia Bożego nie przyjmować dlatego, że je uważa za niemożebne, lub niepotrzebne albo dla siebie za nieobowięzujące — ten choćby nie wiem jak nad odnalezieniem prawdy pracował, nie znajdzie jej nigdy.

»Będzie podobny do ślepca, błąkającego się w lesie i uderzającego głową o coraz to inne drzewa, będzie utykał o coraz to nowe wątpliwości, będzie wpadał w coraz to nowe błędy; ale prawdy, choćby przypadkiem na nią się natknął, nie pozna, nie zrozumie, nie uwierzy w nią, gdyż żadnej ona dla niego nie przedstawia sankcyi.

* * *

»Jednym z takich błąkających się po omacku ślepców duchownych jest hr. L. Tołstoj.

»Jestem przekonany, że byłby on prawdę znalazł, gdyby jej był szukał tak, jak szukać należy; bo P. Jezus jako światłość oświecająca każdego człowieka, »objawia się szukającym Go w prawdzie, a ukrywa przed

szukającymi Go, jak niegdyś żydzi, w zamiarze zabicia Go w duszach własnych i w duszach innych, słowem i przykładem pociągniętych do zepsucia i niewiary.

»Do takich powiedział Pan Jezus: »Szukać mię będziecie, a nie znajdziecie, a gdziem ja jest, wy przyjść nie możecie... I będziecie mnie szukać i w grzechu waszym pomrzecie«.

»Straszna to kara Boża, którą Chrystus zapowiedział: »Na sądem ja przyszedł, aby ci, którzy nie widzą, widzieli; a którzy widzą — ślepymi się stali« (Jan 9. 39).

»Ten los spotkał L. Tołstoja, bo on szukał niestety! nie prawdy Bożej, ale prawdy własnego wyrobu, biorąc sąd swój osobisty za jedyne kryteryum prawdy.

»I dziwna rzecz! Mimo że ten rozum ciągle go zawodzi, jak to sam przyznaje — on jednak odrzuca Objawienie, a odrzuca dlatego, że ten rozum pojąć ich nie może, że mu się nieprawdopodobnymi, niedorzecznymi wydają«.

* * *

»Ale ostatecznie część pozytywna etyki Tołstoja jest wzięta z Ewangelii«.

Pozornie — tak.

W rzeczywistości ma się sprawa inaczej.

Między postulatami Tołstoja, a przykazaniami Chrystusa zachodzi podobieństwo, ale równocześnie i ogromna różnica, o której zapominać nie trzeba.

Stosunek zachodzi tu mniej więcej taki, jak między człowiekiem wymalowanym na obrazie i człowiekiem żywym. Między jednym i drugim jest podobieństwo, ale przy tem jakże wielka, jakże istotna różnica!

I tak między innymi Tołstoj i Chrystus Pan mówią o przebaczeniu, łagodności, wyrzeczeniu się rzeczy ziemskich, ale jakże w różnem znaczeniu! W miejscach Pisma św. przytaczanych przez Tołstoja, Chrystusowi P. najczęściej nie o przykazanie chodzi, tylko o radę tyczącą się doskonałości ewangelicznej — o ducha łagodności, oderwania się od dóbr tego świata, — o ducha pokory, a to szczególnie u przełożonych, przedstawicieli władzy.

Przez to jednak nie myśli bynajmniej odrzucać On ani wymiaru sprawiedliwości społecznej, a tem mniej występować przeciwko władzy świeckiej, czy też duchownej.

On chce zreformować ducha ludzkiego, a nie wywoływać przewrotów w społeczeństwie.

Tymczasem Tołstoj miesza to wszystko razem i pod płaszczykiem Ewangelii rozpoczyna walkę z ustrojem społecznym zmarłego bizantynizmu, staje się rewolucyonistą w teoryi, zostawiając jednak innym przeprowadzenie jej w praktyce.

* * *

W dodatku nie trzeba zapominać, że ten duch łagodności, oderwania od rzeczy ziemskich, ustępowania innym, odpłacania się dobrem za

złe — jest czemś pięknem, szlachetnem i wzniosłem, ale tylko wtedy, gdy się go bierze w związku z całością nauki Chrystusa Pana, t. j. kiedy się go opiera na wierze w Boga, Stwórcę nieba i ziemi, Pana i Sędziego naszego.

Raz zaprzeczywszy Boskiemu pochodzeniu zasad ewangelicznych, opartych na posłuszeństwie dla Najwyższego Pana i sankcyi, zawartej w wymiarze sprawiedliwości pozagrobowej: — usuwa się z pod nich grunt. Co może być śliczniejszego, jak duże, piękne, zamyślone oko cnotliwego człowieka... ale oko żywe? Weź je, wyłup i połóż na talerzu, a będzie czemś wstrętnem i obrzydliwem.

Tak robi Tołstoj z etyką.

Znosić gwałty i szyderstwa, wyrzekać się praw swoich dlatego, że tak nakazuje P. Bóg, że tak doradza — że jest to jeden ze sposobów Jemu służenia, że wszyscy jesteśmy dziećmi tego samego Ojca Niebieskiego, — że nie my, ale On sam bezpośrednio, ale przez swych przedstawicieli wymierzy kiedyś każdemu sprawiedliwość: — rzecz piękna i szlachetna; ale czynić bez tego, to nonsens, głupstwo, — liść z drzewa zerwany, zwiędły, wyschły.

Czuje to Tołstoj sam, kiedy się w swej »Spowiedzi« z całą otwartością przyznaje do braku niezbędnej w każdej etyce podstawy, jaką daje sankcya.

Teraz widzę jasno, że jedyną mą wiarą, która, obok zwierzęcych instynktów, kierowała mem życiem — była wiara w udoskonalenie (?).

»Ale na czem polegało to udoskonalenie i jakim był jego cel? nie umiałbym powiedzieć. Starałem się doskonalić wolę... doskonaliłem fizycznie wszelkiego rodzaju ćwiczeniami, wyrabiając siłę, zręczność, wytrzymałość i cierpliwość.

»Podstawą moją była, rozumie się doskonałość moralna; ale wkrótce zmieniła się na doskonałość w szerszem znaczeniu, to jest na pragnienie stania się lepszym — nie wobec Boga i samego siebie, ale wobec ludzi.

»W bardzo zaś prędkim czasie i to dążenie, aby być doskonałym wobec ludzi, zmieniło się na pragnienie stania się od innych silniejszym, sławniejszym, znakomitszym, bogatszym« (Spowiedź str. 8).

Gdyby też Tołstoj był pozostał w swoim zawodzie i pracom literackim się tylko oddawał, lepiejby na tem wyszedł i on i wielu jego wielbicieli.

Zachciało mu się bawić w teologa i stało się to, że rozmarzony powieściopisarz, tak się rozkochał w kilku zasadach Chrystusowej nauki, że dla ich uprawy zabrał się do podcinania drzewa, z którego wykwitły, utrzymując, że korzenie, pień, gałęzie — to są naleciałości, to balast niepotrzebny, to kurz i błoto!!...

Wszystkie fabrykaty takich myślicieli jak Tołstoj i jemu podobni, — to religie ludzkie,

a człowiekowi potrzeba religii Boskiej; bo ona tylko dać mu może podstawę w życiu, światło, pokój i szczęście.

Bez niej niema cnoty, bo niema sankcyi. »A bez sankcyi, jak zauważył Jan Jakób Rousseau, daremne wszelkie usiłowanie, aby na postulatach rozumu zbudować gmach moralności i etyki. Niech przyjdzie silniejsza pokusa, a rozpadnie się on w gruzy. Jedynie myśl o strasznej odpowiedzialności i miejscu kar wiekuistych zapewnić mu może trwałość. — Bez piekła, niema cnotliwego człowieka i nie może go być«.

* * *

PS: Wiadomość o nagłym i smutnym zgonie Emila Zoli zaskoczyła mię właśnie, gdy list ten chciałem oddać na pocztę, — otwieram go tedy, aby, uprzedzając Twoje pytanie, powiedzieć Ci, co o tym nieszczęsnym człowieku sądzę, albo raczej co o nim sądzą inni ludzie wytrawni, których o stronniczość posądzać trudno.

Zola, pierwszy powiada Anatol France, potrafił nagromadzić tak wielką kupę brudu, bo nikt przed nim nie wysilił się tak bardzo na poniżenie ludzkości i zbezczeszczenie pojęcia piękna wydaniem wojny wszystkiemu, co szlachetne, piękne i dobre. Dzieło jego — to przewrotność, a on sam — to jeden z tych ludzi nieszczęśliwych, o których można powiedzieć,

że lepiejby było, żeby na świat nie byli się narodzili«[1]).

Brunetiére jeszcze wtedy, gdy był niewierzącym, nazwał Zolę »gangreną pornograficzną literatury«, dodając: »że mu braknie smaku, ducha, delikatności psychologicznej, zmysłu etycznego«.

Clémenceau, nazywa jego pisma: »nadmiarem obfitości ludzkiego świństwa (cochonerie), przeznaczonego do rozbudzania go w czytelnikach«.

A Suau zadowalnia się zacytowaniem słów samego Zoli, napisanych w 1866 r.: »Nienawiść — to rzecz święta, jako objaw oburzenia serc silnych i potężnych, — oburzenia wojowniczego ludzi, potykających się z miernotą i głupstwem.

»Nienawidzieć znaczy tyle, co kochać — co czuć w sobie duszę gorącą i wspaniałomyślną, — co żyć szeroko pogardą wszelkiej obrzydliwości i bestyalstwa. Nienawiść pokrzepia, nienawiść czyni sprawiedliwość, nienawiść wywyższa człowieka«[2]).

»Zapomnij, czytelniku, dodaje Suau, coś dopiero przeczytał, abyś nie miał pokusy nienawidzenia tego, co te słowa napisał«[3]), poczem wykazuje, że Zola był człowiekiem fałszywym, brudnym i złym.

---

[1]) Vie litteraire.
[2]) Mes Haines.
[3]) Etudes religieuses.

Cóż dziwnego, że niektóre rządy (jak np. angielski i japoński) utworów Zoli nie pozwoliły przewozić przez granicę.

Smutny też był i koniec Zoli. Śmierć nagła od zaczadzenia, głową na dół.

Jakie życie, taka śmierć.

List XI.

Indywidualizm i postęp.

Na czem polega istota prawdziwego postępu? — Na czem polega ideał człowieka? — »Fałsz i grzech — to nie postęp, ale zacofanie«. — Postęp nie wyklucza autorytetu (Lutosławski) — ani nieomylności powagi nauczającej w imieniu P. Boga (Fryderyk Szyller) — ani niezmienności określeń kościelnych (Dr. Mausbach, Hettinger). — Ampère. — Elektrotechnika i Kościół katolicki. — Ludzie bez charakteru. — Ravul Pictet. — Bolesław Prus. — Dwie gwiazdy przewodnie wychowania. — Zwalczanie namiętności. — Bojaźń Boża. — Tresura i wychowanie. — Kierownicy dusz niepowołani.

»Co? postęp w Kościele — wołają na wszystkie tony, dzisiejsi wrogowie naszej wiary. — Postęp w Kościele katolickim, który od swych wyznawców żąda bezwzględnego poddania rozumu pod jarzmo swej powagi nieomylnej? Cóż bardziej sprzeciwiać się może wszelkiemu rozwojowi, posuwaniu naprzód, jednem słowem postępowi, jak nie to zasklepienie się, skrystalizowanie w jednej i tej samej nie mogącej się zmienić formule?

»Kościół i konserwatyzm, sztywny, zimny, martwy — tak; ale Kościół i postęp — nigdy.«

A jednak, mój drogi, Kościół i postęp a postęp zarówno indywidualny jak i społeczny — to fakt.

* * *

Postęp! postęp: czem w gruncie rzeczy on jest?

Postęp jest tam, gdzie jest postępowanie, ale postępowanie naprzód. — Kto tylko się rusza, choćby najszybciej, ten niekoniecznie jeszcze postępuje. — To zależy od kierunku, w jakim się porusza. —

Jeżeli chcesz trafić do Lwowa, a wsiadasz na dworcu krakowskim do wiedeńskiego kuryera, to będziesz pędzić naprzód, ale nie postępować; owszem Ty raczej będziesz się cofać, bo ruch Twój oddalać cię będzie coraz więcej od Twego celu.

Postęp, mój drogi, jest ruchem, zmianą, ale zmianą na lepsze. Stąd postępować w danym kierunku znaczy tyle co się doskonalić.

Oczywiście, stąd i postęp indywidualny człowieka polega na jego udoskonaleniu, zbliżeniu do ideału — czyli, że postępuje on o tyle, o ile staje się lepszym, do pierwowzoru swego bardziej zbliżonym. —

Ale na czém ten pierwowzór jego polega? Czem jest człowiek idealny?

* * *

Tylko mnie dobrze zrozumiej. —

Mówiąc o ideale człowieku nie myślę bynajmniej zajmować się tem, co ludzie nieraz pod wpływem egzaltacyi, rozbudzonej wyobraźni, szczególnie w młodych latach za swój uważają ideał. Wiem przecie, że dla zakochanych przedmiot miłości jest zawsze ideałem, ze wszech miar wykończonym, bez zmazy i szczerby, w gruncie rzeczy jednak ideałem tylko pozornym, od subjektywnego usposobienia zależnym.

Kiedy chodzi o postęp indywidualny, rzeczywisty, ideał człowieka trzeba rozumieć inaczej. Jest nim człowiek w pełnym rozwoju władz swych typowo ludzkich t. j. rozumu i woli. Wszystko tedy, co te dwie władze udoskonala, uszlachetnia, podnosi, wzbogaca ale nie pozornie tylko rzeczywiście, — to i tylko to stanowi jego postęp. —

Tak! kwestya postępu indywidualnego człowieka redukuje się ostatecznie do kwestyi wzbogacenia rozumu jego przez prawdę a woli jego — przez dobro etyczne. Przecież człowiek sam wśród miliardów jednostek roślinnych i zwierzęcych może myśleć i chcieć. Im więcej w jednym i drugim kierunku się udoskonali, tym bardziej akcentuje swą indywidualność, tym lepszym będzie człowiekiem, tym bardziej do ideału swego się zbliży.

Jeżeli tedy jest prawdą, co utrzymują nasi wrogowie, że Kościoł jest wrogiem postępu — to trzeba przedewszystkiem wykazać, że Kościół

utrudnia umysłowi ludzkiemu zdobycie prawdy, a woli ludzkiej — etyczne jej wyrobienie.

No, mój drogi, tego nikt nie dokazał i nie dokaże, a pierwsze lepsze dziecko, co dobrze umie katechizm, potrafi wytłomaczyć, dlaczego i w jednym i drugim kierunku Kościół przeciwnie przez swą naukę i Sakramenta przyczynia się najskuteczniej do moralnego rozwoju, a więc postępu zarówno rozumu ludzkiego jak i jego woli. —

* * *

»Wiemy jak potężnym jest wpływ dusz wielkich, co świat zwyciężywszy, poświęcili się w ofierze Bogu, Dobru Najwyższemu i Prawdzie niezgłębionej, — jak każde ich słowo, ich przykład wspomnienie innych pobudza, podnieca, porywa! — A pochodzi to z wrodzonej każdemu człowiekowi tęsknoty za czemś wyższem — za prawdą i dobrem. Jakże trudno mu przychodzi iść za ludźmi, u których horyzont wiedzy jest ograniczony a wola przewrotną....

»Choć oni do namiętności przemawiać będą, nie porwą za sobą, jeżeli się nie ustroją w pstre hasła: Wolności, miłości, nauki i tym podobne, słowa u nich bez treści.

»Ci potomkowie nieodrodni rajskiego węża, wiedzą to dobrze. To też występują zawsze w imieniu czegoś wielkiego, pięknego, Boskiego — co w sercu naszem znajduje oddźwięk,

a gdy nas tem uśpią, przez kłamstwo swe i przewrotność odbierają nam życie.«[1])

Rozum potrzebuje prawdy a wola szuka dobra, bo jak ryba do pływania a ptak do latania — tak dusza ludzka stworzona jest dla prawdy i dobra. —

Tak! ale dla prawdy i dobra rzeczywistego, nie tylko pozornego. Prawda pozorna a w gruncie rzeczy fałsz, człowieka nie posuwa naprzód, jak ciału jego sił i życia nie dodaje trucizna.

Podobnież nie posuwa go dobro pozorne, dające woli sposobność do grzechu.

Fałsz i grzech człowieka nie wzbogacą, jak nie wzbogaca go moneta fałszywa i banknot podrobiony. Taki może się subjektywnie uważać za bogatego, ale któż powie, że jest nim rzeczywiście?

Tak samo kto sądzi, że się znajduje na dobrej drodze, a trafił na fałszywą, ten od celu swej podróży się oddala, czas traci i w gruncie rzeczy, choć bezwiednie, się cofa.

Stąd każdy co wpadnie w błąd jakikolwiek lub spełnia zły uczynek, choćby bezwiednie i w dobrej wierze, — ten nie postępuje, ale się cofa, bo się nie udoskonala. —

Za to przeciwnie każde poznanie nowej prawdy albo pogłębienie już znanej, — każdy uczynek cnotliwy posuwa nas naprzód. —

---

[1]) Hr. Hahn-Hahn — Aus Jerusalem. S. 22. 22. 23.

Kiedy mówię o prawdzie mam na myśli nie tylko prawdę objawioną przez P. Boga, ale wogóle zdobytą czy to przez badanie rozumu, własne doświadczenie lub świadectwo wiarogodne innych.

* * *

I wobec postępu indywidualnego tak pojętego miałby być Kościół przeszkodą?

Dlaczego?

»Jeżeli już tak ma być koniecznie, pisze ks. Laforet, profesor Lowańskiego uniwersytetu, to może być tylko dla jednej z trzech następujących przyczyn, albo: 1) że Kościół jest taką przeszkodzą, gdyż rządzi się autorytetem, wymagając bezwzględnego posłuszeństwa w nauce wiary i obyczajów, albo, że 2) ten autorytet nie jest oparty na wystarczającej powadze, albo wreszcie dlatego, że 3) jego decyzye i określenia są niezmienne. Otóż ani jedno ani drugie ani trzecie. —

»Więc taką przeszkodą Kościół nie jest.«

Nie jest sam autorytet Kościoła, jako taki.

Wiem, mój drogi, że jest sporo postępowców samozwańczych, podrobionych, którym ten autorytet zawadza do tego stopnia, że się z odwagą godną lepszej sprawy wszelkiego wyrzekają autorytetu.

Biedni! szkoda, że nie widzą, jak wielkie popełniają głupstwo.

»Sąd naukowy, samodzielny, autonomiczny — pisze w tym względzie bardzo trafnie prof. Lutosławski — wydać może ten tylko, kto wszystkie przesłanki ma sam w swej świadomości, inaczej musi zdać się na cudzą powagę.

»To poleganie na cudzej powadze tak zrosło się z naszem życiem, że, gdy dwóch ludzi myślących i wykształconych dysputuje a jeden z nich znajdzie potwierdzenie mniemania swego w kilku encyklopedyach, to uważać je będzie mimowoli za rozstrzygające, choćby doskonale skądinąd zdawał sobie sprawę, ile błędów każda taka encyklopedya zawiera i na jak kruchych podstawach erudycya większej części współpracowników jej się opiera. — Ogromna większość sądów naukowych, będących w obiegu, nawet wśród uczonych — to dogmata naukowej wiary, przez wyznawców nauki ślepo przyjmowane.

»Prawdziwie autonomiczną wiedzę naukową mieć może człowiek zaledwie w kilku przedmiotach, którymi się zajmował wyczerpująco.

»Gdy obcujemy z ludźmi nauki, którzy oryginalnym badaniom poświęcili większą część życia — spostrzegamy, jak rzadko wydają sądy bezwzględne, a jak często, mówiąc o rzeczach najdokładniej sobie znanych, zaopatrują swe zdanie w różne zastrzeżenia...

— »Ci zaś, co sami niczego nie zbadali, i żadnych odkryć nie uczynili, wiedzę swą czerpiąc z drugiej lub trzeciej ręki — są najczęściej

najupartszymi obrońcami upodobanych przez siebie sądów naukowych.

— »Gdybyśmy do wiedzy (autonomicznej) zaliczyć chcieli wszystko, co u najuczeńszego człowieka kiedykolwiek nią było, to i tak do życiaby nam nie wystarczyło, bo mimo to na każdym kroku uciekaćbyśmy się musieli do wiary.

— »Trzeba oprzeć się na wierze w autorytet nauczyciela, by w jakiemkolwiek rzemiośle, w jakimkolwiek przemyśle, w jakiejkolwiek działalności artystycznej lub społecznej zdobyć sobie wprawność. We wszystkich tych kierunkach przyjmujemy na wiarę wskazówki kompetentnych ludzi.

»Wiara we wszystkich stosunkach ludzkich tak przeważa nad wiedzą, że niema nadziei byśmy się bez niej obyć mogli nawet w urzeczywistnieniu najśmielszych oczekiwań co do rozwoju myśli ludzkiej i naukowych badań«[1]).

. . . . . .

Jeżeli tedy wiara w autorytet ludzki jest warunkiem niezbędnym wyrobienia się a cóż dopiero udoskonalenia w każdej gałęzi działalności ludzkiej — jakże może być przeszkodą w wyrobieniu się rozumu i woli? w postępie indywidualnym człowieka?

Więc przez to samo, że w pewnych razach wymaga Kościół poddania się swej powadze,

1) Religia w życiu narodowem.

przeszkody w tym względzie człowiekowi nie stawia.

* * *

Ale może takie całkowite bezwzględne poddanie się ubliża godności człowieka i wstrzymuje w rozwoju?

I to nie. Gdyby takiego poddania wymagał Kościół, nie będąc sam zabezpieczonym od błędu, — to byłby żądał za wiele.

Tymczasem, jak Ci to gdzieindziej wykazałem, Kościół jest nieomylny: więc w tych wszystkich wypadkach, w których w osobie głowy swej widomej, Papieża, żąda on od nas poddania bezwzględnego rozumu pod swe wyroki, — podaje rozumowi naszemu prawdę, a każda prawda posuwa człowieka naprzód. —

»Widziano cesarzów i królów — pisze Szyller — widziano wybitnych mężów stanu i wielkich wojowników jak wśród nieprzyjaznych okoliczności, wyrzekali się praw swoich, ulegając konieczności sprzeniewierzali się swym zasadom; — ale u Papieży nie widziano tego nigdy. Nawet gdy w nędzy pogrążeni, wygnani, błąkali się po świecie, opuszczeni od ludzi, żyjąc z miłosierdzia, — jednak praw swych, swego Kościoła i swego tronu nie wyrzekli się nigdy. I choć się pomiędzy sobą różnili temperamentem, zdolnościami, sposobem myślenia — w polityce byli jednostajni, niezmienni. Ich indywidualność wsiąkała, że tak powiem w ich godność. Tyara gasiła

namiętność. I choć ze śmiercią każdego z nich łańcuch następstwa się przerywał a przy wstąpieniu na tron papieski na nowo się nawiązywał, — choć na żadnym tronie ziemskim zmiany panujących nie były tak częste: to jednak ich tron jedynie zdawał się nigdy nie zmieniać swego pana. Papieże wprawdzie umierali, ale nie umierało papiestwo, nie umierał duch nieśmiertelny, który ich ożywiał«[1]).

Iść przez świat za takim wodzem, mój drogi, który tak pewnym jest swego, że przez 19 wieków, mimo największe przeciwności, nie zachwiał się nigdy — to znaczy łódź swego szczęścia powierzyć sternikowi dobremu.

Taki potrafi poprowadzić cię naprzód, wskazać drogę postępu.

* * *

Ale może wreszcie fakt sam niezmienności papieskich decyzyi wyklucza postęp indywidualny tych, co im się poddają.

I to także nie.

Jeżeli jestem w pociągu, jadącym do Warszawy, z każdą chwilą położenie moje na ziemi się zmienia, — droga moja na swój sposób się wydoskonala, zbliża do swego końca, w całem znaczeniu tego słowa postępuje naprzód, a jednak Warszawa z miejsca się nie rusza.

---

1) Universal-historische Uebersicht der merkwürdigsten Staatsbegebenheiten zur Zeit Kaiser Friedrich des I.

Tak jest i z prawdami religijnemi. Prawdy wiary św., które przed nami Kościół św. roztacza, są w sobie niezmienne, niewzruszone i jako takie niezdolne do wydoskonalenia, t. j. do postępu; ale przyswajanie ich sobie przez nas, ich opanowywanie, zgłębianie — może być coraz lepsze, większe, doskonalsze.

»Zasady wiary św. są w sobie niezmienne — pisze prof. dr. Mausbach — ale nie tak jak niezmiennym jest kamień, tylko jak niezmiennem jest drzewo, które, pozostając zawsze tem samem, jednak przez wieki nieraz całe rośnie, wzmacnia się, rozwija.

»Etyczne zasady Ewangelii — to potęgi żyjące, których treść w całej pełni się objawia w dziejach ludzkości przez wpływ na ducha ludzkiego. — W sobie niezmienne, zawsze te same, kształty mają rozmaite, dostosowujące się do pojętności pojedyńczych ludzi i potrzeb pojedyńczych czasów. — W swem orędziu do biskupów włoskich, wydanem w dzień Zielonych Świątek (1905 roku) powiada Pius X: »W dziejach Kościoła mamy niezliczone dowody dziwnego daru, jaki od P. Boga otrzymał, dostosowywania się do zmiennych warunków każdorazowego społeczeństwa, tak, że mimo niezmienność swych dogmatów i zasad etycznych potrafił on zawsze dostosować się do wszystkich stopni kultury i wszystkich potrzeb ludzkości[1]).

[1]) Mowa na wiecu katolickim w Strassburgu 1905.

»Przyrodnik, otwierając nasienie, mimo swą wiedzę i zmysł spostrzegawczą, nie zawsze może poznać, do czego jest zdolna siła życiowa w niem zawarta? co przy sprzyjających warunkach może ona stworzyć? na co wyrość?

»Tak samo nie tylko poganie ale i wyznawcy Chrystusa byli bardzo dalecy od poznania potęgi i życiowości twórczej sił wśród nich w kościele złożonych, ich pieczy i zarządowi powierzonych.

»Co innego my. My mamy za sobą 20 wieków dziejów Kościoła; to też możemy śledzić pojedyńcze fazy tego z wewnętrzną koniecznością rozwijającego się procesu życiowego, możemy przy niezmiennej pełni samej treści badać coraz to doskonalsze jej przejawy, wcielenia różne, począwszy od form niewykończonych, początkujących, właściwych czasów apostolskich«[1]).

* * *

»Z punktu widzenia wiary św. — pisze Ozanam — zapatrywał się Ampére na wszystko.. nawet na wiedzę... Widzieliśmy, jak ten mąż czcigodny, ten wielki myśliciel przed każdą tajemnicą wiary św. bez żadnej trudności się korzył aż do poziomu, jaki Kościół św. w swem nauczaniu zakreśla — i klękał przed tym samym ołtarzem, przed którym klękali Karte-

[1]) Hettinger Apologie VIII Aup. B III S. 3—4.

zyusz, Paskal, klęka uboga wdowa i niewinne dziecko, ale z większą, niż oni, pokorą.

»Jakże starannie, sumiennie zachowywał on wszystkie najdrobniejsze przepisy i zwyczaje Kościoła, dla zepsutej natury nieraz uciążliwe, ale dla serca wierzącego zawsze słodkie i drogie.

»Cóż dziwnego, że pod wpływem wiary św. w jego wielkiej duszy dojrzewały owoce wszelkiej cnoty: Ta jego przedziwna prostota, — ta skromność genialnego jego umysłu, ta wspaniałomyślność, to szukanie prawdy dla niej samej, bez żadnych ubocznych względów, — ta przyjacielska czynność i wreszcie to jego serce otwarte dla wszystkich, szczególnie dla młodzieży.

»Tak! myśmy to wszystko w nim widzieli, — my, o których troszczył się jak ojciec.

»Kto znał tylko potęgę jego umysłu, a nie poznał jego serca, ten znał tylko mniej doskonałą część jego ducha.

»Ten człowiek wiele myślał, ale jeszcze więcej kochał....

»Rozmowy jego kończyły się zazwyczaj podniesieniem myśli do P. Boga. — Wtedy brał swe szerokie czoło w obie ręce i wołał: »Jakże wielkim jest Bóg, Ozanamie! Jakże wielkim jest! a jakże małą, strasznie małą jest nasza wiedza«[1]).

---

[1]) Oevres complètes de A. F. Ozanam VIII. p. 89 i X. 3—7 (Paris 1872).

Ampère — to indywidualność potężna — tego nikt nie zaprzeczy, mój drogi. Umysł czynny, rzutki, głęboki, twórczy, jak mało u kogo.

Przecież Ampère'owi wystarczyło kilka tygodni, aby, na podstawie odkryć przypadkowych fizyka duńskiego Oerstedta, sformułować sławne prawa, które, stwarzając elektrodynamikę, niebywałe światu otworzyły horyzonty. —

Gdyby nie potęga jego geniuszu, kto wie, czybyśmy już mieli to wszystko, co nam daje wydoskonalająca się z dniem każdym elektrotechnika.

A jak widzisz z zeznania Ozanama, Ampèra w postępie jego indywidualności wiara św. nietylko nie krępowała, ale przeciwnie dodawała bodźca.

Czyżby miała krępować innych?

* * *

Mój Ty najdroższy! Jakże ten biedny człowiek jest nieraz niemądry!...

Białe u niego czarnem, a czarne — białem.

Ot weź np. u nas. Mnie i ciebie i tysiąc nam podobnych, między którymi byli w pierwszych szeregach Ampère, Volta, Galvani, Secchi, Pasteur, Chevreuil etc. etc. — dlatego żeśmy katolikami wierzącymi, praktykującymi, t. zw. **postępowcy** odsądzają od czci i wiary, zwą zacofańcami, wstecznikami, zaśniedziałymi zabytkami innych czasów, — wtedy gdy oni sami uważają siebie za rycerzy

postępu, oświaty, cywilizacyi, przypisując sobie wszystko, co rozum ludzki odkrył, wynalazł i dla pożytku innych dostosował.

Faryzeusze, blagierzy, szarlatany, kłamcy!

Oni! postępowcy! szczycą się oczywiście także nowoczesną techniką, działającą cuda pod znakiem elektryczności, z której tajemniczą siłą jak najściślej jest związane ostatnie słowo wiedzy, i jej zastosowania. Do niej należy przyszłość.

Otóż kiedy taki postępowiec, wykształcony powierzchownie, w tramwaju elektrycznym wygodnie się usadowiwszy, pędzi szybko przez ulice, oświecone złocistym blaskiem lamp Edisona, lub kiedy przez telefon na odległość setek kilometrów rozmawia, albo gdy myślom swoim wyprzedzać każe najszybsze pociągi, statki i śle je po drutach kablu do Ameryki i Australii aż hen! na koniec świata: — i spostrzeże przechodzącego kapłana, to się uśmiechnie i wzruszy ramionami..... myśląc z pogardą o przeszłości, wierze średnich wieków.... mówiąc o zacofaniu i klerykalnej ciemnocie.... on, niby wykształcony.....

A tymczasem, gdyby był wykształconym na prawdę, toby wiedział, że nie byłoby ani tych omnibusów elektrycznych, ani tych telefonów, ani telegrafów, ani tych wszystkich wygód, które mu elektrotechnika przynosi, jeśliby na tę część sił przyrody, którą zowie elektrycznością, światło swojego genialnego rozumu nie zwrócił Volta, Ampère, Galvani, Ohm....

wszystko ludzie oświeceni wiarą, głęboko przekonani o wierze, do swych badań i odkryć pobudzeni i zachęcani przez wiarę, — onby wiedział, że do tego wszystkiego ci mężowie nie byliby przyszli, gdyby nie ta wiara....

Więc wiara i to katolicka przydała się na coś i tym, którzy nią dzisiaj gardzą....

Gdyby oni myśleli!.... ale oni myśleć nie chcą czy nie mogą; oni może nie wiedzą.... oni są ignorantami i dlatego gardzą....

Tak, postępowcami, nie postępowymi, są Świętochowski i jego plejada.

Postępowymi jesteśmy my.

* * *

Klucz do prawdziwego postępu indywidualnego posiadamy my chrześcijanie, katolicy....

Bo my katolicy posiadamy niechybny środek na wyrabianie ludzi silnej woli, ludzi charakteru.

»Jestem człowiekiem przekonań niezależnych, choć nie robię z tego wystawy — pisze Bolesław Prus. — Nie krępuje mnie żaden dogmat, żadna formuła. Tem śmielej mogę powiedzieć: Nie podkopujcie (panowie postępowcy) religii, gdzie ona istnieje, gdyż religia to ważny organ życia społecznego. Nie róbcie sportu z niedowiarstwa, gdyż zabawą tą na wiele lat, jeżeli nie pokoleń, możecie zgnoić ojczyznę.

»Już i dziś snują się przed naszemi oczami całe tłumy charakterów marnych, cała

dywizya ludzi »chorych na brak woli«, których mnożenie się zawdzięczamy — propagandzie filozofii materyalistycznej.

»Ten zabójczy wpływ objawił się nie tylko u nas.

»Oto co mówi o nim znakomity uczony i wynalazca Raul Pictet[1]).

»Idee materyalistyczne, wykładane młodzieży w imię nauki, poczęły w niej kiełkować i wywydawać swe owoce. Ta młodzież nieszczęsna wierzy, iż wszystko, co zachodzi w świecie, jest skutkiem koniecznym i fatalnym przyczyn, na które wola ich wpływu nie ma, — jest przekonaną, że jej własne istnienie — to igraszka niezwalczonej konieczności, do której ze związanemi rękami i nogami jest przykutą. Toteż, zetknąwszy się z pierwszą lepszą przeszkodą, przestaje walczyć.... bo nie wierzy w siebie, w swe siły. ....Takie trupy żyjące spotykałem przy pulpitach i laboratoryach i przykro mi było na nich patrzeć....«

* * *

»Olbrzymi tom, o 600 stronicach, poświęcił Pictet przekonywaniem tych »trupów żyjących«, że teorye »materyalistyczne, bez krytyki przyjęte, są fałszywe« i że powinniby oni uwierzyć, powinniby głęboko odczuć, iż »energia ich nie jest przywidzeniem.... powinniby rozpocząć życie z tem nowem przekonaniem, z siłami do walki

[1]) Etude critique du materialisme et du spiritualisme.

i trudów, i stać się ludźmi pracowitymi i dzielnymi«.

»Otóż trzeba dobrze zapamiętać, że chrystyanizm wogóle, a katolicyzm w szczególności, wszelkie usiłowanie skierował do tego celu, aby rozbudzić, rozwinąć i spotęgować wolę ludzką.

»Spowiedź, posłuszeństwo, posty i rozmaite umartwienia, groza mąk piekielnych i mnóstwo innych środków: wszystko to prowadzi do wyrobienia i umocnienia woli. A więc choćby ten jeden szczegół nadaje niepożytą wartość chrześcijaństwu i katolicyzmowi i powinienby zachęcać do oględnego traktowania religii, posiadającej jeszcze i inną zaletę, że: w pojęciu Boga wszechmocnego, wszechobecnego, wszechwiedzącego, sprawiedliwego, miłosiernego i t. d. dała swym wyznawcom najpiękniejszy wiekuisty ideał, niewyczerpany wzór do naśladowania« [1]).

Mój drogi, to pisze człowiek nie wierzący, ale myślący, rozumny i dobrej woli....

Nie dalekim zaiste! jest prawdy. Jeszcze narkoza racyonalizmu na nerwy jego działa, ale krew chrześcijańska poczyna do przytomności go przywoływać.

Oby czemprędzej przywołała zupełnie!

* * *

Dla nas świadectwo jego tymczasem jest decydujące.

---

[1]) Tyg. illustr. nr. 13, 1910, str. 253.

Klucz do postępu człowieka, do ideału jego prawdziwego, jak powiedziałem, posiadamy my, bo najpierw my go mamy.

»Wiara św. uczy nas, że człowiek początkowo stworzony został na obraz i podobieństwo Boże z ciałem bez skazy, duszą nieśmiertelną — i przyjętym przez P. Boga za syna. Wtedy nic w świecie harmonii nie zakłócało i ciało człowiecze poddane było duchowi, a duch z ciałem P. Bogu, jak dziecko — ojcu, dobrowolnie, z miłości; ziemia zaś — człowiekowi.

»Wtedy wszystko było dobre, bardzo dobre, i gdyby człowiek Boskiemu Wychowawcy swemu dał się dalej kształcić i wyrabiać, obraz Boży w nim wyryty, byłby się stawał z każdą chwilą doskonalszy, ażby w końcu doszedł do wykończenia, przewidzianego z góry, poczemby nastąpiło przyłączenie jego do istot wyższych przez osiągnięcie celu, jaki mu Stwórca zakreślił....

»Oto dwie prawdy, na których cały gmach wychowania spoczywa. Jeżeli człowieka stwarzając, uczynił go P. Bóg swem dzieckiem, — jeżeli go przeznaczył do zajęcia miejsca w kole rodziny sobie najbliższej: — to wychowanie człowieka, postęp i rozwój jego indywidualny, spokój jego i szczęście na tych prawdach opierać się powinno.«[1])

---

[1]) Ad. Kolping, Doctor Fliederstrauch B. II, S. 58, 59.

W ten sposób wiara św. katolicka i ona jedna wskazuje nam ideał człowieka prawdziwy.

* * *

Ona jedna także pozwala nam go osięgnąć. Na przeszkodzie bowiem w osiągnięciu jego stają namiętności, jako skutki pierworodnego grzechu.

W liście do Rzymian powiada Paweł św.: »Wiemy, że zakon jest duchowny, a jam jest »cielesny, zaprzedany pod grzech... bo nie, co »dobrego chcę, — to czynię, ale złe, którego »nienawidzę, ono czynię; ale teraz nie ja to »czynię, ale grzech, który we mnie mieszka; »bo wiem, że nie mieszka we mnie (to jest »w ciele mojem) dobre, albowiem chcieć przy »mnie jest, ale wykonać dobrze, nie.... Widzę »inny zakon w członkach moich, sprzeciwiający »się zakonowi umysłu mojego i biorący mnie »w niewolę w zakonie grzechu, który jest w członkach moich.« (7, 17—23.)

Krótko a węzłowato. W tych kilku słowach daje Apostół Narodów wytłomaczenie tego, co się wewnątrz nas dzieje, — wyjaśnia najtrudniejsze zadanie, jakie starożytna filozofia znała: »Człowiecze! poznaj siebie samego!« (Γνωθι σεαυτόν.)

Nauczeni przez niego, my teraz wiemy, że w członkach naszych, t. j. w ciele naszem, mieszka złe — coś co nas porywa, ciągnie do gniewu, rozkoszy zakazanych, wygód i dóbr

ziemskich, co nas przykuwa do ziemi, zmusza do dogodzenia sobie.

To tak w »członkach naszych«.

Za to w umyśle naszym jest coś znowu, co nam wystawia świadectwo, że to jest złem, — coś, co nas od tamtego odciąga....

I tak »są w niej myśli między sobą różne: albo oskarżające (nas) albo wymawiające«.

Innemi słowy jest w nas sumienie. Duch chciałby zapanować nad ciałem, ale brak mu po temu sił; to też idzie on w niewolę grzechu, chyba, że podniósłszy oczy do nieba, przyzwie na pomoc Tego, co »świat zwyciężył i dał łaskę ludziom«, — łaskę, ukrytą w Sakramentach św., w kornej i wytrwałej modlitwie, w dobrych uczynkach.

* * *

Dlatego też zasadą podstawową postępu człowieka i dobrego wychowania jest walka.

Serce człowieka: a więc i serce dziecka — pisze tenże »ojciec robotników« Kolping — samo przez się zwraca się do P. Boga, ale ponieważ to serce przez grzech zostało zepsutem i ciągnie je do złego, obowiązkiem wychowawcy jest trzymać zło od dziecka zdala jaknajdłużej, — rozwijając tymczasem i wzmacniając w niem to, co jest dobrego.

»Dlatego trzeba w niem wyrabiać ducha religijnego, tj. pobożność i bojaźń Bożą, aby nią przeniknięte, stało się z góry uzbrojo-

nem zarówno przeciw swej ułomnej, do złego skłonnej naturze, jak i przeciw złym przykładom.«[1])

»Bojaźń Boża — to jedynie pewna podstawa wychowania. Dziecko powinno nauczyć się jak najwcześniej bać się grzechu, jako obrazy swego Stwórcy i Zbawiciela, bo z takiej bojaźni wyrastają potrzebne w walkach naszych cnoty: czujność, panowanie nad sobą, ofiarność, wytrwałość. — Jeżeli powiem dziecku: »Masz zawsze dobrze i szlachetnie, wspaniałomyślnie działać«, — nie wiele go nauczę, owszem bezwiednie położę fundament pod egoizm, próżność i pychę.

»To też kiedy w latach późniejszych stanie na krzyżujących się drogach, gdzie będzie miało do wyboru: Służyć Bogu lub sobie — ono albo upadnie na duchu, skarżąc się, że to jego siły przechodzi, albo z głową podniesioną wmawiać w siebie pocznie: »Tak jest dobrze i szlachetnie jak mi się podoba« — i w jednym i w drugim wypadku zginie.

»Jeżeli zaś bojaźń Boża serce jego przeniknie, bez wahania w takiej chwili zawoła: »Tobie chcę, Panie, służyć. Pomóż mi to uczynić.«[2])

* * *

Oczywiście, kiedy tak jest, zadaniem pedagogii i dobrego wychowania musi być z jednej

---

[1]) Ad Kolping. Doctor Fliederstrauch. Bd. I, S. 234.

[2]) Hr. Hahn-Hahn, Der breite Weg. B. I. S. 325, 326

strony stłumianie zapędów owego »zakonu członków naszych, czyli złych skłonności — a z drugiej przyzwyczajanie się do używania środków, które wiara św. podaje, — środków niezbędnych do udoskonalenia się i postępu... i to jak najprędzej.

W człowieku znacznie wcześniej od ducha rozwijać się poczyna ciało. Rozum, a z nim głos sumienia jeszcze długo w dziecku śpi, pogrążony w letargu, gdy już namiętność tem gwałtowniejsza, że niczem nie pohamowana, wylewać się poczyna na zewnątrz.

»Już u najmniejszego dziecka spostrzedz można, że ma wolę własną. Nie mogąc inaczej, ogłasza ją światu rączkami i nóżkami, a przedewszystkiem krzykiem.

»Kto nie umie nad wolą tą niemowlęcą w pieluszkach już zapanować — ten już wtedy poczyna je źle wychowywać.[1])

Czyż nie widziałeś nigdy, mój drogi, dwu- albo trzyletnie dzieci, rozkapryszone aż do ochrypnięcia, rozsierdzone, płaczące ze złości, zazdrości, uporu?

Oto »zakon ich członków« się objawia, — oto zło, które w nich ukryte, wychodzi na jaw. A że same, pozbawione rozumu, zapanować nad niem nie mogą: więc uczynić to powinni jego wychowawcy — rodzice.

»Żadne dziecko nie jest złem dlatego, że przewrotne, ale dlatego, że słabe. Zmysły jego

---

[1]) Kolping, Doctor Fliederstrauch. Bd. I. Str. 200.

są delikatne i wrażliwe, najmniejszą rzeczą rozdrażnione, a siła woli wobec łatwo wybuchających namiętności — nie wielka. Dlatego też tembardziej potrzebny mu jest sprzymierzeniec w postaci rózgi. Kto w chwili odpowiedniej mu jej dostarcza, ten staje się wielkim jego dobrodziejem, bo osłabiając jego nieprzyjaciół, w dalszem życiu ułatwia nad nimi zwycięstwo.«[2])

* * *

O! gdyby rodzice wiedzieli ile od nich w takich chwilach zależy! Ile razy wieczność dziecka szczęśliwa lub nieszczęśliwa związana jest z tem, czy wtedy namiętnościom jego dadzą folgę lub je przełamią?

Dziecko w tych latach — to małe zwierzątko. Trzeba je tresować.

Każdy wie jak ważną rzeczą przy ujeżdżaniu konia, lub wprawianiu młodego psa, jest przełamywanie ich narowów w pierwszej zaraz chwili. Kto to zaniedbuje, ten się prędko przekona, że potem już będzie za późno. Nie zostanie nic jak konia lub psa takiego zastrzelić.

Z dzieckiem jest nietylko coś podobnego, ale jest literalnie to samo. Jeżeli rodzice słowem stanowczem, a nawet rózgą kaprysów dziecka nie przełamią — to może się stać i często się staje narów w nich w końcu tak silny, zakorzeniony, że później, kiedy przyjdzie

[2]) Józef Heilgers: Blicke über Menschenleben II wyd. § 152.

do rozumu, już go samo opanować nie potrafi.... i zginie....

Od takich rodziców, nie powiem o sercu małpiem, ale o sercu okrutnem, niemiłosiernem tygrysiem, — będzie się Pan Bóg domagał sprawy, co zrobili z powierzonem sobie dzieckiem.

A straszna to będzie sprawa!

Dziś, mój drogi, ludzi dobrze wychowanych jest coraz mniej, coraz mniej dzieci grzecznych, posłusznych a przytem swobodnych i wesołych. Dlaczego? Otóż dlatego, że rodzice, ducha wiary sami nie mając, tracą z oczu wielkie pedagogiczne prawdy o których mówi św. Paweł i nie stosują rad, które on podaje.

Oni zapominają, że najpierw trzeba dziecko tresować, dopóki rozum w niem śpi, a potem, gdy rozum się obudzi, trzeba je wychowywać i to po chrześcijańsku, zwalczając jego złe skłonności za pomocą prawd wiary św., Sakramentów św., — przyzwyczajając do spełniania swych obowiązków z pobudek wyższych. Taka pedagogia daje człowiekowi serce zdrowe, charakter silny, szlachetny i wprowadza na drogę, na której indywidualnie jako człowiek potem może on postępować, rozwijać się i udoskonalać!

* * *

Teraz zapewnie poczynasz rozumieć, dlaczego Kościół tak bardzo o to się troszczy, aby dziecko od lat najmłodszych żyło w atmosferze zasad zdrowych, wielkich, mogących duszę jego zahartować, do walki zaprawić, nauczyć z wycię żania namiętności...

Wielki, możny i sprawiedliwy Ojciec niebieski....

Jego wszechobecność....

Anioł stróż świadkiem wszystkiego, co dziecko czyni....

Dobra i czuła Matka w Niebie i t. d....

Oto prawdy, które rozumowi dziecka, budzącemu się do życia, podawać trzeba. Ono chwyta je oburącz i głęboko w swem wnętrzu chowa. Na razie wprawdzie nie przetrawi ich całkiem, nie zrozumie tak, jak je zrozumie później, ale zawsze pojmie na swój sposób i umysł swój wzbogaci.

Dziecko w tym względzie podobne jest do zwierząt przeżuwających, które pokarm przyjęty, później przy chwili sposobnej przeżuwając, wyciągają zeń to, co jest im potrzebne.

»Dziecko, tego jeszcze nie rozumie«, powiadają.... To fałsz. — Ono już dziś rozumie niejedno, i rozumie nieraz więcej niż nam się starszym wydaje, a resztę zrozumie później.

Co się w umysł jego włożyło, to jest kapitałem ulokowanym dobrze. Przyjdzie czas, a ono go użyje, jak się należy, byleby go miało,

* * *

Żeby to wszystkie matki pamiętać chciały! — Dziś nastała moda nowa.

Świat się opatrzył (?!), że cielesne namiętności rujnują zdrowie i przed czasem do grobu pędzą; ale że przytem szkodę wyrządzają duszy tego jeszcze nie spostrzegł....

W każdym razie świat te skłonności, — to »zło w członkach naszych«, o którem mówi św. Paweł, chce opanować... ale opanować inną drogą niż wiara. Wiara, jak widzieliśmy, drogę prawdziwą podaje. Na pytanie: »Kto mnie wybawi od ciała tej śmierci?« — odpowiada przez usta św. Pawła: »Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa« łaska, tj. Spowiedź św., korna modlitwa, westchnienie do Pana Jezusa, do Matki Boskiej....

Otóż świat dzisiejszy chce obyć się bez tej łaski.

Do czasu mu się to może udać; ale żeby się udać miało w chwilach pokusy silnej, kiedy namiętności są rozpasane.... to nieprawda, to niemożliwe.

A jeśliby kto Ci mówił inaczej, nie wierz mu bo kłamie.

Stąd świat nie może człowieka od namiętności jego uwolnić, nie może całkowicie go udoskonalić, ani zapewnić mu postęp prawdziwy.

* * *

P. S. — Z tego wszystkiego, co Ci powiedziałem, widzisz jasno jak ważne stanowisko w życiu wewnętrznem człowieka zajmuje wiara św., Kościół i ksiądz, jako kierownik duszy.

A ten Kościół św. nie jest czemś wiszącem gdzieś daleko w obłokach, ale społeczeństwem widomem, namacalnem, pochwytnem, którego częścią nauczającą, kierującą, pro-

wadzącą jest duchowieństwo t. j. księża z Biskupami i Papieżem na czele.

Zdaniem niejednej »osoby« lepiej byłoby, gdyby kierownictwem dusz zajmowały się one, nie tylko księża. Z księdza oneby chciały zrobić maszynę do rozgrzeszania, całą pracę spowiednika, jako Lekarza, Nauczyciela, Doradcy w lekkomyślnej swej zarozumiałości biorąc na siebie.

W takich razach o postępie indywidualnym... udoskonaleniu, uświęceniu nie może być mowy dlatego, że Chrystus Pan kierownictwo w tej sprawie oddał księżom i w tym względzie obiecał im swą pomoc szczególną — a nie tym »osobom« zakonnym czy świeckim.

»Oto ja z wami jestem po wszystkie dni, aż do skończenia świata«, — rzekł on do tych samych Apostołów, którym uprzednio kazał »iść i nauczać wszystkie narody tego, co sam rozkazał«.

* * *

Jest to jednym z najniebezpieczniejszych podstępów wroga dusz ludzkich, że pod różnymi mniej lub więcej uzasadnionymi pozorami stara się je zniechęcić do duchowieństwa

Społeczeństwo protestanckie pozbawił on kapłaństwa całkiem, wyrządzając mu przez to szkodę niepowetowaną; w katolickiem zaś uczynić tego nie może: stara się przynajmniej przez sekcierzy jak np. Jansenistów i Gallikanów we Francyi, a u nas Mankietników i ich w ko-

ściele zostających epigonów, zdyskredytować najpierw duchowieństwo zakonne, a potem i świeckie.

Niestety z resztek pokutującego jeszcze we Francyi Jansenizmu, dostaje się czasami trochę i do nas.

Jako klasyczny tego przykład pozwól, że Ci na zakończenie tego listu przytoczę ustęp z pewnej pracy pedagogicznej, w której z niesłychaną zręcznością autor się stara wykazać, że kierownictwem dusz zajmować się może każdy, tylko nie kapłan, spowiednik.

»Wielce pożądanym w pracy duchownej — czytamy tam — jest kierunek dobrego przewodnika. Nie jest rzeczą niezbędną, aby tym kierownikiem był ksiądz, spowiednik, ale niezbędnem jest, żeby ci, którzy drugimi kierować mają, sami byli obeznani z tem, czego uczą.

»Uczyć pracy wewnętrznej może tylko ten, kto sam się tej pracy oddaje i ma w niej pewne doświadczenie, — uczyć może pokonania namiętności tylko ten, kto sam pracuje nad pokonaniem własnych (?) »Przewodniczyć więc może (w pracy duchownej) zwykle dobra matka, dobry ojciec i dobry mąż(!!!) według słów św. Pawła, który nakazuje, ażeby mężowie żony swe uczyli (gdzie? na jakiem miejscu?), —... wreszcie jakakolwiek, światła doświadczona, cnotliwa osoba.

»Gdyby spowiednik mógł być zarazem przewodnikiem, wielkie niewątpliwie mogłyby być stąd korzyści. Wiemy jednak, z ust św

Franciszka Salezego(?) że takim jest jeden na tysiące, z którym (no! oczywiście) nie zawsze spotkać się można.

»Niepospolitej w istocie potrzeba mądrości i roztropności, ażeby podwójna władza spowiednika i przewodnika, skupiona w jednym ręku, przy częstych stosunkach (co to jest?) mogła wyjść na korzyść pracy duchowej...« Więc:

Dobry przewodnik jest niezbędny....

Nie potrzebuje być księdzem...

Zwykle może nim być każdy dobry ojciec, matka, mąż i inna jakakolwiek doświadczona osoba....

Byłoby do życzenia, gdyby on był zarazem spowiednikiem....

Ale na tysiące spowiedników trafi się taki jeden... Więc np. na całą Galicyę — tylko jeden: mimo, że się tam roi od księży światłych i zakonników, regułę swą zachowujących w całej pełni, a więc i »doświadczonych w pokonywaniu własnych namiętności«, i »walczących z pokusami« no i nie »pozbawionych mądrości i roztropności!!«

W takim razie oczywiście raz na zawsze wybić sobie trzeba z głowy, aby kierownictwem dusz zajmowali się księża, szczególnie zakonnicy, bo na tyle mądrości i roztropności jak każdy dobry ojciec, matka i mąż i inne osoby (panie) zdobyć się oni nie potrafią.

A potwierdza się to przekręconym tekstem Pisma św. i przekręconym cytatem św. Franciszka Salezego, który gdzieś, kiedyś powiedział,

że rzadko który spowiednik może kierować skutecznie duszami podniesionemi, jak św. Joanna de Chantal, św. Teresa itd. do wyżyn mistyki wyjątkowej.

Do czego się to dochodzi, kiedy się bierze nie za swoje rzeczy!

Mając na myśli różne »doświadczane, światłe i cnotliwe osoby«, jakże mądrze powiedział św. Paweł: »Niewiasty niech milczą w kościele! albowiem nie dopuszcza się im mówić, ale poddanemi być, jako zakon mówi«. (I. Kor. XIV. 14. 34),

List XII.

O postępie społecznym.

Postęp podwójny w społeczeństwie: materyalny i kulturalny. — Kościół pierwszemu się nie sprzeciwia a drugi w wysokim stopniu popiera. — Jakób Balmes. — Kościół i klasa robotnicza — rolnicza — przemysł i handel.

Społeczeństwo składa się z jednostek; co tedy przyczynia się do ich prawdziwego postępu, tem samem musi się przyczyniać także i do postępu społeczeństwa, w którego skład one wchodzą: więc do postępu, rozwoju rodziny, narodu, państwa: a ponieważ zaś Kościół katolicki, jak widzieliśmy, przyczynia się do udoskonalenia rozumu i woli pojedyńczego człowieka, więc musi on być także w każdej społeczności ludzkiej, czynnikiem postępowym, do jego wszechstronnego rozwoju pożytecznym.

Warunki, które się przyczyniają do normalnego rozwoju dobrego bytu mrówki lub pszczoły, przyczyniają się także do rowoju, całego mrowiska lub roju.

Klimat, grunt, położenie geograficzne, sprzyjające rozwojowi lipy, świerku, dębu lub

drzew owocowych, sprzyjają oczywiście także rozwojowi lasów lipowych, świerkowych, dębowych albo owocowych sadów.

To też mówić osobno o wpływie dodatnim Kościoła na postęp społeczeństwa nie byłoby właściwie potrzeby, gdyby się dziś pojęcia coraz bardziej nie gmatwały — gdyby coraz częściej nie brano białe za czarne a czarne za białe, gdyby często ludzie wykształceni z całą naiwnością, nie utrzymywali, że Kościół katolicki — to wróg, to przeszkoda do postępu materyalnego społeczeństwa, stojąca w poprzek jego normalnego rozwoju, hamująca jego rozpęd do wywalczenia sobie korzystniejszych warunków bytu w przyrodzie i t. d.

* * *

Przedewszystkiem muszę Ci przypomnieć, że kiedy mówimy o postępie człowieka, jako pojedyńczej lub zbiorowej jednostki, musimy go brać zawsze całego, z ciałem i duszą, bo wtedy tylko postęp jest całkowitym i prawdziwym. jeżeli się rozwija zarówno w kierunku duchowego uszlachetnienia jak i dobrobytu materyalnego. Społeczeństwo, które w jednym albo drugim kierunku nie postępuje, bezwzględnie postępowem nie jest.

Nadto ponieważ dusza w człowieku jest częścią składową, istotną i najważniejszą, stąd istota postępu prawdziwego w społeczeństwie polegać musi na udoskonaleniu się jego pojęć, zasad, uczuć i obyczajów. Bez tego

postępu wewnętrznego, postęp wyłącznie materyalny czyli zewnętrzny, będzie w sobie postępem tylko częściowym, a ze względu na całość postępem pozornym, bo brak mu będzie warunków stanowiących jego istotę.

* * *

Najpierw jedno pytanie: Czy bezpośredniem zadaniem Kościoła Chrystusowego jest dobrobyt materyalny?

Otóż »nie jest«; bo zadaniem, do którego bezpośrednio dążyć powinien, jest na ziemi wyłącznie i jedynie zapewnienie człowiekowi łaski poświęcającej t. j. przyjaźni Bożej, a po śmierci, w niebie, złączonej z nią szczęśliwości wiecznej. Do tego celu wszystkie środki Kościoła zdążają bezpośrednio.

Życie człowieka na ziemi jest tylko fazą przejściową w nieśmiertelnem trwaniu jego istoty. Otóż obowiązkiem Kościoła jest wskazanie mu drogi do ojczyzny niebieskiej, czyli do miejsca, gdzie dlań zgotowane jest mieszkanie wieczne; — ale nie troska o gospodę, w której mu na ziemi wypadnie popasywać, a tem mniej staranie, aby mu w niej było jak najwygodniej, jak najprzestronniej i jak najprzyjemniej, a to dlatego, że troskę o to z natury rzeczy ma kto inny: mianowicie najpierw jego rodzice, a potem każdorazowi przedstawiciele władzy świeckiej, t. j. ludzie powołani do kierowania państwem, czyli ojczyzną jego doczesną.

»Więc, Kościół wobec nędzy swoich owieczek może zachowywać się o b o j ę t n i e?«

Tego nie powiedziałem.

Nie! on nie może okiem obojętnem patrzeć, jak ci przyśli dziedzice nieba na ziemi cierpią nędzę, są wyzyskiwani, upośledzani, prześladowani. Dlatego to, o ile jest w jego mocy, jest obowiązany dołożyć także wszelkich starań, aby im życie na ziemi uczynić przynajmniej znośnem o tyle, żeby, wolni od zbytnich trosk doczesnych, mogli mieć dosyć czasu i sił do pracy na żywot wieczny.

Z tego obowiązku Kościoł Chrystusowy wywiązywał się zawsze tak znakomicie, że ile razy państwo nie stawiało mu żadnych przeszkód, sprawdzały się słowa Montesquieu »Choć Kościół ustanowionym został dla zapewnienia człowiekowi szczęśliwości wiecznej, to jednak daje mu przytem tyle szczęśliwości doczesnej, że nie mógłby jej dawać więcej, gdyby wyłącznie dla niej był od Pana Boga postanowiony.«

* * *

Tak musi być — to możemy powiedzieć z góry.

W liście poprzednim zwróciłem uwagę Twoją na fakt, że skuteczne pokonywanie namiętności da się osięgnąć całkowicie jedynie za pomocą łaski Bożej, którą szafuje Kościół.

Otóż pomyśl, ile to nędzy spłynęło i spływa na świat przez namiętności, kiedy z żywiołową wybuchają siłą; ile szkody robi pijaństwo, roz-

pusta, chciwość, gniew! a to szkody nie tylko moralnej, ale nieraz i materyalnej i to bardzo wielkiej: — a zrozumiesz jak ogromnie wiele bogactwa doczesnego przysporzyły ludziom kazania, spowiedzi, Komunie św., po których nałogowi pijacy stawali się trzeźwymi, ludzie rozpustni i leniwi — czynnymi i pracowitymi, niedbali słudzy i urzędnicy — starannymi i uczciwymi.

Potem weź tę nieobliczalną sumę dóbr doczesnych, którą przysporzyła światu wiara św. przez pogląd swój na pracę.

W starożytności pogańskiej miano ogólne przekonanie, że praca człowieka poniża, to też pracował tylko ten, kto musiał i tylko tyle ile musiał. Człowiek wolny pracą gardził i zostawiał ją niewolnikowi. Nie znano pracy bez przymusu, z poczucia obowiązku.

A przecież wiesz dobrze, jaką nadwyżkę ilości i jakości produkcyi daje praca dobrowolna, wykonana z zamiłowaniem, nie tylko dla zapłaty, zysku lub obawy kary! — jakie w niej źródło niewyczerpane przedsiębiorczości, pomysłowości, rzutkości, odkryć i wynalazków: słowem źródło czynników, które są tak niezbędne do postępu materyalnego społeczeństwa!

Otóż tę nadwyżkę dóbr materyalnych ma świat znowu do zawdzięczenia Kościołowi, który pracę z zamiłowania rozszerzył do niebywałych przedtem rozmiarów.

* * *

»Pomiędzy Objawieniem a lejarnią żelaza, — pisze Beine — wyposażoną we wszystkie ulepszenia techniki nowożytnej, niema, co prawda, żadnego przyczynowego związku; światopogląd nasz katolicki nie zna takich artykułów wiary, ani takich zasad etyki chrześcijańskiej, z których wyprowadzićby można wnioski, stojące w bezpośrednim związku n. p. z przędzalnią wełny albo fabrykacyą papieru, a jednak to rzecz pewna, że na cały ogrom dorobku materyalnego, którym świat dzisiejszy się szczyci, jeżeli nie decydująco, to w każdym razie w wysokim stopniu wpłynął przykład mnichów średniowiecznych, — pomiędzy którymi widzimy synów królewskich: Karlomana, brata Karola Wielkiego, Kazimierza Odnowiciela, — widzimy książąt, możnych potentatów ziemskich, którzy pracę uważając za wielkie przykazanie Najwyższego Pana, tyczące się wszystkich bez wyjątku ludzi: i małych i wielkich, a oparte na obowiązku zaparcia się siebie i ofiary — z miłości ku Panu Bogu opuszczali wygody i dostatki i, stawszy się ubogimi z ubogim Chrystusem, pracowali w pocie czoła, ciężko — nie tylko na utrzymanie własne, ale i utrzymanie biedniejszych od siebie nędzarzy.«[1])

Najstarsze reguły zakonne, jak n. p. reguła św. Antoniego i św. Pachomiusza, obowiązują już bez wyjątku wszystkich mnichów do pracy

[1]) Dr. Bützinger. Geschichte der christlichen Armenpflege.

ręcznej, a św. Bazyli do tego stopnia wysoko ją sobie ceni, że uważa za rzecz lepszą i ważniejszą od samego nawet umartwienia: »Jeżeli wam post przeszkadza w pracy — powiada do swych uczniów — jedzcie, bo lepsze jest jedzenie niż post i próżnowanie, tak bowiem prawdziwym pracownikom Chrystusowym przystoi«.

»Z całą starannością — pisze nieznany bliżej mnich średniowiecza do swej braci — uprawiajmy, bracia, ziemię, bo tak chce Pan, który ją stworzył. Dlatego też wszyscy pracujemy: — i mnisi i bracia laicy i najemnicy, a każdy, ile może, — dlatego też wszyscy z pracy naszej żyjemy«[1]).

* * *

Przykład, jaki dawały klasztory, działał na otoczenie; to też nic dziwnego, że przez wpływ swój na obyczaje wyratował Kościół Europę aż dwa razy od barbarzyństwa: najpierw od barbarzyństwa pogańskiego kultury grecko-rzymskiej, a potem od barbarzyństwa plemion germańskich, które podczas wędrówki narodów ją zalały.

Zresztą faktem jest, że w wiekach średnich Kościół katolicki w Europie zajmował stanowisko tak decydujące — wiara św. przenikała wszystkie warstwy społeczne od góry do dołu

---

[1]) Dalberg. Studien und Mitteilungen aus dem Benediktiner und Cistercienser-Orden B. 13, S. 223.

tak całkowicie, że gdyby dobrobyt materyalny miał w Kościele swego przeciwnika, jak to dziś się mówi, to musielibyśmy w historyi tych wieków mieć jakieś tego ślady. Jakie drzewo, takie owoce.

Przypatrzmy się tym owocom.

. . . . . .

Pierwszym z nich był dobrobyt robotnika zarówno miejskiego, jak i parobka.

»Robotnik dzisiejszy — powiada Quetsch — powinienby dziesięć albo raczej dwadzieścia razy tyle pracować, co robotnik w wiekach średnich, jeśliby, dla opędzenia potrzeb codziennego życia, chciał mieć stosunkowo tyle, co tamten«[1]).

»I cóż tu się dziwić — woła Scherer — że stan robotniczy w XIV i XV wieku był pełen życia, zdrowia i wesołości?«[2])

»Dziś zaledwie w rodzinach dostatnich, klasy t. zw. średniej, spotkać się można ze stołem takim, na jaki podówczas pozwolić mógł sobie każdy, najzwyklejszy rzemieślnik«[3]).

»To też trzeba było uciekać się nawet do osobnych rozporządzeń prawnych, aby położyć tamę życiu nad stan, wystawności i zbytkom w ubraniach i strojach, jak to się zdarzało u robotników«[4]).

---

[1]) Geschichte des Verkehrs am Mittel-Rhein, 390.
[2]) Zeitschrift für gesammte Staatswirtschaft, 65.
[3]) Geschichte Thüringens, 301.
[4]) Jansen. Geschichte des deutschen Volkes, 409.

Nawet socyalista Kautsky wyznaje, że »co dziś wydaje się robotnikowi ideałem dalekim, trudnym do osiągnięcia, o który on z klasą mieszczańską prowadzić musi walkę twardą i zaciętą, to przed 500 laty, »w ciemnem średniowieczu«, było faktem — rzeczywistością«.

»Przed laty 500 robotnik przy swej pracy wytężał się mniej, pracował krócej, a płacony był lepiej.«

To samo potwierdza Jansen, kiedy pisze o parobkach:

»Liczna ich klasa rzadko kiedy była w położeniu materyalnem tak dobrem, jak począwszy od końca XIV wieku do początku XVI, tj., gdy wiara katolicka społeczeństwo zachodniej Europy przenikała na wskroś od góry do dołu«[1]).

Więc robotnikom miejskim i wiejskim w wiekach wiary gorącej było dobrze.

* * *

Drugim owocem było podniesienie rolnictwa.

Przytem, mój drogi, żeby zrozumieć wpływ Kościoła i na polu rolnictwa, trzeba sobie uprzytomnić, że setki tysięcy mnichów z takim zapałem i starannością, a przytem z takiem zrozumieniem i znajomością rzeczy oddawali się uprawie roli: — że w dzikich i niezamieszkałych przedtem okolicach Niemiec lud począł za ich przykładem i pod ich kierunkiem

1) Geschichte des deutschen Volkes, 409.

zakładać ogrody warzywne i sady. »Pierwsze ogrody w Niemczech pojawiły się przy klasztorach. Miał je na oku Karol Wielki, kiedy, w celu zaprowadzenia i podniesienia ogrodnictwa w swem obszernem państwie, wydawał odpowiednie dekrety«[1]). »Stąd, to pochodzi, powiada Fisher-Benzon, że sady chłopskie są u nas (w Niemczech) mniej lub więcej doskonałem naśladowaniem dawniejszych ogrodów klasztornych«[2]); — że znowu za ich przykładem w wielu okolicach wprowadzono uprawę winnej latorośli. Cała prowincya nadreńska (Rheingau) do dziś dnia słynie ze swego znakomitego wina. Swe bogactwo zawdzięcza ona dwom klasztorom: Johannisberskiemu i Eberbachskiemu. Ich mnisi w swych obszernych dobrach pozakładali pierwsi winnice, a za nimi dopiero idąc okoliczni włościanie uczyli się winnej kultury, która im raz na zawsze otworzyła źródło ogromnego dochodu i zapewniła dobrobyt[3]); — że się uczono racyonalnej uprawy roli. »Kościoły i klasztory, powiada ekonomista Rosher, były to nie tylko ogniska oświaty, ale także prawdziwe rozsadniki racyonalnych gospodarzy i szkoły agronomiczne[4]). Nie kto inny, tylko mnisi średniowieczni dokazali sztuki, że nigdy

---

[1]) Michael, Geschichte des deutschen Volkes, 50.
[2]) Alt-deutsche Garten-Flora.
[3]) Geschichte des Klosters Lorch, 103.
[4]) System der Volkswirtschaft, II, 375.

przedtem ani potem z tak małym nakładem pracy i kosztu nie dochodzono do takich rezultatów w uprawie roli, jak wtedy«[1]); — że za przykładem klasztorów zaprowadzano racyonalne gospodarstwo leśne. Przodowali w tem szczególnie Cystersi. »Do dnia dzisiejszego na całej przestrzeni Niemiec, od Renu aż do Gdańska, niema lasów tak wspaniałych, jak Heistenbruchskie, które początek swój wzięły od Cystersów, dawnych swych właścicieli.«

Jednem słowem ogrodnictwo, uprawa roli, gospodarstwo leśne rozwijało się znakomicie pod okiem Kościoła i przez jego przedstawicieli, których ożywiała i podtrzymywała wiara święta.

* * *

Trzecim owocem działalności Kościoła by dobrobyt materyalny gospodarzy wiejskich.

O ludzie, czyli stanie wieśniaczym w ogólności, pisze Huber:

»Ktoby chciał utrzymywać, że (nie mówiąc o niektórych wyjątkowych zupełnie wypadkach), powodem rozruchów chłopskich w Niemczech na początku XVI w. było położenie smutne ludności wiejskiej, tenby dał dowód swojego nieuctwa. Co innego oczywiście było w kra-

---

[1]) Sommerland Cistercinser des Nordöstlichen Deutschland.

jach korony rakuzkiej, gdzie wieśniaka gnębiły z jednej strony ciągłe napady tureckie, a z drugiej pobory i podatki wojenne, przechodzące nieraz jego siły. Pod względem materyalnym chłop ówczesny niemiecki miał się pod koniec XV, a na początku XVI wieku doskonale. Dowodzi tego fakt, że w całych prawie Niemczech stać go było codziennie na mięso dla siebie, czeladzi, nawet dla najemników, których — mówiąc nawiasem — płacił dobrze, karmił doskonale, a bardzo często częstował w dodatku winem«[1]).

Do tego samego wniosku przychodzi wyżej, wspomniany Quetsch. »Położenie ekonomiczne robotnika — powiada — w wieku XV było nadzwyczaj pomyślne. Wtedy to praca rolna, gdzie jeszcze pańszczyzny nie było, tak samo wysoko była nagradzana, jak w wiekach poprzednich, a w dodatku, gdzie istniała już pańszczyzna, stosunki prawne przywiązanych do roli poddanych i ich dochody były tak korzystne, jak nigdy przedtem«[2]).

Rezultatem tak pomyślnych stosunków agrarnych był niebywały przedtem i potem dobrobyt stanu wieśniaczego. Doszło przecie do tego, że trzeba było i względem chłopów, jak względem robotników, na drodze prawodawczej wynajdywać środki dla zapobieżenia zbytkom i rozrzutności,

---

[1]) Geschichte Oesterreich, III, 446.

[2]) Geschichte des Verkehrswesens im Mittelalter, 390.

szczególnie w strojach, których bogactwo raziło szlachtę i dumny ze swych przywilejów patrycyat miejski.

Stąd na sejmie Rzeszy niemieckiej w Lindawie r. 1497 postanowiono: że »chłopom po wsiach a rzemieślnikom po miastach zakazuje się nosić ubrania wartości przechodzącej pół guldena, — podobnież nosić ozdoby ze złota, z pereł, szaty aksamitne albo choćby tylko misternie wyszywane, — a to zarówno im, jak ich żonom i dzieciom«.

Tak to lud wiejski pod opieką Kościoła, w atmosferze czysto katolickiej, nie był ani biedny, ani głodny, ani upośledzony, choć w rządach państwa przez głosowanie powszechne udziału nie brał, — choć nim rządziły klasy uprzywilejowane.

Dziś rządzi on sobą i klasami dawniej uprzywilejowanemi — a jest głodny, biedny, upośledzony!

* * *

Czwartym owocem działalności Kościoła był kwitnący stan stanu r z e m i e ś l n i c z e g o (majstrów, czeladników i terminatorów).

Dla niego wieki średnie były wiekiem złotym.

W XIV i XV wieku niesłychany rozwój rzemiosł był złączony z tak wielkim dobrobytem materyalnym samychże rzemieślników, że ani poprzednie ani następne wieki czegoś podobnego

nie widziały«[1]); przytem z rąk ich wychodziły prawdziwe arcydzieła. Cóż dziwnego. Przecież oni pracowali nie tylko ręką, ale głową i sercem, wyciskając na wszystkiem ducha, który ich ożywiał. Byli to artyści, tem prawdziwsi, że nieświadomi swego artyzmu, bo wartość jego my dopiero osądzić możemy należycie.

»Doprawdy, myśląc o tych błogosławionych czasach, mimowoli chciałoby się zawołać: Co to musiała być za rozkosz żyć w atmosferze, gdzie wszystko było świadome swej siły moralnej, — gdzie się oddychało wewnętrznym pokojem i zadowoleniem, odbijającem się w najdrobniejszym sprzęcie, w każdym drobiazgu, — gdzie około siebie nie spotkało się żadnej połowiczności, żadnego partactwa, ale wszędzie się widziało rękę mistrza, spotykało objawy siły twórczej, wolnej, samodzielnej. — Zaiste! w żyłach ówczesnego społeczeństwa krążyła krew świeża i soki zdrowe«[2]).

Tak, ta krew musiała być świeża i te soki zdrowe! Im szlachetniejszy, delikatniejszy owoc, tym szlachetniejsze drzewo, które go rodzi.

Duch, który ożywiał ówczesnych rzemieślników chrześcijańskich, musiał być zaiste! zdrowy; ale że człowiek tego zdrowia wewnętrznego na świat ze sobą nie przyniósł, do-

---

[1]) Schönberg: Zur wirtschaftlichen Bedeutung des Zunftwesen im Mittelalter«. 51.

[2]) A. v. Ege: »Zeitschrift für deutsche Kulturgeschichte«. 1858, str. 554.

wodem inne współczesne narody pogańskie. Więc skąd się u nich brał?

Nie ulega wątpliwości, mój drogi, że bezpośredniem źródłem tego niebywałego r o z w o j u stanu rzemieślniczego (nie mówię rzemiosł) był u s t r ó j j e g o c e c h o w y, a pośrednim święta wiara katolicka, z której te cechy wyszły, na której się opierały, która je żywiła, z których czerpały swą żywotność, a z której upadkiem, jak np. w krajach protestanckich i one upadać poczęły.

»Cechy średniowieczne — tę instytucyę wiekopomną stworzyła wiara chrześcijańska«[1]), stąd »były one związane jaknajściślej z Kościołem. Nie zapominajmy o tem nigdy, że cechy, obok swej społecznej i ekonomicznej działalności miały cele humanitarne i publiczne do spełnienia i że były kościelnemi bractwami«[2]).

Jak w tych bractwach rozumiano przeznaczenie człowieka i jakie stanowisko zajmowała w nich wiara, wiedzieli najlepiej ich członkowie. W książce przeznaczonej dla ich zbudowania, a drukowanej w Moguncyi 1513 r.[3]) czytamy:

»Bractwa i związki łączą się do wspólnej pracy, nie tylko dla uporządkowania swego życia przez karność i miłość chrześcijańską, ale

---

[1]) Hurter. Geschichte Innozenz des III. 720.
[2]) Mosher. Das deutsche Gewerbswesen 160.
[3]) Ein christliches Erbauungsbuch.

także dla jego uświęcenia. Tam się pracuje nie tylko dla zysku, bo toby nie zasługiwało na błogosławieństwo Boskie i szkodęby duszy przynosiło.

»Jednem słowem związkowi pracują wspólnie dlatego, że 1) taka jest wola P. Boga, któremu się cześć, chwała i posłuszeństwo należy; że 2) zapewniają swej duszy błogosławieństwo, tak potrzebne dla samego nawet ciała, w którem ona mieszka, że 3) chcą mieć to, czego do życia potrzebują, tj. zarówno, co jest niezbędne, jak i to, co do wesela chrześcijańskiego w Panu się przyczynia, a wreszcie 4) żeby módz owocami swej pracy dzielić się z ubogimi i niemocnymi.

»Do osiągnięcia tego wszystkiego służą nam rzemieślnicze związki i cechy. Na tem polega ich cel i ich zadanie.«

* * *

»Przytoczone przezemnie fakta, powiesz, zapewnie są bardzo ciekawe, tylko czemu wyłącznie z niemieckiej zaczerpnięte historyi? Czyż w innych krajach wpływ wiary katolickiej w wiekach średnich nie był równie skuteczny, jak w Niemczech? Dlaczegoż został pominięty, jakby z zasady?«

Otóż, mój drogi, było w tem wyrachowanie.

Przypomnij sobie, o co nam tu chodzi?

Chodzi o to, aby na podstawie świadectw historycznych wykazać, że Kościół katolicki do

rozwoju materyalnego społeczeństwa nie tylko nie jest przeszkodą, ale przeciwnie, że najskuteczniej do niego dopomaga, gdzie tylko swobodnie wykonuje swe główne posłannictwo, tj. dusze oświeca i uszczęśliwia — że więc nie było na świecie i niema instytucyi tak skutecznie pomocnej do zapewnienia ludziom materyalnego dobrobytu, złączonego z rozwojem sztuk i nauk, jak właśnie on.

A że to twierdzenie namacalnie udowodnić można, biorąc za punkt wyjścia Niemcy, dlatego właśnie niemi wyłącznie Ciebie zajmowałem.

Kiedy wiara katolicka w VIII-mym wieku dostała się do Niemiec, kraj ten pod względem ekonomicznym, społecznym i kulturalnym był jeszcze w powijakach.

Nie mówiąc o wązkim pasie zachodnim nad Renem, reszta Niemiec z kultury dawnej rzymskiej nie zachowała nic.

Tego znowu o Włoszech, Francyi, Hiszpanii powiedzieć nie można.

W dodatku Niemcy przez długie wieki zabezpieczone były od najazdów tatarskich i tureckich, tak, że Słowo Boże mogło spokojnie nie tylko przeniknąć na wskroś całą ich duszę, jak przeniknęło duszę narodu polskiego, ale także przedostać się na zewnątrz i wybić swe piętno na warunkach czysto materyalnych ich bytu.

W Austryi, na Węgrzech, w Polsce ustawiczne niebezpieczeństwo ze strony wschodnich,

barbarzyńskich sąsiadów nie pozwalało stosunkom ekonomicznym na tyle się ustalić, aby się tak mogły rozwinąć jak w Niemczech.

Wreszcie, co najważniejsze, kiedy też same Niemcy północne i środkowe na początku XVI. wieku od Kościoła katolickiego gwałtownie się oderwały, wtedy od razu barometr ich dobrobytu materyalnego spadł prawie do zera, miejscami nawet poniżej, jak to przy innej sposobności Ci wykazałem.

Oczywiście, jeżeli wynosząc się z miejsca, gdzie czułem się zdrowym, zapadnę od razu, przypuśćmy na febrę, — rzecz jest jasna, że nowe miejsce pobytu mi szkodzi, przynajmniej, dopóki się doń nie przyzwyczaję i nie stanę odporniejszym — a poprzednie mi służy!

Coś podobnego widzimy w społeczeństwie niemieckiem na początku czasów nowożytnych.

Do pewnej daty we wszystkich sferach d o b r o b y t przedtem niebywały i to na całej linii, a potem od razu upadek na całej linii. A tą datą jest właśnie chwila, w której naród niemiecki podniósłszy sztandar buntu, za Lutrem zawołał: »Precz z Rzymem! z Papieżem! z katolicyzmem!«

Wobec takiego faktu, któż zaprzeczy, że Kościół katolicki do tego dobrobytu rzeczywiście się przyczyniał? a jeśli się przyczyniał, to jakże mógł być do niego przeszkodą?

A dobrobyt ten był.

Bo i czegoż doń brakło?

Nigdy przedtem ani potem tak dobrze się nie miał ogół t. j. wszystkie stany, bo dobrze się działo i robotnikom miejskim i wiejskim, i rolnikom i rzemieślnikom, — kwitły rzemiosła, rolnictwo. Rozwijał się nawet i handel, bo choć nie było kolei żelaznych i parowców, jednak środki komunikacyjne były dobre i wystarczające a zawsze i wszędzie na pierwszem miejscu, dzięki inicyatywie i opiece Kościoła. —

Zaiste! Montesquieu miał słuszność!

* * *

Żebyś nie miał do mnie żalu, dla dokończenia obrazu jeszcze słówko o środkach komunikacyjnych w średnich wiekach, od których tak bardzo zależnym jest właśnie handel. —

»Liczne i dobrze utrzymane drogi, bezpieczeństwo w czasie podróży — powiada O. Michael — i złączony z niem szeroko rozwijający się handel: to są warunki istotne rozwoju materyalnego.

»A Kościół katolicki przez swoich przedstawicieli zajmował się i troszczył o nie jak najstaranniej, jak gdyby nic innego nie miał do roboty. Już tem samem, że wiara święta tak gorąco zaleca wykonywanie gościnności, zasługi Kościoła na tem polu wobec ludzkości są nieocenione.

»Stosując się do rozkazu Chrystusa Pana, i, chcąc zasłużyć na nagrodę, zawartą w słowach,

któremi w dzień sądu odezwie się do wybranych: »Byłem gościem i przyjęliście mnie« — spieszyli wierni progi swego domu i serca otwierać dla zmęczonych podróżą i wygłodzonych przechodniów, albo zakładali zajazdy i przytułki t. zw. Hospitalia (szpitale — od hospes, gość) wszędzie gdzie zachodziła tego potrzeba: na górach i pagórkach, w dolinach — w miastach i na przedmieściach.

»Ile w tym względzie zrobił sam zakon św. Benedykta, łatwo zrozumieć, gdy się przypomni, że ten wielki zakonodawca zalecał w swej regule wykonywanie gościnności, jako jeden z istotnych obowiązków klasztornego życia i że klasztorów, żyjących pod jego regułą, było tysiące, szczególnie w XIII. wieku« [1]).

Powstawały nawet zakony jak n. p. zakon Maltański, Teutoński, Templaryuszów, których celem początkowo była wyłączna opieka nad podróżnymi. Typową instytucyą średnich wieków byli t. zw. Bracia Mostownicy (Fratres pontifices), »osobnym ślubem zobowiązani — pisze Rotinger — do obrony kupców i podróżnych przed rabusiami do przewożenia ich przez rzeki i do budowania dla nich przytułków, gospód, mostów i to bez żadnej zapłaty.

»Samo założenie takiego stowarzyszenia zakonnego jest rzeczą znamienną. Już nie mówiąc o tem, ile bezpieczeństwo, komunikacya,

[1]) Geschichte des deutschen Volkes I. 176.

handel i przemysł zyskiwał przez poświęcenie tych braci, sam fakt daje wiele do myślenia, wskazując ile siły żywotnej posiada Kościół, kiedy na każdą potrzebę społeczną umie zawsze wynaleźć odpowiednie lekarstwo. Co później miastom niemieckim zapewniały różne związki i hanze, to przedtem dawała dobroduszność braci, żyjących pod wspólną zakonną regułą«.

A więc tysiące ludzi z pobudek, zaczerpniętych w religii katolickiej, poświęcali swe życie dla niesienia pomocy podróżnym.

W imię tejże samej wiary Kościół św. groził surowemi karami duchownemi za napaść na podróżnego, pobieranie ceł niesprawiedliwych; a przeciwnie łaskami i odpustami obdarzał tych, co budowali mosty, utrzymywali drogi itd....

»I w tem wszystkiem, jak przyznaje Hurter, zawsze przodowali Papieże.«

List XIII.

Kultura i Kościół.

Społeczeństwo europejskie przed i po jego nawróceniu na wiarę chrześcijańską. — Jakób Balmes. — »Kultura nowoczesna i stanowisko Kościoła katolickiego nie dadzą się pogodzić z sobą.« — Leon XIII. — Moderniści o sobie. — Charakterystyka modernizmu. — Wyznanie wiary Volty.

W listach poprzednich poruszyłem zdaje się wszystko, co w sprawie postępu ludzkości było na pierwszem miejscu do powiedzenia. Widzieliśmy tedy, że wiara św. nietylko nie jest przeszkodą do indywidualnego postępu człowieka, ale owszem przeciwnie pomaga mu doń skutecznie i wszechstronnie, udoskonalając wszystkie jego władze, — i że taż sama wiara święta katolicka, skoro ma ręce rozwiązane, zapewnia także społeczeństwu dobrobyt materyalny i taką sumę doczesnego szczęścia, jaka wogóle na świecie jest możliwa.

Zostaje w tym kierunku do wyświetlenia, jeszcze jeden tylko punkt, a mianowicie, czy w równym stopniu wpływa Kościół i na podniesienie poziomu moralnego, na uszlachetnienie

obyczajów, złagodzenie stosunków międzynarodowych t. j. na postęp kulturalny społeczeństwa.

* * *

Świat starożytny, z którym się Kościół na początku swego istnienia zetknął, miał pozór kultury, ale nie miał jej w rzeczywistości.

Kto chce sobie wyrobić pojęcie plastyczne o tem kulturalnem barbarzyństwie, niech się wczyta w Quo Vadis Sienkiewicza, a znajdzie tam jej obraz prawdziwy, uchwycony tak żywo.

Prawda, w cesarstwie rzymskiem kwitły nauki i sztuki piękne, doskonaliły się rzemiosła, ale trzy czwarte (t. j. koło 70 milionów) jego mieszkańców jęczało w niewoli, zdeptane, zdeprawowane; kobieta była poniżona, życie bez wartości, wszyscy oddani bezecnym zabobonom głupim praktykom religijnym, rządy zaś sprawowała niczem nieograniczona samowola.

Występek w cynicznej swej nagości święcił, tryumfy, nikt nie był pewny jutra i mienia, a w dodatku wojny prowadzono okrutnie, pastwiono się niemiłosiernie nad zwyciężonymi, według hasła Vae victis! (Biada zwyciężonym) — wyzyskiwano słabych... tak, że słusznie o owych czasach powiedzieć można: Homo homini — lupus (Człowiek człowiekowi — wilkiem).

Oto w krótkich słowach atmosfera moralna, do której uzdrowienia zabrał się Kościół.

Dodaj do tego smutnego obrazu obraz barbarzyństwa niekulturalnego dziewiczych narodów germańskich, słowiańskich, litewskich, mordujących ludzi na ofiarę swym bogom, palących żony swych wodzów, żyjących z rabunku, gwałtu, — pogrążonych w zabobonach i bałwochwalstwie: a będziesz miał atmosferę podobnież zepsutą, do której oczyszczenia zabrał się także Kościół.

Prawda — nie od razu mu się to udało. Przez długie wieki światło z fałszem, kultura prawdziwa z barbarzyństwem ukrytem i jawnem mocowały się w atletycznym uścisku. Raz po raz to jedno to drugie brało górę, ale w końcu koło XIII wieku zwycięstwo pozostało przy zasadach, które reprezentował Kościół.

* * *

O rezultacie tej kulturalnej pracy Kościoła pisze Jakób Balmes, co następuje: »Zasługą chrześcijaństwa wobec ludów Europy jest:

»Najpierw wyrobione w nich sumienie publiczne, wypływające z zasad wzniosłych, niezłomnych, niewzruszonych, opartych na sprawiedliwości, słuszności i poczuciu obowiązku — sumienie o aspiracyach szlachetnych, poczuciu honoru i zamiłowaniu tego, co piękne. Dzięki Bogu, że to sumienie publiczne jeszcze nie zamarło, choć niestety! sumienie prywatne zamiera coraz częściej. A nie zamarło, bo inaczej zepsucie, wyuzdanie i cynizm występku doszłyby

do rozmiarów, do jakich dochodziły w starożytności, i do jakich dochodzą u dzisiejszych pogan. Tymczasem tak nie jest.

»Dalszą zasługą chrześcijaństwa jest powszechne złagodzenie obyczajów, objawiające się w dążeniu do zmniejszenia skutków wojny — a w czasie pokoju do zapewnienia ludziom spokojnego i bezpiecznego używania dóbr tego życia.

»Inną jego zasługą jest poszanowanie głębokie praw człowieka i jego własności: skąd pochodzi, że nietylko ludzie prywatni, ale nawet rządy, rzadziej się dopuszczają gwałtów, bo w niem natrafiają na tamę zbyt gwałtownych wybryków swej samowoli.

»Z wiary św. chrześcijańskiej wypływa dalej dążenie do udoskonalenia, podniesienia i uszlachetnienia siebie i innych — wypływa chęć nieprzezwyciężona, często bezskuteczna, ale zawsze rzeczywista, do polepszenia warunków bytu klas niższych, pracujących; — wypływa to pragnienie — wspomagania nieszczęśliwych — objawiające się raz po raz w różnych dobroczynnych instytucyach, jak zarówno w głębi sumienia ludzkiego przez wyrzuty, którymi się odzywa.

»Wreszcie we wierze ma swe źródło pragnienie czegoś wyższego, — nieraz niebezpieczne, ale, wogóle biorąc, obfite w owoce,

a w każdym razie dowodzące silnego tętna życia»[1]).

Tego wszystkiego w społeczeństwie rzymskiem nie było; o tem nie miały pojęcia narody barbarzyńskie, które na początku wieków średnich zalały Europę, — ani śladu tego wszystkiego nie znajdujemy u narodów Indyi wschodnich, Chin, choćby nawet Japonii: narodów zresztą pod względem racyonalnej kultury zewnętrznej dość wysoko postawionych.

Skąd się tedy na świecie wzięło? Gdzie jego źródło?

Otóż w Kościele, Kościele katolickim, i tylko w nim. —

Bo i gdzież indziej jest punkt wyjścia kultury europejskiej, o ile jest wyższą niż żydowska, mahometańska, bramińska, buddyjska, chińska, jak nie tam, gdzie zasady Ewangelii rzeczywiście wprowadzono w życie, — mianowicie w Kościele katolickim.

To jest rzecz oczywista, bo kiedy kultura chrześcijańska odradzała świat rzymski i cywilizowała barbarzyńców średniowiecznych, protestantyzmu jeszcze nie było, podobnież nie było jeszcze schyzmy wschodniej.

Więc źródło jej wytryskiwało przed nimi.

A gdzie wytryskiwało? No, nie gdzieindziej, tylko w Kościele katolickim, który wtedy już istniał, — i to z pod nóg rzymskiego Papieża, który za pomocą złączonych

[1]) Katolicyzm wobec protestantyzmu I. 20.

ze sobą biskupów i kapłanów tym Kościołem już wtedy rządził.

* * *

»Dobrze! dobrze! — Niech będzie tak, o ile chodzi o przeszłość! ale to nie przeszkadza, że z postępem kultury nowoczesnej Kościół katolicki pogodzić się nie może. Przecież sam to przyznaje w Syllabusach Piusa IX-tego i świeżo wydanym Piusa X-tego.«

I przyznaje i nie przyznaje, mój drogi.

Z kulturą nowoczesną zewnętrzną Kościół najzupełniej się zgadza i żaden z jego przedstawicieli przeciwko niej nigdy nie występował i nie występuje; bo też ona w znacznej części powstała przez prace i wysiłki gorliwych, wierzących i praktykujących synów tegoż samego Kościoła, jak o tem przy innej sposobności Ci mówiłem. To też my katolicy wierzący nietylko ją uznajemy, i z niej korzystamy, kiedy po kościołach zaprowadzamy światło elektryczne, telefony, — spieszymy na statkach parowych i kolejach żelaznych nieść ludom pogańskim słowo Boże, — itd. itd., ale ją popieramy o ile nas na to stać.

Stąd pod tym względem ten zarzut jest niesłuszny, i z prawdą niezgodny.

Co do mnie osobiście bardzo dalekim jestem od sztywnego konserwatyzmu, odrzucającego wszystko co nowe, a wynoszącego pod niebiosa wszystko, co stare. Dla mnie powiedzenie: »Za dawnych czasów było lepiej niż dziś« — jest frazesem, za którym się kryje ciasnota

myśli i zgrzybiałość ducha. Gdziekolwiek widzę coś godnego pochwały, chwalę bez względu na to, od kogo ono pochodzi.

Ale postęp materyalny — to jedna dopiero strona nowoczesnej kultury. Jest i druga.

Jest kultura wewnętrzna, która niestety! z postępem materyalnym nietylko nie idzie w parze, ale przeciwnie widocznie się cofa.

Otóż tego c o f a n i a my katolicy nie chcemy, bo pragniemy i w tym kierunku postępu; stąd nad niem bolejemy, staramy się mu zapobiedz, i walczymy z wszystkiem co do niego się przyczynia.

O ile tedy ktoś to cofanie nazywa kulturą nowoczesną, o tyle przyznajemy, że z duchem Kościoła pogodzić się ona nie da.

I w tym względzie zarzut jest prawdziwy.

Pływak, borykający się z prądem, jaki go w dół rzeki porywa, płynie naprzód i postępuje właśnie dlatego, że prądowi poddać się nie chce. Gdyby płynął z nim razem, począłby się cofać. Pozornie płynąłby naprzód, a w rzeczywistości cofałby się, pędząc w przepaść. — Tak samo z kulturą nowoczesną.

Zatopiony w badaniu materyi i świata go otaczającego, porobił człowiek w naukach przyrodniczych postępy ogromne i za ich pomocą w sposób niebywały podbił sobie siły przyrody, ale przytem zapomniał zająć się sobą samym, badać siebie, — zaniedbał chodzić koło siebie, — koło swego serca, swego ducha, swego człowieczeństwa.

I stało się z nim, co się dzieje z ogrodem, pozbawionym troskliwej ręki ogrodnika. Oto dusza tego przeciętnego człowieka czasów dzisiejszych porosła chwastami, poczęła dziczeć... czyli p o c z ę ł a s i ę c o f a ć, jak cofa się opuszczona i przez czas dłuższy nawozem nie zasilona rola. —

* * *

Leon XIII., ten wielki Papież, co to jak orzeł, wzrokiem swego potężnego umysłu przenikał ducha ludzkiego, — ten myśliciel sławiony przez wielu nawet innowierców jako mędrzec, filozof i geniusz — o czasach dzisiejszych powiada tak:

»Bez żadnej wątpliwości, postęp wiedzy otworzył przed umysłem ludzkim horyzonty nowe, rozszerzył panowanie człowieka nad materyą, ale mimo to, jak wielu otwarcie wyznaje, nie otrzymał tego, co zamierzał.

»Kto się zastanawia spokojnie nad stanem ducha i obyczajami dzisiejszego społeczeństwa, — kto się przysłuchuje głuchym i tłumionym na razie odgłosom, dochodzącym z dołu, — kto oczu nie zamyka na wzrost niepomierny siły brutalnej, siły pięści kosztem prawa i sprawiedliwości, — ten nie może inaczej powiedzieć.

»Obok nędzy, pod której ciężarem jęczą miliony, jakiś smutek nieokreślony[1]), ciążący na duszach, świadczy, że w nich panuje przesyt.

---

[1]) Döllinger robi słuszną uwagę, że od czasów Reformacyi charakter narodowy angielski odmienił się zupełnie:

»Człowiek dzisiejszy w pochodzie przez świat, do rydwanu swego zaprzągł bezmyślną materyę; nie mógł z niej jednak wziąć tego, czego nie posiada. To też najważniejsza ze wszystkich kwestya religijna, przez wiedzę nowoczesną rozstrzygniętą nie została. Wrodzone człowiekowi pragnienie prawdy, cnoty, nieskończoności, nie zostało zaspokojone, bo ziemia dając mu bogactwo, rozkosze, wygody, nie dała czem zaspokoić serca«.

Encyklika z 19 marca 1902.

* * *

Żeby jeszcze to pragnienie zostało tylko niezaspokojonem.

Tymczasem widzimy, że z dniem każdym wzmagają się usiłowania aby je zaspokoić pozorem prawdy i dobra, a w rzeczywistości, karmi się je fałszem i występkiem.

»Dawniej Anglicy byli w całej Europie słynni z humoru, jako ludzie pełni wesela i swobody. Teraz stali się narodem ponurym, niezadowolonym, zgryźliwym (»Kirche und Kirchen« I. wyd. 262). Potwierdza to spostrzeżenie pewien uczony angielski w swej książce p. t. »O śmiechu«, w której wykazuje, że śmiech staje się między Anglikami coraz rzadszem zjawiskiem. Mimo wszystkie zmysłowe, umysłowe, artystyczne rozkosze — pisze on — które dzisiejsza kultura ludziom daje, coraz mniej w nich widać wesela, a to dlatego, że goniąc za przyjemnościami czysto ziemskiemi zapominają o duchowych. Nie wszystko co się świeci jest złotem. Kultura bez Boga najbardziej rozwinięta — to nędza w łachmanach z purpury i strzępów złota. (O. Springer, Linz. Quart. 1907, III, 504.)

Zawsze bywali ludzie źli, występni, ale kiedy dawniej opinia publiczna piętnowała ich po imieniu, — to dziś, dzięki rzekomemu postępowi, otacza ich aureolą cnoty fałszywej. Bezwstydna rozpusta u wielu nam współczesnych — to niewinne zaspokojenie uprawnionych popędów natury, bunt i upór względem władzy — to objaw samodzielności, szlachetności i poczucia honoru, skrajny ateizm, bezbożność, świętokradztwo, gwałcenie uczuć religijnych wierzącego ludu — to myśl wolna, niezależna, to objaw niezawisłego charakteru, tężyzny ducha....

Cóż tu mówić o dzisiejszej filozofii, która do rzędu rzekomych postulatów wiedzy, zalicza bezmyślny materyalizm, stawiając człowieka na równi z nierozumnem zwierzęciem.

Co mówić o dzisiejszej etyce, usprawiedliwiającej wszystko, według znanej recepty Macchiavelli'ego: »Cel uświęca środki«; — wprowadzającej do polityki hasło: »Siła przed prawem!«, a teoryą dokonanego faktu, osłaniającej wszelki gwałt, rabunek, bezprawie.

Co tu mówić o dzisiejszem prawodawstwie, znającem prawa, a nie znającem obowiązków — którego praktycznym objawem są tak częste tumulty, bastówki, gwałty — wojna wszystkich przeciw wszystkim.

Na tem jeszcze nie koniec, mój drogi.

Kultura nowoczesna, o ile się od poprzedniej chrześcijańskiej różni i stoi z nią w sprzecz-

ności, obdarza ludzkość jeszcze innymi darami, obdarza domami rozpusty, rozwodami, z dniem każdym się mnożącymi, — niesnaskami, gwałtami, mordami, — teatrami, teatrzykami, cyrkami, gdzie się ludzie uczą bezbożności, a zaprawiają do rozpusty, gdzie nie podnosi się myśli, ale psuje obyczaje — niezliczonemi gazetami, pismami, miesięcznikami, książkami, zalewającemi świat powodzią fałszu i zepsucia.

To wszystko przynosi nam kultura nowoczesna, o ile stoi w przeciwieństwie do średniowiecznej chrześcijańskiej.

Ale to przecie nie postęp, tylko cofanie, a cofanie wielkimi krokami wstecz do stanu okropnego, w jakim znajdowała się Europa za czasów cesarstwa rzymskiego, kiedy na zewnątrz był zbytek, porządek i pewny pozorny dobrobyt klas uprzywilejowanych, — kiedy rzemiosło i handel były, jak dziś, w pełnym rozwoju, kwitły nauki i sztuki, — ale w gruncie rzeczy było b a r b a r z y ń s t w o.

Tak daleko, jak wtedy, jeszcześmy chwała Bogu nie zaszli, bo zapas cywilizacyi chrześcijańskiej, jak powiedział Balmes, jest w naszem społeczeństwie jeszcze bardzo wielki; ale ten zapas się wyczerpuje, zmniejsza. Coraz więcej umysłów poczyna myśleć p o p o g a ń s k u, czuć po pogańsku; a to, niech mówią co chcą, nie jest postępem tylko cofaniem się o 19 wieków w s t e c z, albo jeśli chcesz — cofaniem się w b o k, do stanu, w jakim dziś jeszcze żyją Hindusi, Chińczycy i inni barbarzyńcy.

Z takim postępem Kościół katolicki nic wspólnego mieć nie mógł, nic wspólnego nie ma i mieć nigdy nie będzie.

* * *

Nie inaczej charakteryzują kulturę nowoczesną wrogowie Kościoła, a jej zwolennicy, o ile patrzą na nią bez uprzedzenia i mówią jasno.

I tak n. p. racyonalista-protestant Bavin powiada: »Powrót do tego, co było (repristinatio) i wyzwolenie z tego, co jest (emancypacya): oto dwa prądy, które walczą obecnie pomiędzy sobą. Marx i Nietzsche, socyalizm i indywidualizm, demokracya i arystokracya, klasycyzm i romantyzm, ateizm i panteizm, niewiara i zabobon: — to dwa obozy dyametralnie sobie przeciwne, rozrywające na dwoje ludzkość, szarpiące nią na wszystkie strony i rzucające z jednej ostateczności w drugą.

»Oba kierunki to jednak mają wspólnego, że się całkiem, stanowczo i jasno od wiary chrześcijańskiej odwracają. Teraz już nie chodzi, jak za czasów Reformy, o różnice pojedyńczych wyznań chrześcijańskich pomiędzy sobą, bo my reprezentanci tych kierunków, wychodzimy z tego założenia, że dla historycznego chrystyanizmu wybiła już ostatnia godzina, — że nie da się więcej pomieścić w ramach dzisiejszego naszego (!!) kopernikowskiego (?) światopoglądu, — naszych znajomości z dziedziny przyrody i jej niezmiennych, otaczających nas praw.

»Chrystyanizm historyczny nie odpowiada ani naszym dzisiejszym, wyłącznie ziemskim, doczesnym (Diesseitigkeit) pojęciom o życiu —, ani skali, jaką mierzymy materyalne dobra tego świata. Dla świata myśli, zawartego w Piśmie św., w umysłowości naszej miejsca niema. Cały Chrystyanizm z nauką o Trójcy, Wcieleniu, stworzeniu świata, upadku pierwszych rodziców, grzechu i zadosyćuczynieniu z niebem i piekłem: — to pogląd na świat przestarzały, o którym nie warto i mówić.

»Nasze pokolenie pokarmu w nim żadnego już nie znajduje (?!), bo między nim a nowszą myślą (moderner Gedanke) i uczuciem otwiera się przepaść, nie dająca się niczem wypełnić«.

»»Hasła tego rodzaju, jak »Bóg, dusza, nieśmiertelność«, powiada Meyer-Benfey, są dla nas bez znaczenia. Kto z nas czuje dziś potrzebę rozprawiania na temat, czy Bóg istnieje? My Boga już nie potrzebujemy(!!); dla Niego na ziemi naszej niema miejsca. — Niech stary pustelnik w swej celi siedzi i swego Boga chwali, my uczniowie Zarathustry, wiemy, że Boga niema««. —

Uczniowie Zarathustry!!! Przyjacielu! I to pisze się..... z p r z e k o n a n i e m!!

Biedny świat!

* * *

»W każdym razie kultura ta nowoczesna, zwana m o d e r n i s t y c z n ą, — różni się od chrześcijańskiej wieków poprzednich!«

Prawda, modernizm chciałby uważać za swoją własność nietylko »artystyczną« wiązankę pustych frazesów i zuchwałych bluźnierstw, ale i rzeczywisty, cały dorobek zdrowo myślącej ludzkości, — onby chciał n. p. system Kopernika, który był kanonikiem i rządcą dyecezyi warmińskiej, z jego astronomicznym światopoglądem przywłaszczyć sobie, — chciałby odkrycia takiego Galvaniego, Volty, Ampére'a, Dumasa, Pasteura i t. d. z całym blaskiem, który ci uczeni naukom przyrodniczym dali, — przypisać sobie i swojej modernicznej kulturze!!!!

Otóż przeciw tym pretensyom w imię prawdy założyć musimy protest i, kulturze nowoczesnej zostawiając jej ateistyczny, materyalistyczny, rewolucyjno-anarchistyczny pogląd na świat, — twierdzimy, że z postępem, w ten sposób pojętym, my katolicy i cały Kościół nauczający s t o i m y w b e z w z g l ę d n y m p r z e c i w i e ń s t w i e i z tego się chlubimy; bo taki postęp to barbarzyństwo, choć jak kiedyś grecko-rzymskie, przykryte płaszczykiem zewnętrznej kultury i materyalnego dobrobytu społeczeństwa.

Dla tego samego modernizm nie jest rzeczą nową, ale rzeczą znaną od dawna, bo jest p o g a ń s t w e m.

A że my mu zdzieramy maskę i źródło tego, co dziś jeszcze jest objawem kultury prawdziwej, odszukujemy w Kościele, — cóż dziwnego, że się oburza, że się sierdzi, że nas od czci odsądza?

To jedno dziwnem, że są katolicy, którzy się podejmują usunąć przeciwieństwo, jakie pomiędzy religią katolicką a modernizmem istnieje — a usunąć za pomocą t. zw. »reformy« katolicyzmu!

Biedni zaślepieni, jeżeli nie są przewrotni!

* * *

Bo doprawdy, pominąwszy kulturę czysto zewnętrzną, czemże miniony wiek dziewiętnasty tak bardzo może się chwalić?

Czy może tem, że jak niegdyś przed trybunałem Piłata, tak i w nim ze wszystkich stron Europy podnosił się okrzyk, pchanych przez tajne stowarzyszenia rządów i podburzonego motłochu: »Precz z Bogiem! Nie chcemy Boga! Nie mamy króla, tylko lud wszechwładny; — nie mamy innej woli, tylko wolę człowieka, — nie znamy innego ponad sobą pana, tylko siebie i tych, którym chcemy powierzyć władzę. Z publicznego, towarzyskiego, społecznego życia musimy wyrzucić wszystko, co przypomina Boga; — musimy wszystko zniweczyć, co od Niego pochodzi. Prawodawstwo, szkoły, małżeństwo, pogrzeby i nawet samą duszę ludzką musimy przerobić na modłę naszą t. j. musimy ją zniweczyć, od Boga oderwać. Każdy człowiek ma myśleć, jak my myślimy; — ma chcieć tak, jak chcemy my: my tj. większość. Człowiek nie jest już więcej obrazem Najwyższego, ale niewolnikiem państwa; — nie królem stwo-

rzenia i namiestnika Boga, ale kółkiem w maszynie ludzkości.«

»Precz z Bogiem!«...

I ta straszliwa robota dokonała się w niejednym umyśle i sercu ludzkiem. Dziś w spuściźnie po XIX w. jest ich legion. Myślą oni o wielu rzeczach, ale nie o P. Bogu, cierpią, ale nie boją się sądu strasznego, który ich czeka, ani wieczności nieszczęśliwej, która do nich się zbliża. W ich umysłach i sercach rozpierać się poczyna ten, który pierwszy wypowiedział Panu Bogu wojnę, — on, anioł ciemności, szatan. — Teraz jest godzina jego i moc ciemności. (Łuk. 22. 23.)

Szykanuje się, prześladuje zakony; wypędza z kraju; odsuwa katolików praktykujących od urzędów, katedr profesorskich, a zato protegуje ludzi bez zasad religijnych a szczególnie członków stowarzyszeń tajnych, do których śmiało zastosować można słowa Pańskie, wyrzeczone do Faryzeuszów: Wy z ojca dyabła jesteście (Jan 9. 44). — Zamyka się kościoły, stawia przeszkody nabożeństwu, utrudnia procesye, rabuje majątek kościelny; a zato wszelką opieką otacza synagogi, zbory protestanckie, — pozwala na pochody masońskie i manifestacye socyalistyczne.

Dziś swobodą cieszy się każdy, tylko nie prawdziwy sługa Chrystusa, tylko nie katolik z przekonania, bo on, jak powiadają, jest wrogiem swobody. (Liberté pour tous, hors les ennemis de liberté!)

Doszło przecie w niektórych krajach do tego, że wyznawca wiary św. traktowany jest jak helota w Sparcie, jak paryas w Indyach, jako niewolnik, wróg dobra publicznego, zupełnie tak samo, jak było za czasów cezarów rzymskich.

I tem miałby się szczycić wiek XIX? — tą kulturą nowoczesnego swego ducha... wstrętną obrzydliwą, nikczemną, smutną?

I Kościół miałby się z nią pogodzić?

* * *

Miał i w XIX w. Pan Bóg wśród inteligencyi nowoczesnej swych wyznawców zdecydowanych, miał wielu ludzi uczonych, myślących wzniośle, szlachetnie... i po katolicku.

Występek i fałsz robią wiele hałasu na świecie, a cnota i prawda pozostaje zazwyczaj w ukryciu. A jednak ludzie, którzy prawdę znają, do cnoty dążą i obowiązki swoje spełniają sumiennie, — to jądro ludzkości, to część zdrowa tego olbrzymiego drzewa, którego korzenie zaszczepił Pan Bóg w raju...

Jednym z takich zdrowych, czerstwych, potężnych jego konarów, był wielki fizyk Aleksander Volta.

Nie wiem już przy jakiej sposobności podał ktoś w wątpliwość jego przekonania religijne i przywiązanie do katolickiego Kościoła. Dowiedziawszy się o tem, napisał on następujące wyznanie wiary:

»Nie pojmuję, kto może wątpić o szczerości przywiązania mego do religii, wyznawanej przeze mnie, t. j. do wiary katolickiej, apostolskiej, rzymskiej. W niej się urodziłem, wychowałem i do niej zewnętrznie i wewnętrznie zawsze należałem i należę. Zdarzyło mi się nieraz, niestety, nie jedno popełnić, co później opłakiwałem; nie zawsze zdobywałem się na dobre uczynki, jakimi katolik prawdziwy, odznaczać się powinien, — ale za szczególną łaską P. Boga, o ile sumienie mi świadczy, przeciwko samej wierze nie wykroczyłem nigdy.

»Jeżeliby moje upadki i zaniedbania w życiu miały stać się dla kogo sposobnością do posądzania mię o niedowiarstwo, chcę obecnie to naprawić, a jako zadosyćuczynienie oświadczam każdemu i jestem gotów powtórzyć to wyznanie, ile razy zachodziłaby tego potrzeba, choćby to życiem przypłacić mi przyszło, — że zawsze uważałem i uważam św. wiarę katolicką za prawdziwą, nieomylną, — że nigdy nie przestałem dziękować P. Bogu, iż mnie nią obdarzył. Postanawiam najmocniej w niej żyć i umierać, niezachwianie się spodziewając, że przez nią do żywota wiecznego dojdę.

»Wiem, że ta wiara jest darem Bożym, bo jest wiarą nadprzyrodzoną, ale mimo to oświadczam, że nie zaniedbałem i środków ludzkich, mogących mnie w niej utrwalić i pomódz do rozproszenia wątpliwości, któreby we mnie powstały. To też pilnie badałem podstawy wiary

świętej; czytywałem książki, gdzie się znajdowały zarzuty przeciw niej stawiane; szukałem dowodów, wykazujących, że jest godną uznania wobec samego nawet rozumu ludzkiego — że więc człowiek, którego umysł nie jest zaślepiony występkiem ani serce zepsute złym nałogiem, o zdrowym rozumie a prawem i szlachetnem sercu — musi wobec tych dowodów ją umiłować i do niej przystać.

»Niech to oświadczenie, na żądanie własnoręcznie przezemnie opisane i podpisane, służy każdemu, kto będzie go potrzebował i niech mu przyniesie pożytek, albowiem nie wstydzę się Ewangelii«.

Medyolan, 6. stycznia 1815.

Aleksander Volta.

* * *

Jakże ta pewność, jasność, pogoda i spokój myśli tego wielkiego uczonego, odbija od utyskiwań i żalów współczesnej nam duszy ludzkiej, którą podchwycił Wilfrid Word.

»Zewsząd słyszymy skargi, pisze on, że filozofia dzisiejsza jest kompilacyą mechaniczną, historycznem tylko zestawieniem różnych filozoficznych systemów bez myśli własnej. Filozofowie nasi współcześni wyszukują skrzętnie, co jest nienaturalnem, wadliwem, rażącem, wpadającem w oczy u wielkich filozofów przeszłości, nie starając się przejąć ich duchem. To dobrze informowani krytycy, a nie ucznio-

wie, co z nauki korzystają i sami do czegoś dochodzą.

Mnożą się skargi, że zalewają nas myśli, importowane z Niemiec już gotowe, wystawione jakby w »magazynie«, których nikt się nie stara przetrawić i do potrzeb naszych zastosować. Pomiędzy inteligencyą daje się zauważyć zanik poczucia godności osobistej. Bo czyż z nią zgodzić się może skłonność do przyjmowania na ślepo wszystkiego, co choćby powierzchownie, podaje pierwszy lepszy t. zw. »specyalista«? Bierze się wtedy wszystko bez różnicy i uważa za dogmat, żadnej nie podlegający wątpliwości.

Ciż sami znowu specyaliści w ciasnem polu swych badań oddzielają najskrupulatniej fakta od pobudek i tendencyi, poczynają w końcu lekceważyć pewniki, na których się wyższa synteza historyczna opiera, i z niedowierzaniem patrzą na same nawet pojęcia.

»Taki krytycyzm doprowadza do sparaliżowania władz umysłowych, bo przy ogromie materyału, wzrastającego z każdą chwilą, człowiekowi nauki braknie czasu, aby zdobyć się na myśl prawdziwie własną nie tylko w życiu ściśle umysłowem, ale i w życiu czynnem: bo w pierwszem, myślenie staje się pracą mechaniczną a w drugiem — biernem przyjmowaniem wrażeń«. [1])

Tak skarży się Anglik!

---

[1]) Problems of problem London, Longmans 1904.

Cóż nam mówić, — nam oddychającym kulturą nowoczesnych, protestanckich Niemiec? ... Nic dziwnego, że i między nami tylu bezmyślnie przyjmuje wszystko, co przeszło przez głowę Kanta, Hegla, Hartmanna, Schopenhauera, Nietzschego, Haeckla itd. i... i... i przy pozornej uczoności ci postępowi Polacy... głupieją.

O! niestrawności ducha!

List XIV.

Kilka uwag na drogę życia.

Kochany Przyjacielu. Przedewszystkiem muszę Cię uwiadomić, że wakacye moje zbliżają się do końca; będę tedy musiał wrócić do zwykłych zajęć a wtedy brak mi będzie czasu, aby, jak to było w ostatnich paru miesiącach, prowadzić z Tobą tak częstą i obszerną korespondencyę.

Przez to nie chcę bynajmniej powiedzieć, żebyś zupełnie przestał do mnie pisywać owszem, listy Twoje będą mi zawsze sprawiały przyjemność; ale, jeżeli odpowiedzi moje nie będą zawsze ani tak opracowane i obmyślane, ani tak długie, nie miej mi tego za złe.

Więc do przyszłych wakacyi!

A zresztą kto wie, co jutro przyniesie....

* * *

Jakkolwiekbądź mam nadzieję, że listy, któreśmy pomiędzy sobą teraz wymienili, przez całe życie służyć Ci będą do rozwiązania nie jednej trudności, na jaką natrafisz, pod warunkiem, że pozostaniesz nadal tem, czem jesteś,

człowiekiem szczerym, prawym, szukającym prawdy i pragnącym pełnić swój obowiązek.

P. Bóg obiecał ludziom pokój, ale ludziom dobrej woli. Niestety, dziś o takich ludzi zaczyna być coraz trudniej.

Za to jakże wiele jest takich, co to »oczyma nie widzą, uszami nie słyszą, i sercem nie rozumieją i nie nawracają się i (Pan) ich nie uzdrawia!« (Jan 12, 40.)

A! bo oni tej dobrej woli nie mają. To też dla nich rozwiązanie wątpliwości, choćby najudatniejsze, wyjaśnienie trudności, choćby najoczywistsze, nie na wiele się przyda, bo oni wierzyć nie chcą, — oni z góry postanowili w żadnym razie nie dać się przekonać, — oni nie chcą znaleźć się w konieczności odmienienia swego życia.

O nich to powiedział Leibnitz, że »Jeśliby prawdy geometryczne pozostawały w związku jakimkolwiek z namiętnościami, znaleźliby się zawsze tacy, którzyby im przeczyli.« Co Pismo św. wyraża inaczej, mowiąc: »W złośliwą duszę nie wnijdzie mądrość, a nie będzie mieszkać w ciele grzechom poddanem«. (Mąd. 1, 4.)

Niech Cię P. Bóg broni, mój Ty najdroższy, abyś miał do nich kiedykolwiek należeć, bo w takim razie wyznaję, że te listy nie wieleby ci przyniosły pożytku.

* * *

W subjektywnem usposobieniu pojedyńczych ludzi tkwi przyczyna, że dowody przytoczone na

stwierdzenie prawd religijnych, dla jednych są jasne i przekonywające, jak wywody matematyczne, — dla drugich zaś, równie wykształconych wydają się ciemne i niewystarczające. Owszem, zdarza się, i to nawet bardzo często że jeden i ten sam człowiek raz je widzi jaśniejące najczystszem światłem oczywistości, a potem tego nie widzi, tak samo jak podróżny, wszedłszy w mgłę, traci z oczu krajobraz górski, który przed chwilą w blasku słońca podziwiał.

Potrawy zdrowe i przyprawione starannie smakują Ci, gdy jesteś zdrowy; stąd gdy poczniesz czuć do nich wstręt, jesteś pewny, że ze zdrowiem Twojem jest źle. Coś się zmieniło... ale co? i gdzie?

Ponieważ w potrawach nie zmieniło się nic, więc coś się zmieniło w Tobie: coś w Twoim organiźmie się popsuło... jesteś chory. Więc się lecz, a z powracającem się zdrowiem wróci Ci smak i chęć do jedzenia.

Tak samo ma się z pokarmem duszy, czyli z prawdami, które wiara św. zawiera.

Dopóki człowiek ma sumienie czyste, są one w oczach jego przystępne i zrozumiałe, ale kiedy pod wpływem jakiejkolwiek namiętności popadnie w grzechy i zacznie na duszy chorować poczną mu zaraz zawadzać i będzie on umysł swój tak długo od nich odwracał a zwracał do dawno już wyjaśnionych trudności i zarzutów, — że staną się dla niego czemś nie-

zrozumiałem, ukrytem w mgle obojętności, lub co gorsza, w ciemnościach niewiary.

I sprawdzi się na nim, że »oczyma patrząc« na też same, co dawniej, prawdy, »nie« będzie ich prawdziwości »widział«, — »uszami słuchając« tego samego, co dawniej słowa, »nie będzie ukrytego w niem znaczenia »rozumiał«...

Czy taki jest już na zawsze stracony?

Tak! Jeżeli nie użyje jedynie skutecznego lekarstwa na grzechy: skruchy serca i szczerej spowiedzi.

To też, mój drogi, gdyby Ci, co nie daj Boże, przytrafić się miało to nieszczęście i prawdy wiary św., i dla Ciebie cofać się poczęły w dal mglistą — spiesz czemprędzej do trybunału Pokuty i w rozgrzeszeniu kapłańskiem przyjmij potrzebne Ci lekarstwo, bo jesteś naprawdę chory na duszy i to chory ciężko...

* * *

Przytem nigdy nie zapominaj, że wiara św. jest darem Bożym: stąd żeby ją w sercu wzbudzić, nie wystarczy przejść tylko dowody, które za jej prawdziwością przemawiają, jak to ma miejsce, gdy chodzi o wiarę czysto przyrodzoną, — ale do tego trzeba jeszcze wewnętrznego poruszenia serca przez łaskę.

Jakże często uskarżają się ludzie, że nie mogą wierzyć. »Byłbym taki szczęśliwy, gdybym miał wiarę! Zazdroszczę tym, którzy ją mają.«

Oni zapominają, że brak im tego poruszenia serca, tej łaski i dlatego, choć w gruncie rzeczy nie mają żadnego wystarczającego powodu do odrzucenia wiary, jednak uwierzyć nie mogą. Łaski w ich sercu niema, stąd wiara wejść do ich duszy nie może; — a tej łaski niema, bo ze strony rozumu staje na przeszkodzie pycha, a ze strony woli — grzech, szczególnie grzech nieczysty: »W złośliwą duszę nie wnijdzie mądrość.«

A tak łatwo tę łaskę mogliby otrzymać! Tylu innych utyskiwało, jak oni, do tej szczęśliwej godziny, w której idąc śladami syna marnotrawnego, najpierw postanowili stanowczo, nie zwlekając, zerwać z grzechem, życie poprawić; potem upadłszy na kolana, zaczęli się modlić o pomoc do Ojca swego, mieszkającego w niebie, a wreszcie przed zastępującym Go kapłanem wyznali swe grzechy i otrzymali przebaczenie.

Otóż ci ludzie przekonali się na sobie, że nie tak trudno wiarę utraconą odnaleźć znowu w sercu..., które poruszyła łaska. I tą drogą uwierzyli...

Słusznie tedy pisze Balmes: »Jeżeli i wam, moi panowie, wydaje się, że nie możecie uwierzyć, to się mylicie. Duch wasz uwierzyć może, ale nie wierzy, bo jak ręka od zimna skostniała, zdrętwiał i znieczulał na światło prawdy nadprzyrodzonej. Ale niech nad nim, jako swego czasu nad paralitykiem z nad sadzawki Syleo Pan Bóg Swe słowo wszechmocne wyrzeknie i każe mu wstać — to wstaniecie i wy i pocznie-

cie chodzić ścieżkami prawdy; bo tego cudu dostąpić może każdy bez wyjątku, byleby zaczął prosić! Zacznijcie tedy prosić, zacznijcie się modlić a uwierzycie!«

* * *

»Wiary nam trzeba« słyszeć się daje dziś coraz częściej. Wprawdzie do nas do Polski wszelki ruch ideowy dochodzi później i stąd materyalizm, pozytywizm, postępowość« imponuje jeszcze wielu inteligentom, szczególnie wśród młodzieży — bez reakcyi na korzyść religijności i wiary, jaka z dniem każdym potężnieje już na Zachodzie.

Jednak dzięki Bogu zaczyna się i ona. — Dziś w »Bibliotece Warszawskiej«[1]) czytamy o próbach założenia szkoły postępowej dla ludu w Kruszynku charakterystyczne uwagi. »Odrzućmy wszelkie epitety; »klerykalny«, »postępowy«, »pański«, »chłopski«, którymi naturalnie upstrzono polemikę i które tę sprawę sprowadzają z właściwego gruntu — i stwierdźmy, że uczennice szkoły pochodzą z warstwy głęboko religijnej, gorąco do religii przywiązanej, i że od dziecka w tym duchu i nastroju były wychowywane. Czy więc szkoła powinna tę ciągłość przerywać lub też zachować atmosferę duchową otoczenia, w jakiem wychowanki pracować później będą? Oczywiście — zachować — dwóch zdań w tej mierze być nie może.

---

[1]) Z. 852, str. 195.

»Idźmy dalej. Jest rzeczą naturalną, że religia (oczywiście nasza katolicka, bo o niej mowa) jest nie tylko najprostszą filozofią, źródłem pociech duchowych, ale i jedyną kodyfikacyą przepisów moralnych; wszystkie inne moralności bez obligacyi i sankcyi muszą podlegać wątpliwościom, chociażby dlatego, że są różne. Możnaby się spierać o znaczenie religii w życiu człowieka inteligentnego; choć łatwo byłoby dowieść, że najbardziej kulturalne narody są najbardziej religijne[1]), — ale chyba znowu dwóch zdań być nie może co do tego, że uczucie religijne jest wprost niezbędne, że religia stanowi jedyny pewny hamulec moralny pośród warstw kulturalnie i oświatowo niższych.[2]) Zatem nie można uczucia religijnego osłabiać a form jego czyli obrządków lekceważyć w szkole, dla tych właśnie warstw przeznaczonych«.

* * *

W młodzieży przyszłość. —

To też, mój drogi, tem milej jest stwierdzić, że i w niej ten zwrot ku wierze ojców czuć się daje. —

Na łamach miesięcznika »Łan«, dla młodzieży przeznaczonego, czytamy wzbudzające podziw dojrzałością sądu podobneż refleksye

[1]) Serya IV. listy 12 i 13.

[2]) Kiedy chodziło o przywrócenie religii we Francyi powiedział Napoleon wielkie słowo: »Le peuple sans Dieu: je le connais. On ne le gouverne pas, on le mitraille.«

dorastającego gimnazyasty na temat: »Ideał polskiego ucznia«:

»Wiara stanowi podstawę doskonałości tak, że mówiąc o ideale ucznia polskiego wystarczyłoby mówić tylko o jego religii: młodzieniec prawdziwie wierzący jest z natury swej idealnym Polakiem.

»Ale wiara ta powinna być żywa i czynna. Dzisiaj szczególnie wśród studentów niezmiernie mało jest takich, którzy z wiary czerpią siłę i wytrwałość w pracy nad sobą i wiary się nie wstydzą.

»Dzisiaj jest to mniemaniem ogólnem, że nauka z czynną wiarą zgodzić się nie da: stąd praktyki religijne są w powszechnej prawie u ludzi nauki pogardzie. Stawiać wierze coraz wyszukańsze zarzuty jest rzeczą modną i imponującą, szczególnie wśród kształcącej się młodzieży, a w najlepszym razie w parze z kształceniem umysłu stoi zupełny indyferentyzm religijny.

»Młodzież nasza może nie tak łatwo i prędko, ale przecież ulega zgubnym wpływom szerzącego się ateizmu. Ten prąd może najbardziej smucić, bo on podmywa fundamenta naszego duchowego rozwoju. —

»Więc idealny uczeń tem się od innych wyróżnia, że wierzy z pokorą, wiary swej nie wystawia na publiczny widok jak faryzeusze, ale się jej nie wstydzi; wiara nie jest u niego martwą literą na paszporcie, lecz podnosi go i doskonali. Idealny polski uczeń

nie waha się w towarzystwie stanąć w obronie swej wiary, gdy ją atakują.

»Może zresztą ma niejeden siłę na to, żeby wbrew opinii się oświadczyć, ale rzadko kto potrafi na najprostszy zarzut odpowiedzieć. Nic dziwnego, bo wykształcenie religijne stoi w dzisiejszych szkołach nizko; przecież kształcenie charakteru powinno w szkołach postępować równolegle z kształceniem umysłu, tymczasem w gimnazyum naprzykład poświęca się drugiemu kierunkowi godzin 28, a pierwszemu 2 na tydzień.

»Czyż nie z tem większym zapałem powinna się młodzież do tej nauki religii garnąć? Tymczasem któż widział uczyć się kiedy religii! Są uczniowie, którzy przez całe wyższe gimnazyum książki z zakresu nauki religii nie mieli w ręce.

»Skądże więc czerpie młodzież wykształcenie religijne, najpotrzebniejsze w życiu? Może z czytania odpowiednich książek? Gdzie tam! Niech mi kto wskaże studenta, który przez cały czas studyów gimnazyalnych przeczytał jedną tylko książkę, mogącą jego wiarę ugruntować?

* * *

»Znajdzie się taki jeden na stu.« Jeżeli się pogłębia inne nauki, a religia zostanie za niemi w tyle, nic dziwnego, że słaby nawet wicher obali to drzewko wiary, które tak płytko korzenie swe zapuściło.

»Co więcej, dzieła przeciwne religii czyta wielu. Jasnem jest, że umysł studenta chwyta zarzuty, stawia rozmaite pytania, na które z powodu braku najelementarniejszych podstaw wykształcenia religijnego odpowiedzieć sobie nie umie.

»Smutne to fakta i potrzeba gwałtownie przykładów młodych. Kolega wierzący i praktykujący więcej może zdziałać, niż najgorętsze nauki katechety. Student wierzący powinien życiem swem stwierdzić, że w doskonałości znajduje rozwiązanie wszystkich życiowych zagadek.

»Wiarę traci młodzież najczęściej nie z powodu jej rzekomej niezgodności z rozumem, lecz dlatego, że wola każe się pozbyć tego, co nakłada na nią jakiekolwiek moralne obowiązki. Łatwo przyjmujemy najskrajniejsze nawet filozoficzne systemy skoro tylko ich uznanie nic nas nie kosztuje, nie pociąga za sobą żadnych konsekwencyi w stosunkach do życia.

»Wiara każe nam być dobrymi, każe nam pracować i modlić się, każe pozbyć się pychy i egoizmu, a oddać się w pokorze ducha na usługi braciom, — i to właśnie odstręcza od niej wielu leniwych.

»Wśród młodzieży już, niestety, rozpowszechnione są różne nałogi, które tak nieraz opanowują biedną duszę, że woli ona wiarę odrzucić, sumienie podeptać, niż pozbyć się pychy lub rozkoszy zmysłowych. I wtedy od razu na-

suwa się olbrzymia ilość pozornych sprzeczności we wierze. Młodzieniec wierzący ma stawiać przed oczy upadłym, że najlepszą radą na odbicie zarzutów przeciwko wierze i znalezienie światła w ciemnej drodze życia, jest zrzucenie brudów duszy i słuchanie wewnętrznego głosu, nawołującego ku doskonaleniu. Kto za tym głosem pójdzie, pójdzie ciągle w górę i w światło.

»Praktyki religijne porzuca się często dlatego, że z formalnej tylko strony widzenia wydają się rzeczywiście pozbawionemi treści. Ale na zawsze pozostanie przy nich ten, kto raz uczuje, że z nich czerpać można siłę i wytrwałość. Student polski powinien umieć obcować z Bogiem, patrzyć na Niego i przez to podnosić się wzwyż ku potędze, ku doskonałości.«

* * *

Tu jeszcze jedna bardzo ważna uwaga.

Grzech nieczysty w sobie, a przedewszystkiem w swych skutkach, dla człowieka myślą, cego (nie mówię wierzącego) jest czemś nizkiem-złowrogiem, strasznem i prawdziwą klęską. To też widząc, jak z zastraszającą szybkością mnożą się ofiary tej klęski, myśli on o zapobieżeniu złemu oczywiście siłami wspólnemi.

I oto, jak grzyby po deszczu powstają stowarzyszenia »Dobrych Templaryuszów«, »Kółek Etycznych« i t. p. związki, które wszystkie mają tę wspólną cechę, że chcą jedynie »siłami naturalnemi człowieka« dopiąć swojego celu.

To też robią co mogą, aby rozbudzić w młodzieży »wiarę w siebie«, poczucie swych sił, — swej godności, honoru, łatwo zrozumiałego interesu, zachowania zdrowia, życia i t. d. — ale »nie wiarę w P. Boga«, bo wiarę w P. Boga oni albo wprost odrzucają dlatego, że im nie chodzi o »uświątobliwienie lub uanielenie« społeczeństwa, jak to jest celem wiary prawdziwej katolickiej, celem Kościoła — albo ją przemilczają. To ostatnie spotyka się u nas.

W pierwszym zeszycie »Ateneum Polskiego« z roku 1908 znajdujemy ciekawe sprawozdanie o odczycie mianym najpierw na zebraniu towarzystwa »Ochrony Młodzieży« a potem publicznie. — Pan Edmund Stanisław Wyganowski (widocznie sam prelegent) pewną i wytrawną ręką kreśli tam obraz zastraszającego upadku moralnego w dzisiejszem społeczeństwie galicyjskiem.

Ponieważ słowa jego są świetną ilustracyą tego, cośmy powiedzieli w liście o »Kultura i Kościół« więc je tu przytaczam:

»Sprawa moralnego podniesienia społeczeństwa naszego — pisze p. W. — stała się postulatem poniekąd wszystkich światłych obywateli kraju, którzy patrzą z blizka i z zastanowieniem na szybko postępujące społeczeństwa fizyczne i moralne zwyrodnienie.

»To zwyrodnienie okazuje się najwidoczniej i najsmutniej w zastraszającej obojętności społecznego ogółu na grzech jego główny(?) i śmier-

telny: na zanik wiary we własne społeczeństwa siły.

»Polskie społeczeństwo coraz słabiej wierzy w swe siły, ponieważ społeczne jednostki tracą wzajemne dla siebie uszanowanie. My jedni drugim nie wierzymy, — my jedni drugich nie szanujemy, — nie szanujemy w drugim ani jego pracy, ani jego zamiarów — w czystość zamiarów nie wierzymy, wierzyć nie chcemy i może już nie potrafimy.

»Ten zanik wiary stanowi coś więcej niż przyczynę kulturalnego u nas zastoju: stanowi rozkładową siłę, która masę społeczną spycha z drogi kulturalnego postępu i rozwoju w chaotyczną przepaść całkowitej destrukcyi. (P. V. serya, str. 302.)

»Kto temu nie wierzy, niech usiłuje ogarnąć przepaść, jaka się pogłębia i rozszerza między naszem pokoleniem młodszem i starszem. Młodzież przedewszystkiem odznacza się w swoim stosunku do starszych nietylko już brakiem zaufania do nich i wiary, ale wprost uczuciem wzgardy. I nie jest to już młodzież starsza, która zdolna jest zdawać sobie sprawę z przepotężnych czynników, które się w przeciągu stu lat składały i złożyły na zdemoralizowanie ducha i umysłu starszych, — zdolna przeto własnemi siłami do wytępienia w sobie i dokoła siebie ostatnich korzeni i ostatnich posiewów trucizny — ale jest to dziś pokolenie dziecięce, które z dziecięcem zaślepieniem i dziecięcą głupotą depce przyka-

zania Boskie i ludzkie, nie dlatego, że w nie nie wierzy, ale dlatego, że nie wierzy nikomu (?). Ta młodzież nie widzi dobrego przykładu i to jest przyczyną jej zwątpienia i obłąkania; widzi natomiast na każdym kroku i w domu i w szkole i na ulicy przykład niedobry — i to jest powodem jej buntu i grożącego zwyrodnienia.«

Więc na ten »zastój kulturalny«, na tę »chaotyczną przepaść wszelkiej destrukcyi« p. W. innego środka nie znajduje, jak tylko »wiarę w siebie... we własne siły... w innych ludzi...«, — tę wiarę, którą jego zdaniem widocznie ratowali się starsi, »co byli zdolni zdać sobie sprawę z przepotężnych czynników«.

I p. W. sądzi, że taki eksperyment może mu się udać? Czyż nie pamięta, że w starym Rzymie pogańskim filozofowie stoiccy etykę i kulturę swoją budowali na »własnych siłach i na wierze w siebie«... i wiadomo, co osiągnęli... Gdziebyśmy byli, gdyby się na ich staraniach skończyło?

Nie, do wyleczenia wewnętrznego raka, jakim jest wrodzona człowiekowi namiętność, środki czysto ludzkie same przez się wystarczyć nie mogą, — tu potrzeba wszechmocnej ręki P. Boga, działającej z ludźmi w ludziach przez łaskę. To też bez powrotu do wiary, ale wiary w P. Boga — wiary św. katolickiej, która poprzednim pokoleniom w całej Polsce dopomagała do wzniesienia się na poziom obyczajów, przeciętnie daleko wyższy

Strona

List X. Lew Tołstoj 224

Adres lekarzy polskich petersburskich do Tołstoja. — Włodzimierz Sołowjew. — Geneza »Nowej Ewangelii« Tołstoja. — Część jej negatywna. — Część pozytywna. — Czemu Tołstoj prawdy nie znalazł? — Wniosek. — Emil Zola.

List XI. Indywidualizm i postęp 252

Na czem polega istota prawdziwego postępu? — Na czem polega ideał człowieka? — »Fałsz i grzech — to nie postęp, ale zacofanie«. — Postęp nie wyklucza autorytetu (Lutosławski) — ani nieomylności powagi nauczającej w imieniu P. Boga (Fryderyk Szyller) — ani niezmienności określeń kościelnych (Dr. Mausbach, Hettinger). — Ampère. — Elektrotechnika i Kościół katolicki. — Ludzie bez charakteru. — Ravul Pictet. — Bolesław Prus. — Dwie gwiazdy przewodnie wychowania. — Zwalczanie namiętności. — Bojaźń Boża. — Tresura i wychowanie. — Kierownicy dusz niepowołani.

List XII. O postępie społecznym 283

Potęp podwójny w społeczeństwie: materyalny i kulturalny. — Kościół pierwszemu się nie sprzeciwi, a drugi we wysokim stopniu popiera. — Jakób Balmes. — Kościół i klasa robotnicza — rolnicza — przemysł i handel.

List XIII. Kultura i Kościół 304

Społeczeństwo europejskie przed i po jego nawróceniu na wiarę chrześcijańską. — JakóbBalmes. »Kultura nowoczesna i stanowisko Kościoła katolickiego nie dadzą się pogodzić z sobą.« — Leon XIII. — Moderniści o sobie. — Charakterystyka modernizmu. — Wyznanie wiary Volty.

List XIV. Kilka uwag na drogę życia . 325

Dr. Matti Helenius

KWESTYA ALKOHOLIZMU

Badanie socyologiczno-statystyczne.

Tłomaczyli za zezwoleniem autora Józef Kostrzewski i Władysław Marcinkowski.

Wielka 8⁰ stron 358. Cena mk. 4,80.

Literatura polska nie posiadała dotąd w dziedzinie alkoholizmu żadnego podstawowego dzieła naukowego. Potrzeba zaś takiego dzieła, traktującego kwestyę wszechstronnie i wyczerpująco z dnia na dzień coraz dotkliwiej się objawiała. Tak do działalności w towarzystwach świeckich (Wyzwolenie i t. d.) jak w bractwach wstrzemięźliwości, jak wreszcie do nauk, jakie w niektórych dyecezyach obowiązkowo miewać winni duszpasterze, nie wystarczą już artykuły przygodne z gazet ani broszury popularne.

Ze względu na to postaraliśmy się o przekład powyższego dzieła, najsłynniejszego w dziedzinie alkoholizmu. Stanowi on niejako encyklopedyę obszerną wszelkich zagadnień z dziedziny socyologii, ekonomii, etyki, hygieny, fizyologii stojących w styczności z alkoholizmem.

Spis rzeczy: I. Wstęp. — II. Rozwój socyologiczny kwestyi alkoholizmu. — III. Studyum naukowe kwestyi alkoholizmu w czasach ubiegłych. — IV. Obecne stanowisko fizyologii w kwestyi alkoholizmu. — V. Przyczynek statystyczny do rozstrzygnięcia kwestyi wpływu t. zw. umiarkowanego używania alkoholu na oczekiwaną długość życia. — VI. Wpływ alkoholu na zdolności umysłowe człowieka. Alkohol jako używka. Wpływ jego na sprawność fizyczną i wytrwałość. Alkohol jako środek leczniczy. — VII. Alkohol, choroba i śmierć. — VIII. Alkoholizm a choroby umysłowe. Wpływ konsumpcyi alkoholu na zbrodnie, prostytucye i moralność w ogólności. — IX Alkoholizm i dziedziczność. — X. Sprawa alkoholu ze stanowiska społeczno-gospodarczego. Rozwiązanie sprawy alkoholu jako jedno z najważniejszych współczesnych zadań społecznych. — XI. Krótki szut oka na różne metody walki z alkoholizmem. — Spis nazwisk.

Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu.

Wydawnictwa Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.

Stan. Korabicz.

Kiry i Wawrzyny.

Powieść z czasów księstwa warszawskiego.

2 tomy mk. 5,40.

F. Champol.

Siostra Aleksandra.

Dzieło odznaczone nagrodą akademii paryskiej.
Tłomaczyła St. Zakrzewska.

Cena mk. 3,—.

K. Dickens

Walka życia.

Tłomaczył Prof. A. Mazanowski.

Mk. 1,60.

Eug. Żmijewska.

Dwa spotkania.

Skończone — Dozwolili
Zbiór nowel.

Mk. 2,40.

K. Dickens.

Świerszcz za kominem.

Tłomaczył Prof. A. Mazanowski.

Mk. 1,60

K. Dickens.

Dombi i Syn.

Tłomaczył Prof. A. Mazanowski.

3 tomy mk. 6,—.

Jarsti.

Ostatnie godziny.

Szkic do studyum psychologiczno-powieściowego.

Mk. 1,20.